

The illustration depicts a massive, detailed bumblebee with yellow and black stripes, its wings spread, dominating the upper half of the frame. Below it, two children, a boy and a girl, are shown in a state of panic or surprise, crouching on a sandy or light-colored ground. The boy is in the foreground, looking up at the bee, while the girl is slightly behind him, also looking up. The background is a simple, light-colored wash, suggesting an outdoor setting. The overall style is that of a classic children's book illustration.

Jan Łarri

Niezwykłe
przygody
Olka i Walerki



Jan Ł a r r i

*niezwykłe przygody
Olka i Walerki*

TŁUMACZYŁA
JANINA KARCZMAREWICZ-FEDOROWSKA
ILUSTROWAŁ
JANUSZ GRABIANSKI
Nasza Księgarnia Warszawa 1962

Tytuł oryginału rosyjskiego

„NIEOBYKNOWIENNYJE PRIKLUCZENIJ A KARIKA I WALI”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PRZYKRA ROZMOWA Z BABCIĄ. MAMA JEST ZDENERWOWANA. DŹEK IDZIE ZA ŚWIEŻYM JESZCZE ŚLADEM. DZIWNE ODKRYCIE W GABINECIE PROFESORA JENOTOWA. TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE UCZONEGO

Mama nakryła stół dużym, białym obrusem. Babcia postawiła talerze, przyniosła noże, łyżki i widelce.

— Obiad już gotowy — odezwała się — a dzieci ani widu, ani słyhu. Nie mam pojęcia, gdzie się zawieruszyły... Dawniej, jak ja byłam mała...

— Och! — jęknęła mama. — Nawet nie zjadły śniadania!

Podeszła do otwartego okna, wychyliła się i zawołała:

— Olku! Walerko!

— A jakże — zrzędziła dalej babcia — już lecą. Mało nóg nie połamię! Ty ich wołasz, a oni pewnie urządzają jakieś tam skoki z powolnym opadaniem na spadochronie. Czeka się na nich z obiadem, a im pewnie bardziej by się przydało pogotowie.

— Jakie znów skoki? Co za pogotowie? — złąła się mama.

— Normalne! — ofuknęła ją babcia. Wyciągnęła z kieszeni kłębek włóczki, druty i zaczęła pończochę. Zamigotały w jej rękach druty, wysnuwając z kłębka wełnianą nitkę. — Normalne pogotowie — westchnęła nagle — takie, jakie wczoraj wzywano do Włodka.

— Do którego Włodka?

— Do którego... Jeden tylko na naszym podwórku jest Włodek. Ten łobuziak... synalek administratora! Wiesz, co mu strzeliło do głowy? Wycygał gdzieś stary parasol, zrobił z niego spadochron i siup! z balkonu pierwszego piętra jak jaki skoczek.

— No i co?

— A nic! Zaczepił spodniami o rynnę i zawisł głową w dół. Wisiał tak z pół godziny, dopóki nie nadjechała karetka. Lekarz okropnie się rozzłościł. „W takich wypadkach — powiada — trzeba wzywać straż pożarną, a nie pogotowie!” Ale jednak tego Włodka jakoś odczepili i zdjęli z rynny. I co ty na to? Ten urwipoleć nic, tylko się jeszcze śmieje! Mówi, że ustanowił rekord, bo zrobił skok z najwolniejszym opadaniem. Takie są teraz te dzieci niedobre! Jak ja byłam mała...

— Ech! — zniecierpliwiała się mama. — Gdzie też oni mogą być?

— Jest tam jeszcze jakiś Antek na podwórzu. Najpierw budował z koleżkami metro, a potem wynalazł łódź podwodną. Metro oczywiście się zarwało i zasypało wszystkich ziemią. Całe szczęście, że dozorca zauważył i zdążył ich odkopać, bo inaczej zginęliby marnie! Może myślisz, że się ustatkowali? A jakże! Ani im w głowie! Z beczki i z jakichś tam skrzyń zbili łódź podwodną i, ma się rozumieć, wszyscy utonęliby co do jednego, tylko że znów mieli szczęście, bo akurat przechodził tamtędy milicjant. Jakoś udało mu się tych podwodnych marynarzy wyciągnąć, dzięki Bogu. Tylko że... — babcia aż zatchnęła się z oburzenia — wyobraź sobie, co za dzieci: ledwie zdążyli obeschnąć, a już zachciało im się jakichś lotów kosmicznych. Przygięli brzozę do samej ziemi, we dwóch się jej uczepili, a reszta...

— Daj już spokój — zamachała rękami mama — nie chcę nawet o tym słyszeć!

Znowu podeszła do okna i zawołała:

— Olku! Walerko!

— Jak ja byłam mała... — zaczęła babcia.

Ale mama zrobiła zniecierpliwiony gest i znów się wychyliła:

— Ole-e-ek! Wale-e-e-rka! Na obiad!

Na dworze miauknął kot.

— Wiedziałam, że tak będzie — zrzędziła babcia — wiedziałam!

— Olku! Walerciu! — krzyczała mama; potem nagle odwróciła się w stronę babci i zapytała: — A nie mówili ci, mamo, dokąd idą?

Babcia zacisnęła wargi. Po chwili się odezwała:

— Jak ja byłem mała, to zawsze się opowiadałam, dokąd idę, a teraz dzieci robią, co chcą. Jak im co do głowy strzeli, to jadą na biegun północny, a nie — to na południowy... Albo znów niedawno mówili przez radio...

— Co mówili? — zatrwożyła się mama.

— Nic takiego. Jakiś chłopiec utonął. Właśnie mówili...

Mama drgnęła.

— Nonsens! — powiedziała. — Olek i Walerka nie poszliby się kąpać.

— Nie wiem, nie wiem — pokręciła głową babcia. — Nie wiem, czy się kąpią, czy nie, tylko wiem, że dawno już czas na obiad, a ich jak nie ma, tak nie ma. I gdzież to mogą być? Rano wyrwali się bez śniadania...

Mama pociągnęła dłonią po twarzy. Nie mówiąc ani słowa, szybko wyszła z jadalni.

— Jak ja byłem mała... — westchnęła babcia.

Ale mama nie dowiedziała się, co robiła babcia, gdy była mała: stała już na podwórzu i mrużąc oczy od blasku słońca, rozglądała się bacznie dookoła.

Pośrodku podwórza, na żółtej piaskowej górcie, leżała zielona łopatka Walerki, a obok niej wypłowiwała czapeczka Olka. Nie opodał, wyprężywszy wszystkie cztery łapy, wygrzewała się na słońku ruda, gruba kotka Anielcia. Leniwie mrużyła ślepią i tak wyciągała łapy, jak gdyby chciała je ofiarować mamie w prezencie.

— Anielciu, gdzie oni mogą być?

Kot ziewnął słodko, spojrzął na mamę jednym ślipkiem i leniwie obrócił się na plecy.

— O Boże, gdzie się te dzieci podziały? — mruzczała sama do siebie mama.

Pokręciła się po podwórzu, rzuciła okiem do pralni i zajrzała nawet do ciemnych okien piwnicy, gdzie leżały drwa.

Dzieci ani śladu.

— Olku! — zawołała raz jeszcze.

Nikt się nie odezwał.

— Walerciu!

„Hau, hau!“ — rozległo się w pobliżu szczekanie.

W oficynie głośno trzasnęły drzwi. Na podwórze wpadło wielkie psisko z ostrą mordą owczarka, wlokąc za sobą smycz.

Gruba kotka Anielcia jednym susem znalazła się na sągu dREW. „Tssss — zasyczała podnosząc w górę łapę. — Sssspokój!“ Psisko ze złością warknęło na Anielcię, z rozpędu wpadło na górkę piasku i zaczęło się tarzać, wzbijając gęsty tuman pyłu. Po chwili otrzepało się i z głośnym szczekaniem rzuciło na mamę.

Mama odskoczyła w bok.

— Idź sobie! Idź sobie! Pójdziesz!

— Dżek! Tutaj! Do nogi! — odezwał się w sieni czyjś donośny głos.

Na podwórze wtoczył się grubas w sandałach włożonych na bosc stopy, z zapalonym papierosem w ręku. Był to lokator z czwartego piętra, fotograf Szmidt.

— No, co ty sobie myślisz, Dżek? — zapytał surowo i pogroził serdelkowatym palcem.

Dżek merdnał ogonem z poczuciem winy.

— Co za głuPtas! — roześmiał się fotograf.

Z udanym ziewaniem Dżek podszedł do swego pana, przysiadł i starannie wydrapał się po karku tylną łapą.

— Piękną mamy dziś pogodę, prawda? — z uprzejmym uśmiechem zagadnął grubas mamę. — Nie wybiera się pani na wieś? Teraz najlepsza pora — można grzybków nazbierać, rybek nałowić.

Mama popatrzyła na sąsiada, potem na psa i powiedziała z wyrzutem:

— Znów go pan wypuścił bez kagańca! Przecież to prawdziwy rozbójnik! Tylko wypatruje, kogo by capnąć za nogę!

— Pani mówi o Dżeku? — zdziwił się grubas. — Cóż znowu! Mój Dżek nawet dziecku krzywdy nie robi. Spokojny jak trusia. Chce go pani pogłaskać?

Mama machnęła ręką.

— A jakże! Akurat mi teraz w głowie głaskanie psów! W domu obiad stygnie, w mieszkaniu bałagan, a ja nie mogę się dowołać dzieciaków... Nie rozumiem, gdzie się podziały! Olku! Walerko! — krzyknęła znowu na cały głos.

— Niech pani pogłaszcze Dżeka i ładnie go poprosi. Niech pani mu powie: „Pieseczku, odszukaj jak najprędzej Olka i Walerkę“. Znajdzie ich migiem!

Szmidt pochylił się nad psem i poklepał go po karku:

— Co, Dżekuś, znajdziesz?

Dżek pisnął cichutko i nagle podskoczył, żeby liznąć swego pana prosto w twarz. Grubas odsunął się raptownie i wytarł policzek rękawem.

Mama roześmiała się.

— Nie ma się z czego śmiać — z powagą oznajmił Szmidt — przecież to jest pies gończy. Idzie za śladem człowieka jak parowóz po szynach. Chce się pani przekonać?

— Wierzę bez dowodów — powiedziała mama — wierzę w zupełności.

— Ależ, pani wybaczy — zdenerwował się grubas — skoro tak mówię, to tak jest! Proszę zaraz mi tu dać jakąś rzecz Olka albo Walerki. Zabawkę, koszulę, czapkę... Wszystko jedno, co.

Mama wzruszyła ramionami, ale jednak schyliła się, podniosła z piasku czapkę Olka i podała ją Szmidtowi.

— Wspaniale! Znakomicie! Bardzo dobrze! — ucieszył się tamten i podsunął Dżekowi pod nos czapeczkę chłopca.

— No, Dżekuś! — rozkazał głośno — pokaż, jak pracujesz! Szukaj! Szukaj, piasku!

Dżek szczechnął, pochylił łeb do samej ziemi i z wyciągniętym ogonem zaczął biegać, zataczając kręgi.

Za nim rażno pomknął jego pan.

Dżek dobiegł do ułożonego stosu drew, zatrzymał się nagle, podskoczył, stanął na tylne łapy, a przednie oparł na sągu. Jego nos znalazł się tuż przy kocie mordce.

„R-r-r-rozedrę na strzępy” — warknął pies.

Kot się zerwał, wygiął plecy w kabłąk i błysnąwszy zielonymi ślepiami, syknął jak żmija: „S-s-s-próbuj”.

Pies usiłował schwycić go za ogon. Kot fuknął, zjeżył się i tak go trzepnął po pysku, że biedny pies zawył z bólu i przykrości, ale natychmiast oprzytomniał i z wielkim ujadaniem rzucił się na Anielcię. Kot zasyczał jeszcze głośniej, podniósł łapę i wrzasnął w swoim kocim języku: „Sz-sz-sz-szoruj stąd! Prz-rz-rzetrączę!”

— No, dosyć tego, Dżek! — zirytował się fotograf. — Nie rozpraszaaj uwagi! — I tak mocno pociągnął za smycz, że pies przysiadł na zadzie. — Teraz szukaj!

Dżek gniewnie szczeknął na kota i pobiegł dalej. Obleciał całe podwórze, zatrzymał się przy rynnie i głośno wciągając nosem powietrze, popatrzył na swego pana.

— Rozumiem, Dżekuś! Wszystko jasne jak na dłoni — skinął mu głową fotograf. — Chcesz powiedzieć, że oni tu siedzieli i pewnie bawili się z Anielcią? Wspaniale! Ale dokąd poszli z tego miejsca? Trzeba szukać, Dżekuś! No? Szukaj, piesku, szukaj!

Dżek zaczął się wiercić, kręcić w kółko, jak bąk, wreszcie pokrobał łapą ziemię pod rynną i z ogłuszającym szczekaniem pomknął w stronę frontowego wejścia.

— Aha, widzi pani? — triumfował Szmidt. — Już trafił na ślad!

Fotograf w podskokach pobiegł co tchu za swoim psem.

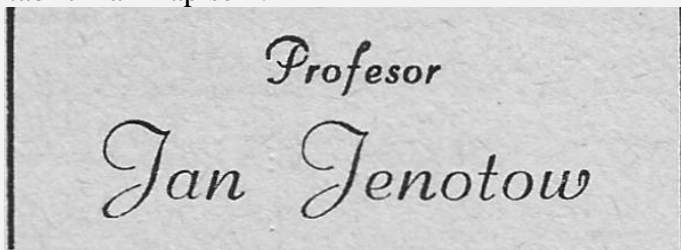
— Jak pan znajdzie dzieci, to proszę kazać im natychmiast wracać do domu! — krzyknęła za nim mama i poszła w stronę bramy.

„Na pewno są na sąsiednim podwórzu” — pomyślała i nie zwracając więcej uwagi na Dżeka i jego pana, wyszła za bramę.

Na mocno napiętej smyczy Dżek ciągnął swego pana po schodach do góry.

— Pomału, pomału — sapał grubas, ledwo nadążając za psem.

Na podeście czwartego piętra Dżek zatrzymał się chwilę, zerknął na swego pana, szczekając urywanie, i rzucił się do drzwi obitych ceratą i wołokiem. Na drzwiach widniała biała emaliowana tabliczka z napisem:



Nieco poniżej przypięta była kartka:
Dzwonek nie dzwoni. Proszę stukać.

Dżek podskakiwał z piskiem i drapał natarczywie w obite ce-
ratą drzwi.

— Do nogi, Dżek! — zmiłgował go jego pan. — Proszą nas
przecież, żeby stukać, a nie piszczeć.

Fotograf Szmidt przyglądał dłońią włosy, starannie wytarł
chusteczką spoconą twarz, następnie zgiętym palcem delikatnie
zapukał do drzwi.

W mieszkaniu rozległy się szurające kroki, a po chwili szczęk-
nął otwierany zamek.

Drzwi się uchyliły i ukazała się w nich twarz z puszystymi,
siwymi brwiami i żółtobiałą brodą.

— Pan do mnie?

— Przepraszam, panie profesorze... — z zażenowaniem bąknął
fotograf — ja tylko chciałem zapytać...

Grubas nie zdążył dokończyć zdania, bo Dżek wyrwał mu z rę-
ki smycz i omal nie przewracając profesora, rzucił się do miesz-
kania.

— Dżek, wracaj! Do nogi! — krzyknął Szmidt.

Ale Dżek zamiatał już smyczą gdzieś w końcu korytarza.

— Przepraszam najmocniej pana profesora, Dżek to jeszcze
szczeniak... Czy pozwoli pan wejść? Zaraz go stąd wyprowadzę.

— Ależ tak... oczywiście... — z roztargnieniem powiedział
profesor, odsuwając się, żeby przepuścić gościa. — Mam nadzieję,
że pański pies nie gryzie.

— Bardzo rzadko — uspokoił go Szmidt.

Fotograf przestąpił próg mieszkania. Zamknawszy za sobą
drzwi, odezwał się półgłosem:

— Stokrotnie przepraszam! Ja na momencik... Czy u pana, pa-
nie profesorze, nie ma dzieci... Olka i Walerki? Z pierwszego
piętra...

— Chwileczkę, chwileczkę... Olek i Walerka? Oczywiście!
Znam ich doskonale. Bardzo przyjemne dzieciaki. Grzeczne, inte-
ligentne...

— Są teraz u pana?

— Nie, dzisiaj ich tu nie było.

— Dziwne — wymamrotał grubas. — Dżek z taką niezachwia-
ną pewnością szedł ich śladem...

— A może to wczorajszy trop? — uprzejmie zapytał profesor.

Ale Szmidt nie zdążył odpowiedzieć. W głębi mieszkania rozległo się donośne ujadanie, zaraz potem coś stuknęło, zabrzęczało i zadźwięczało, jak gdyby zwała się szafa albo stół z zastawą. Profesor drgnął nerwowo.

— On tam wszystko potłucze! — jęknął rozpaczliwie, chwycił Szmdta za rękaw i pociągnął go ciemnym korytarzem.

— Tędy, tędy! — mruczał. Wreszcie pchnął jakieś drzwi.

Gdy tylko profesor z gościem znaleźli się w pokoju, Dżek rzucił się swemu panu na piersi, pisnął, szczeknął i wrócił do przerwanego zajęcia.

Biegał jak szalony, wlokąc za sobą smycz. Obwąchiwał szafy biblioteczne pełne książek, wskakiwał na obite skórą fotele, kręcił się pod stołem, miotał bezładnie z kąta w kąt.

Na stole dzwoniły, podskakując, kolby, retorty, chwiały się wysokie, przezroczyste szklanki, drżały cienkie probówki.

Od mocnego pchnięcia zakołysał się, błysnąwszy w słońcu, mikroskop. Profesor ledwo zdążył go pochwycić. Ale ratując mikroskop zaczął rękawem lśniąca niklem czareczki jakiejś wielce skomplikowanej wagi. Czareczki spadły, podskoczyły i z brzękiem potoczyły się po jasnej posadzce.

— No i co, Dżek — ponuro strofował psa fotograf — zblamałaś się? Hałasujesz tylko po próżnicy. No? Gdzie są dzieci?

Dżek przekrzywił łeb. Nastawił uszy i uważnie wpatrywał się w swego pana, starając się pojąć, za co go besztają.

— Wstydź się, Dżek! — z wyrzutem pokręcił głową fotograf. — Na próżno nazywasz się gończym. I to ma być pies z dyplomem! Umiesz tylko koty ganiać, ale do tropienia nie nadajesz się wcale. No, jazda do domu! Panie profesorze, proszę mi wspinałomyślnie darować to najście.

Fotograf skłonił się niezgrabnie i postąpił krok w stronę drzwi. Ale w Dżeka wstąpił nagle istny szatan. Chwycił swego pana zębiskami za nogawkę i, opierając się z całych sił łapami o śliską posadzkę, połaszczył go do stołu.

— Co się z tobą dzieje? — dziwił się grubas.

Dżek skomląc cichutko znowu zaczął biegać wokół stołu, a potem wskoczył na stojącą przy otwartym oknie sofę.

Położył łapę na parapecie i krótko, urywając zaszczeakał.

Szmidt rozeźlił się na dobre.

— Do nogi! — krzyknął, ściągnając psa za obrozę, ale Dżek z uporem potrząsnął łbem i dalej rwał się na otomanę.

— Nic nie rozumiem! — rozłożył ręce fotograf.

— Na pewno wyczuł za kanapą mysz — snuł domysły profesor. — A może leży tam skórka od chleba albo kość? Ja tu często jadam obiady. — Podszedł do sofy i odsunął ją od ściany.

Za oparciem mebla coś miętko zaszeleściło i spadło na podłogę.

— Skórka! — zawołał profesor.

Dżek szarpnął się do przodu. Wcisnął się pomiędzy ścianę a odsuniętą sofę, zamerdał ogonem i słysząc było, że schwycił coś zębami.

— Co tam masz, pokaż! — rozkazał profesor.

Dżek cofnął się, pokręcił łbem, ostro zawrócił w stronę swego pana i położył mu u stóp dziecinny, przydeptany sandalek.

Fotograf z niezbyt mądrą miną obracał w dłoni znaleziony przedmiot.

— Jeśli się nie mylę, to jest, że tak powiem... dziecięce obu-
wie...

— Hm... Dziwne — mruknął pod nosem profesor oglądając sandalek. — Bardzo dziwne...

Obaj mężczyźni medytowali nad sandalkiem, a tymczasem Dżek wyciągnął spod kanapki jeszcze trzy: jeden taki sam i dwa mniejsze.

Profesor i grubas głowili się nadaremnie i bezradnie spoglądali to na siebie, to na treпки. Szmidt postukał zgiętym palcem po twardej podeszwie i nagle ni w pięć, ni w dziewięć oznajmił: — Mocne! Dobre sandalki!

Tymczasem Dżek wydobył z za kozetki najpierw jedno granatowe kąpielówki, potem drugie, przycisnął je łapą do podłogi i szczechnął z cicha.

— A to co znowu? — stropił się profesor.

Schylił się i wyciągnął ręce po majteczki, ale Dżek wyszczerzył kły i tak zawarczał, że profesor czym prędzej cofnął rękę.

— Jaki ten pies ma niemiły charakter — powiedział nieśmiało.

— Tak, niestety, nie zbywa mu na grzeczności — zgodził się fotograf.

Wziął kąpielówki, otrzepał je, złożył starannie i podał uczonemu.

— Proszę!

Ten zerknął z ukosa na Dżeka.

— Dziękuję, nie trzeba, widzę je i bez tego... No tak... No tak... Są nawet znaczone! „W“ i „O“! Walerka i Olek! — Dotknął palcem białych literek wyhaftowanych na paskach kąpielówek.

Grubas otarł dłonią spoconą twarz.

— Czy w tym mieszkaniu jest łazienka? — zapytał rzeczowo.

— Nie — odparł profesor — łazienki nie mam; ale jeżeli chce pan umyć ręce, to proszę...

— Co znowu! — zasapał grubas. — Mogę przecież myć się w domu. Myślałem po prostu, że dzieci rozebrały się i weszły do wanny. Rozumie pan?

— Tak, oczywiście — skinął głową profesor.

— No, bo gdzie się mogły podziać, gołę... bez kąpielówek, bez sandałków... Jestem ciemny jak tabaka w rogu! — rozłożył ręce Szmidt.

Stanął na rozkraczonych nogach, założył ręce do tyłu i ze spuszczoną głową długo wpatrywał się w żółte kwadraty posadzki, po czym wyprostował się i powiedział z niezachwianą pewnością siebie:

— To nic! Zaraz ich znajdziemy. Oni są tu! Po prostu gdzieś się schowali! Może pan być pewien, profesorze. Mój Dżekus nigdy się nie myli!

Profesor z gościem obeszli wszystkie pokoje, zajrzeli do kuchni, a nawet spenetrowali ciemną komórkę.

Dżek lazał za nimi ospale.

W jadalni grubas otworzył drzwiczki kredensu, wsadził głowę pod stół, a w sypialni nawet grzebał rękami pod łóżkiem. Ale po dzieciach nie było nigdzie ani śladu, ani popiołu.

— Gdzie też mogły się schować? — mamrotał zdziwiony.

— Według mnie dzisiaj tu wcale nie przychodziły.

— Tak pan sądzi? — w zamyśleniu zapytał fotograf. — Sądzi pan, że nie przychodziły? A ty co na to, Dżek? Są tutaj czy nie?

Dżek szczechnął.

— Są tutaj?

Pies szczechnął ponownie.

— No to idź, poszukaj, piesku.

Dżekowi od razu poprawił się humor. W susach zaprowadził gospodarza oraz swego pana z powrotem do gabinetu. Znowu wskoczył na parapet i zaczął szczeakać i głośno skomlać, jak gdyby chciał przekonać swego pana, że dzieci wyszły z mieszkania przez okno.

Szmidt rozgniewał się nie na żarty.

— Ach, ty durny szczeniaku! Myślisz, że dzieci zeskoczyły na dwór z czwartego piętra? Albo że wyfrunęły jak muchy czy ważki?

— Co? — Profesor wpadł wyraźnie w zadumę. — Pofrunęły? Gdzie ważka?

Fotograf wyjaśnił z uśmiechem:

— To tylko mojemu Dżekusiowi tak się ubzdurało!

Nagle profesor schwycił się oburącz za głowę i jęknął:

— To okropne!

Gość spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Co panu jest? Może szklankę wody? Zbladł pan jak ściana!

Postąpił krok w stronę stołu, na którym zobaczył karafkę z wodą, ale profesor krzyknął tak gwałtownie, jak gdyby dotknął bosą nogą rozżarzonego żelaza.

— Stop! Stop! Nie ruszać się z miejsca!

Wystraszony fotograf stanął jak wryty.

Profesor błyskawicznym ruchem wyciągnął rękę, porwał ze stołu szklankę z bezbarwnym płynem, szybko podniósł ją na wysokość oczu i spojrział pod światło. Potem w wielkim pośpiechu sięgnął do kieszeni, wyciągnął dużą lupę na czarnej kościanej ręczce i zawołał do Szmidta:

— Niech pan się nie rusza! Błagam, proszę stać w miejscu! I mocno trzymać psa! Lepiej niech go pan weźmie na ręce! Zaklinam pana!

Wystraszony grubas popatrzył błędnym wzrokiem na uczonego i nie pytając więcej o nic, wziął psa na ręce i mocno przytulił do siebie.

„Zdaje się, że staruszek zbzikował“ — przeleciało mu przez myśl.

— Niech pan tak stoi! — szalał dalej profesor.

Trzymając przed oczami lupę, zgięty we dwoje, zaczął uważnie oglądać kwadraty posadzki jeden po drugim.

— Długo mam tak stać, panie profesorze? — nieśmiało za-

gadnął fotograf, wodząc niespokojnym wzrokiem za gospodarzem wykonującym jakieś dziwaczne ruchy.

— Proszę postawić nogę ot tutaj! — rzucił profesor, wskazując palcem na najbliższy kwadrat podłogi.

Szmidt niezgrabnie postawił nogę, przy czym tak mocno ścisnął Dżeka, że pies cichutko zaskomlił i zaczął mu się wydierać z rąk.

— Leżeć! — ofuknął go fotograf, ze strachem zerkając na profesora.

— Teraz drugą nogę! Tutaj!

Grubas bez szemrania wykonał rozkaz.

W ten sposób, krok za krokiem, profesor doprowadził oniemiałego ze zdziwienia gościa do drzwi.

— A teraz — powiedział, otwierając je na oścież — proszę wyjść.

Drzwi zatrzasnęły się przed nosem Szmidta.

Zamek szczęknął dźwięcznie. Grubas wypuścił z objęć psa i jak szalony pogalopował po schodach w dół, ciężko dysząc i oglądając się co chwila.

Za nim z rozgłośnym ujadaniem pędził Dżek.

W ten sposób dobiegli do posterunku milicji.

O zmierzchu na podwórze wjechała ciężarówka. Zeskoczyło z niej kilku milicjantów, wzięli z sobą dozorcę i poszli na czwarte piętro, do profesora Jenotowa.

Ale nie zastali go w domu.

Na drzwiach wejściowych wisiała, przypięta błyszczącymi pluskiewkami, kartka następującej treści:

Nie szukajcie mnie. Daremny trud. Profesor J. Jenotom

ROZDZIAŁ DRUGI

CUDOWNY PŁYN. ZAGADKOWE ZACHOWANIE SIĘ KĄPIELÓWEK I SANDAŁKÓW. NIEZWYKŁE PRZEOBRAŻENIE W NAJZWYKLEJSZYM POKOJU. PRZYGODA NA PARAPECIE. OLEK I WALERKA UDAJĄ SIĘ W PRZEDZIWNĄ PODRÓŻ

A rzecz miała się następująco:

Poprzedniego dnia po południu Olek siedział w gabinecie profesora Jenotowa.

Bardzo lubił o szarówce gawędzić z uczonym sąsiadem.

Cały gabinet pogrążony jest w półmroku, z ciemnych kątów suną ku sufitowi długie, czarne cienie, jak gdyby tam się ktoś przyczaił i teraz wyłazi, żeby zerknąć na jasną plamę nad wielkim stołem.

Drgając i pełgając wyciągają się niebieskie płomyki spirytusowych maszynek ku okrągłym denkom szklanych kolb. A w tych kolbach coś bulgocze i wre.

Powolutku przesączają się przez filtry przezroczyste krople i dźwięcznie spadają do butli.

Olek usadowił się w największym fotelu i podkurczył nogi.

Brodę oparł o stół i uważnie śledził zręczne ruchy rąk profesora, aż oddech wstrzymał z wrażenia, aż zamarł cały.

Profesor podczas pracy pogwizduje, opowiada Olkowi zabawne historyjki ze swego dzieciństwa, ale najczęściej mówi o tym, co widział w Afryce, w Ameryce i Australii, a wszystko to razem jest niebywale zajmujące.

Teraz na przykład podwinął rękawy białego fartucha, pochylił się nad stołem i wolniusieńko, kropla po kropli, przelewa do wąskich szklaneczek gęstą, oleistą ciecz.

Od czasu do czasu dorzuca jakieś błyszczące kryształki, a wtedy w płynie tworzą się białe klączki i krążąc wolniutko, opadają na dno.

Następnie profesor dolewa z menzurki coś granatowego, ale płyn, nie wiedzieć czemu, staje się od tego różowy.

Pewnie, że to wszystko jest niesłychanie zajmujące, toteż Olek gotów jest przesiedzieć przy tym stole do białego rana.

Nagle profesor Jan Jenotow w pośpiechu wytarł ręce ręcznikiem, chwycił za szyjkę wielką kolbę i szybko, szybciej niż zawinał ją w granatowy papier.

— No — powiedział — nareszcie mogę pogratulować sobie sukcesu!

— Gotowe? — uradował się Olek.

— Tak. Teraz trzeba go tylko odbarwić i...

Profesor przytknął palcami i zaśpiewał na całe gardło:

O płynie, pięknieś mi się udał!

Teraz będziemy czynić cuda!

Olek skrzywił się mimo woli: wprawdzie profesor śpiewał bardzo głośno, ale nie miał za grosz słuchu i dlatego wszystkie piosenki wychodziły na jedną melodię, bardzo podobną do wycia wiatru w kominie.

— A co będzie, jeżeli królik nie zechce wypić?

— Co to znaczy „nie zechce”? — profesor wzruszył ramionami. — Zmuszę go, i basta... Ale to już jutro! A teraz...

Spojrzał na zegarek i zaczął się uwijać:

— Aj-aj-aj! Oleczku! Aleśmy się zasiedzieli!... Już jedenasta! Tak... jedenasta minut dwie.

Chłopiec zrozumiał, że musi iść do domu.

Przez całą noc Oleś niespokojnie przewracał się z boku na bok. We śnie zobaczył różowiutkiego słonia, i to takiego maciupiękiego, że można by go wsadzić do naparstka. Słonik jadł kompot, biegał po stole wokół talerzy i tak figlował, że rozsypał sól, a sam wreszcie o mały włos byłby utopił się w musztardzie. Olek wydobył go z musztardy i chciał obmyć na spodeczku, ale słonik wyrwał się i szturchnął chłopca trąbą w ramię. A potem wskoczył mu na głowę i odezwał się głosem jakiejś znajomej dziewczynki:

— Co ci jest, Olku? Czego tak wrzeszczysz?

Olek otworzył oczy. Był słoneczny ranek. Przy jego łóżku, owi-

nięta w kołdrę, stała Walerka.

— Aha! Już się zbudziłaś! — oprzytomniał Olek. — To świetnie. Ubieraj się prędyutko!

— Po co?

— Trzeba iść. Do profesora Jenotowa. Żebyś wiedział, co się tam dzisiaj będzie wyrabiało! Jakie cuda! Coś nadzwyczajnego!

— A co?

— Ubieraj się szybciej!

— No to ja włożę tylko kąpielówki i sandaiki! — oznajmiła Walerka, spieszenie ścieląc łóżeczko.

— Kładź, co chcesz, tylko nie marudź!

Szukając pod łóżkiem swoich trepeków, Olek opowiadał szep-tem:

— Masz pojęcie, jak on to wspaniale wykombinował?

— Wykombinował?

— No tak! Profesor wykombinował... Taki płyn... Różowy. Rozumiesz?

— Smaczny? — zapytała Walerka, zapinając paski u sandaików.

— Pyszny... Chociaż jeszcze nie wiadomo... Dla królików! Dzisiaj da im spróbować tego płynu, a jak go wypiją — wtedy... Ojej!

— Nadzwyczajne! — klasnęła w dłonie dziewczynka.

— A wiesz, co się z nimi stanie?

Walerka szeroko otworzyła oczy.

— Co się z nimi stanie? — powtórzyła nie wiadomo dlaczego szep-tem. — Z królikami?

Olek chwilę pomyślał, a potem przyznał się uczciwie:

— Na razie jeszcze nie wiadomo, czy z nimi coś się stanie, czy nie, ale... zobaczymy. Przecież to dopiero doświadczenia. No, chodźmy szybciej!

Zamknęli za sobą drzwi, po czym cichusieńko przemknęli się przez pokój mamusi. Mama obudziła się i coś tam zawołała za nimi, ale Olek chwycił siostrę za rękę, pogroził jej palcem i szybko pociągnął za sobą.

— Nic się nie odzywaj — nakazał — bo inaczej zaraz zacnie się: wyszoruj zęby, umyj się, ubierz, zjedz śniadanie, nie machaj przy stole nogami... Na pewno byśmy się spóźnili!

Dzieci przebiegły przez podwórze i wpadły na frontową klatkę,

po czym, nie oglądając się za siebie, popędziły na czwarte piętro. Olek pierwszy dopadł drzwi, na których wisiała kartka z napisem:
Dzwonek nie dzwoni. Proszę stukać.

Chłopiec zastukał, ale nikt się nie odezwał. Wtedy pociągnął za klamkę i drzwi nagle się otworzyły.

Dzieci weszły do na pół ciemnego korytarza. Było tu chłodno. W rogu matowo lśniło wielkie lustro. Z góry, z dużej szafy, spo

głądały na nich popiersia z brązu i z marmuru. Na wieszaku wisiało futro profesora, palto i ciepły płaszcz, podobny do szachownicy.

W mieszkaniu było cicho. Gdzieś zupełnie daleko, pewnie w kuchni, kapała z kranu woda. W jadalni miarowo tykał zegar.

— Pan profesor na pewno jest u siebie w gabinecie — powiedział Olek. — Chodźmy prędzej!

Ale tam również nie było nikogo.

Dzieci postanowiły zaczekać na pana domu.

Okna w gabinecie otwarte były na oścież. Wczesne letnie słońce szcudrobliwie rzucało ukośne promienie na wielki, biały stół, cały zastawiony pękatymi słoikami, kolbami i retortami. Pomiedzy słoikami stały w szklankach całe pęczki bardzo długich szklanych rurek. Oślepiąco lśniły w promieniach słońca niklowane miseczki, matowo błyszcząły porcelanowe moździerzce, wesolo płonęły mosiężne części mikroskopu. Żwawe zajaczki słoneczne galopem przemykały po suficie, ślizgały się po ścianach, skakały po kolbach i retortach.

Zwaliste i dostojne stały pod ścianami oszklone szafy pełne grubych i cienkich książek.

Nazwy tych książek jakoś by się tam może odczytało, ale żeby zrozumieć, co one znaczą, trzeba by na pewno bardzo długo się uczyć. Złożonymi literami wypisane były na grzbietach takie tytuły, jak: „Ekologia zwierząt”, „Hydrobiologia”, „Chironomidy”, „Askarydy”.

Chyba lepiej tych książek nie ruszać...

Dzieci w milczeniu obeszły cały gabinet, troszeczkę podkręciły śrubki mikroskopu, po kolei posiedziały w skórzanym fotelu —

na oparciu leżał z rozpostartymi, pustymi rękawami fartuch profesora — i zaczęły oglądać słoiki, kolby i retorty.

— A w którym słoiku jest ten smaczny płyn? — zapytała Walerka. — Mówiłeś, że profesor wykombinował jakiś smaczny płyn.

— Walerka, lepiej odejdz od stołu — zmitygował ją brat. — I nic nie ruszaj!

— Nie ruszam — westchnęła Walerka i podsunęła się zupełnie bliźutko do wysokiej, wąskiej szklanki, napełnionej po brzegi jasnym, srebrzystym płynem. Z dna naczynia unosiły się ku górze małe, świecące banieczki i bezdźwięcznie pękały na powierzchni płynu, który przypominał wodę sodową i na pewno był taki sam chłodny. Walerka ostrożnie wzięła do ręki smukłą szklankę. Była zimna jak lód. Dziewczynka podniosła ją na wysokość twarzy i powąchała. Woda miała zapach brzoskwiń i pachniała jeszcze czymś innym, nieznanym, ale bardzo, bardzo smacznym.

— Och, jaki wspaniały zapach! — zawołała Walerka.

— Odstaw na miejsce! — ofuknął ją zirytowany Olek. — Nic nie ruszaj, powiedziałem. To może być trucizna. Odejdz od stołu, słyszysz?

Walerka odstawiła na miejsce szklankę, ale od stołu nie odszła: płyn pachniał tak nęcąco, że miała ochotę powąchać go jeszcze raz.

— Walerka, odejdz! — nakazał Olek. — Bo powiem mamie. Słowo honoru!

Dziewczynka obeszła stół dookoła, posiedziała chwilę w fotelu, ale niebawem powróciła i jakby od niechcenia znów znalazła się przed kuszącą szklanką.

— Wiesz co, Olku? Przecież to jest nagazowana woda! — powiedziała i nagle poczuła takie pragnienie, jak gdyby przez cały dzień jadła wędzone śledzie.

— Nie ruszaj! — wrzasnął Olek.

— A jeżeli chce mi się pić?

— To idź do domu i napij się herbaty.

Walerka nic nie odpowiedziała. Podeszła do okna, wyjrzała na dwór, a kiedy Olek odwrócił się na chwilę, szybko podbiegła do stołu, chwyciła szklankę i upiła z niej odrobinę.

— Co za pycha! — szepnęła z zachwytem.

— Walerka, zwariowałaś?

— Ach, Olku, spróbuj tylko, jakie to wspaniałe! — i wyciągnęła do brata szklankę. — Zimna i przepyszna... Nigdy takiej nie piłam..

— A jeżeli to się okaże trucizną? — zawahał się Olek, patrząc z niedowierzaniem na srebrzysty płyn.

— Trucizna jest gorzka — roześmiała się Walerka — a to jest świetne.

Olek przestępował z nogi na nogę.

— Na pewno jakieś paskudztwo! — odezwał się wreszcie i niezdecydowanie wyciągnął rękę w stronę szklanki.

— Wcale nie paskudztwo. Spróbuj! Pachnie brzoskwiniami i ma smak lemoniady. Tylko jeszcze lepsze!

Chłopiec rozejrzał się wokoło. Gdyby w tym momencie do pokoju wszedł profesor, Olek naraziłby się na bardzo nieprzyjemne wymówki. Ale chwilowo w gabinecie była tylko Walerka, toteż Olek wypił parę łyżków i odstawił szklankę na miejsce.

— Masz rację, świetne! — przyznał. — Tylko nie pij już wię-

cej, bo profesor niebawem wróci i będziemy dalej robić doświadczenia.

— Zgoda — westchnęła Walerka i z zalem spojrzała na szklankę.

Dzieci włożyły na sofę stojącą niedaleko stołu, a z niej — na parapet okienny.

Wychyliły się i tak leżały, zwiesiwszy głowy za okno, machając nogami i gapiąc się z wysoka na podwórko.

Na dole spacerowała kotka Anielcia. Wydawała się maleńka jak zabawka.

— Ależ wysoko! — zawołała Walerka. — Ty byś skoczył?

— Pewnie! — odparł Olek. — Na spadochronie.

— A bez spadochronu?

— Bez spadochronu? Nie, z takiej wysokości nie skacze się bez spadochronu.

Przed oknami śmigają jaskółki, łapiąc w locie muszki. Perłowe gołębie siadały na balkonach i gzymsach okiennych.

— Ważka! — krzyknęła nagle Walerka. — Popatrz, popatrz!

Prosto w kierunku dzieci frunęła szybko, być może uciekając przed jaskółkami, błękitna ważka. Gdy zobaczyła dzieci, zastygła nieruchomo w powietrzu, potem rzuciła się w bok i z takim rozmachem uderzyła w szybę otwartego okna, że upadła na parapet jak nieżywa.

— Moja! — wrzasnął Olek.

— Nie, moja! — klóciła się Walerka. — Ja ją pierwsza dostrzegłam!

Ważka tymczasem leżała na parapecie pomiędzy Walerką a Olkiem i bezradnie przebierała malusieńkimi łapkami.

Olek wyciągnął co niej rękę. Nagle wydało mu się, że gubi kąpielówki. Więc schylił się gwałtownie, ale już nie zdążył ich pochwycić — majteczki ześliznęły się, a w ślad za nimi spadły z nóg sandałki.

Chłopiec chciał zeskoczyć z parapetu na kanapę stojącą pod oknem, ale kanapa nagle i niespodziewanie pomknęła w dół z taką szybkością jak winda zjeżdżająca z górnych pięter.

Olek zbaraniał, błędnym wzrokiem zaczął się rozglądać i zobaczył, że cały pokój jakoś się dziwacznie rozciąga do góry i do dołu.

— A to co?! — krzyknął przerażony.

Ściany, podłoga i sufit rozsuwały się jak miechy olbrzymiej harmonii.

Żyrandol pomknął wzwyż razem z sufitem, podłoga z dużym rozpędem leciała w dół.

Nim minęła minuta, pokój był nie do poznania.

Wysoko nad głową kołysał się gigantyczny, szklany statek powietrzny, cały obwieszony lśniącymi w słońcu, przezroczystymi sopłami.

To był żyrandol.

Daleko w dole rozpostarło się nieobjęte, żółte pole, poprzecinane równymi kwadratami. Na tych kwadratach leżały porzucane czworoboczne bale z osmalonymi końcami, tuż obok — długa, biała rura, a na niej widniały wielkie litery, tworzące napis: „EKSPRESOWE”. Jeden koniec rury był nadpalony i uwieńczony wielką czapą szarego popiołu.

Z boku, niczym skórzane góry, stały czarne fotele, a białe fartuch profesora leżał na nich jak wieczne śniegi na niebotycznych

szczytach.

Tam gdzie przedtem były szafy biblioteczne, teraz wznosiły się drapacze chmur ze szkła i brązowych bali. Poprzez szkło można było dostrzec wielkie jak czteropiętrowe kamienice książki.

— Olku, co to? — spokojnie zapytała Walerka, przyglądając się z zaciekawieniem cudownemu przeobrażeniu pokoju.

Dopiero teraz Olek zauważył siostrę. Stała obok niego bez trepek i kąpielówek.

— Popatrz, popatrz, Olku, jakie to zabawne — roześmiała się nagle. — Pewno zaczęły się doświadczenia, prawda?

Ale chłopak nie zdążył odpowiedzieć, bo tuż przy nim coś zahuczało, zastukotało i z parapetu uniosły się gęste chmury kurzu. Walerka wpiła się palcami w ramię braciszka. W tej chwili powiał wiatr. Kurz wzbił się ku górze i wolniutko rozproszył.

— Oj! — krzyknęła dziewczynka.

Na tym samym miejscu, gdzie przed sekundą leżała niewielka wałka, ruszało się grube i długie jak pień drzewa, rozczłonowane cielsko z wielkim hakiem na końcu.

Pokryty turkusowobłękitnymi plamami brunatny tułów przebiegały skurcze. Stawy ruszały się, to wpełzając na siebie, to wyginając się na boki. Cztery ogromne, przezroczyste skrzydła, pokryte gęstą pajęczyną lśniących żyłek, lekko drgały w powietrzu. Potworny łeb walił o parapet.

— Ole-e-ek! — szepnęła Walerka. — Co to?

— Tssss...

Stąpając ostrożnie, Olek poszedł wzdłuż parapetu, podobnego teraz do wyłożonej drzewem autostrady, ale po kilku krokach zatrzymał się, wystraszony.

Stał na skraju przepaści!

Wydawało mu się, że patrzy z wysokości wieży kościelnej.

Wtedy chłopiec pojął, co się stało. Obrócił się do Walerki, wziął ją za rękę i, jękając się ze strachu, powiedział:

— To... To był na pewno płyn dla królików... Rozumiesz? Doświadczenie profesora się udało... Tylko że zmniejszyły się nie króliki, lecz ty i ja!

Walerka nic z tego wszystkiego nie zrozumiała.

— Ale co to takiego? — pytała, wskazując na potwora, leżącego na parapecie.

— To?... Ważka!

— Taka olbrzymia?

— Wcale nie olbrzymia — odparł zgnębiony Olek — ona pozostała taka, jak była. Za to ty i ja zrobiliśmy się maciupęncy... Jak pchelki...

— A to ci heca! — ucieszyła się Walerka.

— Głupia! — rozgniewał się Olek. — Nie ma w tym nic zabawnego! Teraz wsadzą nas do słoika i będą oglądać pod mikroskopem.

— Według mnie wcale nie będą oglądać — stanowczo odparła siostra. — Wróci profesor i przemieni nas znowu w dużych.

— Akurat w dużych! On nas nawet nie zauważy!

— To będziemy krzyczeć.

— Nie usłyszysz!

— Nie usłyszysz? A dlaczego? Przecież nie jest głuchy!

— Profesor nie jest głuchy, ale my pewnie mamy teraz głosiki jak komary.

— Coś ty! — uśmiechnęła się z niedowierzaniem Walerka

i krzyknęła ze wszystkich sił: — Hop, hop! Jesteśmy tutaj!

Spojrzała na Olka i zapytała:

— No co? Jak było słyhać?

— Dla nas — dobrze, ale profesor nic nie usłyszy.

— To co teraz z nami będzie?

— Nic wielkiego. Po prostu strzepną nas ścierką z parapetu, zادةpczą nogami, i koniec pieśni...

— Kto strzepnie?

— Nawet sam pan profesor.

— Ścierką?

— No pewnie! Zacznie wycierać kurz i zetrze nas razem z kurzem.

— A my... a my... a my... Posłuchaj, Olku, mam pomysł... Wiesz co? Siądziemy na ważkę. Profesor zauważy ją i na pewno położy na dużym stole, a wtedy my wleziemy pod mikroskop i on nas zobaczy! No naturalnie, że zobaczy... I przemieni znów w dużych... Ładuj się prędko na ważkę!

Walerka złapała brata za rękę.

— No, wsiadaj!

Pomagając sobie wzajemnie, dzieci szybko wdrapały się na ważkę, ale ledwo zdążyły się usadowić, już owad drgnął, zatrzepotał z hałasem skrzydłami, ciężko się poruszył i zasapał jak parowóz. Dzieci poczuły, jak pręży się pod nimi silne, muskularne cielsko.

— Ojej, ona żyje. Złaż prędezej! — pisnęła Walerka.

— To nic, to nic! Trzymaj się mocniej!

Dzieci z całych sił objęły rękami i nogami odwłok ważki, ale ta wyginała się, jak tylko mogła, usiłując uwolnić się od przykrego

ciężaru. Olek i Walerka bujali się i podskakiwali jak na sprężynach.

— Zrzuci nas! — odrzyknął Olek. — Ja jej... O, masz!

Przeçołał się do łba ważki, przechylił się nad nim i z całej siły grzmotnął parę razy pięścią.

Owad drgnął, wygiął się i zamarł bez ruchu.

— Zdaje się, że zdechła — powiedziała Walerka.

— Zobaczymy!

Olek zlął z ważki, obszedł ją dookoła, potem obydwoma rękami chwycił przezroczyste jak z miki skrzydło i spróbował je unieść. Nie dawała znaku życia.

— Zdechła — oznajmił bez wahania, znów wdrapując się na nią.

Przez pewien czas dzieci siedziały bez słowa, co rusz spoglądając w stronę drzwi, ale po jakimś czasie zaczęło im się nudzić, wobec czego zabrały się do starannych oględzin ważki.

— Ależ ma ślipia! Widzisz?

— Aha!

Walerka nieśmiało wyciągnęła dłoń i ostrożnie dotknęła zimnych, jakby odlanych z kryształu oczu.

— Straszne!

Ważka istotnie miała zdumiewające oczy — olbrzymie, wypukłe, przypominające szklane latarnie. Pokryte tysiącami jakby oszlifowanych tafelek, świeciły od wewnątrz niebieskawozielonymi ogniami.

Te dziwne oczy patrzyły równocześnie i na Olka, i na Walerkę, i na niebo, i na sufit, i na podłogę.

Wydawało się, że w każdym oku jarzą się tysiące mniejszych,

zielonkawych oczu, a wszystkie patrzą uważnie i bystro.

Przed tymi wielkimi ślepiami, na samym skraju łba osadzone były jeszcze trzy małe, brązowe oczka, które także bacznie wpatrywały się w dzieci.

Wiesz co? — odezwała się Walerka. — Ona jednak nie zdechła. Widzisz, jak patrzy?

— No to co z tego?

— Co będzie, jeżeli ożyje? Wiesz, czym się żywią ważki?

— Zdaje mi się, że trawą czy sokami z kwiatów — niepewnie odparł Olek. — Nie pamiętam! A bo co?

— Obawiam się, żeby nas nie zjadła, jak ożyje. Kto wie, co ona zazwyczaj wcina?

Walerka spuściła już nogi, zamierzając zejść z ważki, gdy nagle w mieszkaniu jakby huknął piorun, a potem rozległo się miarowe, ciężkie stąpanie.

— Co to? — przeraziła się dziewczynka.

— To... Hura! Idzie profesor! — radośnie krzyknął Olek.

Walerka szybko włązła na dawne miejsce.

Drzwi się zatrzasnęły. Fala powietrza uderzyła o szyby. Do gabinetu wszedł człowiek-góra, z brodą podobną do stogu białej bawełny.

Olek i Walerka wrzasnęli co sił:

— Panie profesorze!

Człowiek-góra szeroko otworzył oczy. Dłoń jego, wielkości stołu w jadalnym pokoju, uniosła się i zatrzymała przy zwiniętym w kształcie muszli uchu, z którego sterczały we wszystkie strony pęki siwych włosów, grubych jak ołówki. Rozejrzał się w prawo i w lewo, nasłuchując, wreszcie wzruszył ze zdziwieniem ramio-

nami.

— Panie profesorze! Pa-a-anie profeso-o-o-orze! — znów krzyknęli chórem Olek i Walerka.

Człowiek-góra westchnął hałaśliwie. W pokoju wszystko zahuczało. O mały włos, a dzieci razem z ważką zleciałyby na dół, na wybrukowane podwórko.

— Do nas! Na ratunek! Tutaj!

Człowiek-góra postąpił krok w stronę okna.

— Hura! — ucieszył się Olek. — Słyszysz!

— Jesteśmy tutaj! Tutaj! — wydzieriała się z całych sił Walerka.

Człowiek-góra zatrzymał się w miejscu.

— Do nas! Do nas! Jesteśmy tutaj! Tu!

Człowiek-góra poszedł w stronę okna.

Ale w tym momencie ważka poruszyła się, zatrzeszczała skrzydłami z miki, wzbila na parapecie gęsty obłok pyłu i razem z Olkiem i Walerką runęła na dół, w niebieski ocean powietrzny.

— Trzymaj się! — wrzasnęła Walerka, chwytając brata za szyję.

ROZDZIAŁ TRZECI

SPOTKANIE W POWIETRZNYCH PRZESTWORZACH. SAMOLOTOBŻARTUCH. SPADOCHRONIARZE MIMO WOLI. PODWODNE WIĘZIENIE. W ŁAPACH POTWORA

Ważka mknęła szumiąc przezroczytymi, sztywnymi skrzydłami, które chrzęściły jak zrobione z blachy.

Ostry wiatr pędził dzieciom na spotkanie, szarpał za włosy, świdrująco gwizdał w uszach, smagał po twarzy, oślepiął. Trudno było złapać oddech. Mocno uczezione ważki, obejmując ją kurczowo ramionami i nogami, dzieci siedziały na pół żywe ze strachu.

— Olku! — zawołała poprzez wycie wiatru Walerka. — Jak tu się utrzymać? Mnie ściąga!... Ściąga... pęd powietrza!

— Milcz! Bo spadniemy! — odkrzyknął Olek i aż się zatchnął od wiatru.

A wicher dął z taką mocą, jak gdyby chciał oderwać ich od ważki i cisnąć w dół. Dzieci mocno przywarły do owada, ale i to nie pomagało.

— Połóż się, Walerko! — zawołał chłopiec wyciągając się jak długi.

Walerka poszła za jego przykładem.

— No i co? — zapytał brat. — Lepiej?

— Troszeczkę!

Rzeczywiście, obecnie napór wiatru nie dawał się tak odczuwać. Można było otworzyć oczy, a nawet rozejrzeć się dookoła.

Nie unosząc głowy Walerka krzyknęła:

— Tak zupełnie to nie jest strasznie!

Poprzez świst wiatru Olek usłyszał jedno tylko słowo: „strasznie”.

Lekko wykręcił głowę i powiedział, jak mógł najgłośniejszy i najspokojniejszy:

— To nic, trzymaj się mocno!

Tymczasem ważka szybowała dalej, płynnie wznosząc się na powietrzne góry i błyskawicznie z nich opadając.

— Oj, Olku — piszczała Walerka — ona chce nas zrzucić!

Ale chłopiec nie słyszał jej słów.

Uważnie przyglądał się pracy skrzydeł z miki.

Dwa przednie stały w powietrzu prawie nieruchomo. Ich ruchy były ledwo dostrzegalne. Od czasu do czasu wyginały się to do góry, to na dół, a ważka natychmiast albo się opuszczała, albo wzbijała jeszcze wyżej.

Widocznie tymi skrzydłami sterowała w czasie lotu. W dodatku one to utrzymywały ją w powietrzu.

Za to dwa tylne skrzydła pracowały jak śmigła. Huczały i wyły, szybko zagarniając powietrze i odpychając się od niego, gnały ważkę do przodu.

Nagle tylne skrzydła zaczęły unosić się w górę i stanęły sztorcem jak żagle. W plecy zadął równy wiatr. Ważka popłynęła bezszelestnie jak powietrzny statek.

— Wspaniale! — szepnęła Walerka. — Żeby można było zbu-

dować taki samolot!

Olek zerknął z ukosa na siostrę i z niezadowoleniem pociągnął nosem. Jej lekkomyślność zaczynała go już irytować.

— Siedź cicho i nie pleć głupstw! — ofuknął ją marszcząc brwi.

Ale Walerka nie umiała milczeć. Zresztą, jak można było milczeć?

Na ich spotkanie, niby mijające się pociągi, nadlatywały ogromne, skrzydlate stwory. Mknęły, wzniecając wiatr, tak szybko, że nie sposób było się zorientować, kto zacz. Ptaki? Pszczoły? Ważki?

Walerka raz po raz wykrzykiwała:

— Co to? Co? Widziałeś, Olku?

Mało nie zderzyli się w powietrzu z jakimś chrząszczem wielkim jak czołg. Cały był złoty i fioletowy i tak oślepiająco błyszczał w słońcu, że aż raził w oczy.



Chrząszcz szybował prosto na ważkę. Zderzenie wydawało się nieuniknione, ale żuczysko nagle, z tą samą szybkością, nawet się nie odwracając, pomknęło z powrotem.

— Wsteczny bieg! — ucieszyła się Walerka. — Może fruwać do tyłu. Widziałeś?

Nagle pod skrzydłami coś zabrzęczało, zawyło i z dołu wynurzyło się jakieś włochate, okrągłe stworzenie. Podkuliwszy kosmate łapy, z bzykaniem pędziło naprzód, rzucając się z boku na bok. Zielonkawę skrzydła to lśniły w słońcu, sypiąc jaskrawe, zielone i granatowe ognie, to gasły.

— Co to? — znów zapytała Walerka.

— Mucha! Tylko bardzo wielka! Jak pod mikroskopem!

Przestrzeń pomiędzy muchą a ważką zmniejszała się z każdą chwilą coraz bardziej. Teraz Walerka także rozpoznała muchę, która była taka wielka jak na plakatach: „Wystrzegajcie się much — roznoszą zarazę”.

Walerka nie zdążyła sobie przypomnieć, jaką to zarazę roznosi mucha, a już ta rzuciła się w bok, potem poleciała na łeb, na szyję w dół.

Ważka pokręciła swoją ogromną głowę, przymocowaną jak na osi — w prawo, w lewo, do góry, do dołu, błysnęła niebieskawo-ziecionymi kryształkami wielkich oczu i rzuciła się za muchą.

— Oj! — jęknęła Walerka, łapiąc brata za nogę.

— Trzymaj się! — zawołał Olek.

Zaczęły się ostre skręty, błyskawiczne pikowania, wzloty...

Tropiąc zdobycz, ważka to padała w dół jak kamień, to kreśliła pętle, to szybowała bokiem, aż wreszcie, nalatując na muchę, wyciągnęła do niej olbrzymie, pokryte kolcami kleszcze.

Mucha błyskawicznie poszybowała do góry. Jej łapy groźnie wyciągały się, usiłując odepchnąć kleszcze napastnika.

Ale na nic się to nie zdało.

Ważka dopędziła ją. Kleszcze się zwarły.

„Bzzzz” — zabrzęczała mucha skrzydłami.

Kleszcze szczęknęły jak nożyce.

Trzask!

Trzask! I na ziemię poleciały, wolno wirując w powietrzu, skrzydła i łapki nieszczęsnego owada.

Silne, mocne kleszcze znów szczęknęły. Zmiętosiły, zgmiotły, spłaszczyły muchę na placuszek i wepchnęły ją do szerokiej, czarnej gęby.

Olek i Walerka spojrzeli po sobie w milczeniu.

Więc to tak odżywia się ważka!

— A mówiłeś, że pije nektar z kwiatów — szepnęła Walerka.

Złękła się okropnie. Bo jeżeli ważka pożera takie ogromne muchy, to ich oboje połknie od niechcienia i nawet tego nie zauważy.

Dzieci siedziały cichutko.

Gdzieś daleko przed nimi mignęły olbrzymie jasne plamy — skrzydła z równiuteńkimi pasami na brzeżkach, tworzącymi jakby obramowanie żałobne. Skrzydła tańczyły, skakały w powietrzu, podtrzymując wyginające się ciało, podobne do sterowca. Długie wąsiska zakończone galkami drgały, poruszając się to do góry, to na dół.

Gdy dzieci podleciały bliżej, zobaczyły na tych skrzydłach piękną łuskę pokrytą różnobarwnym, puszystym pyłem.

Skrzydła jakoś beładnie kręciły się i trzepotały niczym żagle na wietrze.

Nagle tęczowe stworzenie zauważyło ważkę. Zaniepokoiło się, miękko poruszyło parę razy skrzydełkami, a potem, złożyłwszy je, zaczęło spadać kamieniem w dół.

Jednakże nie udało mu się umknąć przed drapieżnikiem.

Ważka spadała nań jak sęp, z rozpędu uderzyła wroga piersią, odrzuciła na bok, a kiedy tęczowe stworzenie przekoziółkowało w powietrzu — schwyciła je, ukręciła mu łeb i, oberwawszy skrzydło, zżarła zdobycz w oka mgnieniu. I znów poszybowała jak samolot. Potężne skrzydła zaszumiały i nad głowami dzieci znowu śpiewnie zahuczał wiatr.

— Kogo ona tak...?

— Motyla — odparł Olek, starając się przekrzyczeć wicher. — Zdaje mi się, że motyla.

Ważce, jak widać, dopisywał apetyt tego dnia.

Niebawem dopędziła i połknęła jeszcze jedną muchę, jeszcze jednego motyla — tym razem z błękitnymi plamami, a na ostatek komara.

— Ależ z niej żarłok — zdumiał się Olek.

Walerka tylko skuliła ramiona, jakby pod wpływem zimna.

Po niebie sunęły obłoki.

Niekiedy przesłaniały słońce i wówczas zimne, granatowe cienie kładły się na ziemię.

Dzieci zauważyły, jak dziwnie zachowuje się ważka, kiedy chmurki nachodzą na słońce.

Jak tylko się ono chowało, ważka robiła się jakaś ospała i wolniutko, jak szybowiec, sunęła w dół.

Ale z chwilą gdy promienie wyłaniały się spoza obłoków, ważka natychmiast się ożywiła. Lekkie machnięcie skrzydeł — i błys-

kawicznie wzbijała się do góry, znowu zabierając się do polowania.

— Olku! — zawołała Walerka. — Czy ty widzisz, co się z nią dzieje?

— Tak, widzę — skinął głową Olek.

Chłopiec zauważył jeszcze coś innego.

Gdy ważka trafiała w snop promieni słonecznych, ciało jej jak gdyby się rozdymało, robiło się jędrne i gładkie. Ale kiedy nachodził na nią zimny cień chmury, natychmiast się kurczyła.

Wydawało się, że słońce rozgrzewa wewnątrz ważki powietrze, które ją rozdyma. Ale wystarczyło, żeby trafiła w zimną smugę cienia, a natychmiast wędła i kurczyła się. Tak też było w istocie, ale dzieci o tym nie wiedziały i dlatego ani rusz nie mogły zrozumieć, jaki jest powód dziwnego zachowania się owada.

Polowanie trwało dalej.

Ważka niezmordowanie pożerała muchy, motyle i komary.

Gdyby dzieci chciały jakoś nazwać ten swój żywy samolot, to chyba nie mogłyby wymyślić nic lepszego, jak „Śmierć muchom i komarom!”

Uganiając się za białym motylkiem, ważka zrobiła ostry skręt. Walerka ześliznęła się z grzbietu skrzydlatego żarłoka i niechybnie zleciałaby na ziemię, gdyby nie złapała się w ostatniej chwili za nogę brata. Niestety, i Olek także ledwo mógł się utrzymać.

— Pomóż mi! — wrzasnęła dziewczynka.

— Nie... nie dam rady! — zachrypiał Olek.

Walerka ściągała go na dół jak ciężki odważnik. Na próżno chwycił się gładkich, jędrnych boków ważki. Ręce mu zdrętwiały,

palce ześlizgiwały się. Z rozpaczą ginącego wparł podbródek w skrzydła owada i jedną ręką objął ciało obzartucha.

Ale wrócić na swoje miejsce nie miał już siły.

Daleko w dole, jak w bezdennej przepaści, płynęła granatowa powierzchnia olbrzymiego stawu. Tłocząc się wzdłuż brzegów, strzelały w górę zielone trzciny. Białe czarki lilii wodnych tkwiły jak przy lutowane do gładkiej powierzchni.

Ważka znów zrobiła ostry skręt.

Olka uderzył potężny strumień powietrza, ręce po raz ostatni ześliznęły się wzdłuż gładkich boków owada.

Chłopiec zamknął oczy, serce nagle mu się skurczyło, zamarło: oparcie uciekło spod nóg, a w uszach zaświstał, zawył ponuro wiatr.

Dzieci poleciały w dół.

— I-i-i-i! — piszczała Walerka.

— A-a-a-a! — wrzeszczał Olek.

Parę razy niebo i ziemia zamieniły się miejscami.

Niebo.

Ziemia.

Niebo.

Ziemia.

Niebo.

U-u-ch!

Wzbijając fontannę bryzgów, dzieci wświdrowały się w zwierciadło stawu i jak kamień poszły na dno, tnąc wodę gęstą jak galareta i przezroczyście jak szkło.

Stuknąwszy nogami o dno wyleciały, na podobieństwo korka, do góry, na powierzchnię i rozpaczliwie zaczęły młócić wodę rękami i nogami. Ogluszone upadkiem, kręciły się w miejscu, nic

nie rozumiejąc, nie mogąc się absolutnie połapać w tym, co zaszło.

Pierwszy oprzytomniał Olek.

— Musimy czym prędzej płynąć do brzegu! — krzyknął wypływając wodę.

— A gdzie jest brzeg? — zapytała Walerka i nagle się zachłysnęła.

Olek wskazał ruchem głowy w stronę, gdzie w oddali widniała zielona ściana lasu.

— Och, czy aby dopłyniemy? — Walerka zaczęła pochlipywać.

— Pewnie, że dopłyniemy — uspokoił ją brat. — Tylko nie trzeba się śpieszyć, a jak się zmęczysz, to mi powiedz. Będziemy odpoczywać na plecach. No, teraz ruszaj za mną!

Popłynęli do brzegu, wzbijając bryzgi, parszając i wydychając powietrze.

Nagle Walerka krzyknęła:

— Popatrz! Kto to? Sunie prosto na nas!

Jakieś dziwne zwierzę ślizgało się po wodzie na wysokich, półzgiętych łapach.

— Co to?

— A bo ja wiem! — wyszeptał Olek i wciągnął głowę w ramiona.

— Gryzie?

— Nie wiem!

Zwierzę ślizgało się jak narciarz po lodzie i z każdą chwilą zbliżało się do dzieci.

— A ten... też taki jak ważka? — zapytała szeptem Walerka.

— Nie mam pojęcia... Ale na wszelki wypadek bądź przygotowana. Jeżeli napadnie, daj nurka jak najgłębiej.

Rozstawiwszy szeroko tylne łapy, zwierzę pędziło po zwierciadle wody, zręcznie przeskakując w biegu przez wodorosty.

Narty-pływaki pozostawiały na wodzie falujący, ledwo widoczny ślad.

— Przecież to jest nartnik! — zawołał Olek. — No, tak, oczywiście, najzwyczajszy nartnik. Tylko o wiele większy.

A tymczasem nartnik-olbrzym zbliżał się z nieprawdopodobną szybkością. Bure ciało, pokryte od dołu jasnymi woskami, lekko kołysało się w ruchu. Wielkie kuliste oczy uporczywie wpatrywały się w dzieci. Na ostrych zakrętach nartnik odrzucał do tyłu i na boki tylne łapy i ciągnął je za sobą, lekko wykręcając to w prawo, to w lewo. Najpewniej służyły mu za ster. Olbrzym sadził prosto na dzieci.

— Aj! — krzyknęła Walerka.

Nartnik pokręcił głową i uniósł do góry długi jak lanca i ostry jak igła ryjek. Ryjek pokrywała, niby rdza, brunatna, zakrzepła krew. Koniec jego drgał jak naciągnięta stalowa sprężyna.

— Tym on zabija! — krzyknęła Walerka.

Owad przesunął się jeszcze bliżej. Uniósłszy ponad wodą przednie łapy, wycelował lancą prosto w Walerkę.

Olek zdążył chwycić siostrę za rękę i wciągnął ją pod wodę.

Dzieci dały nurka. Tam, gdzie płynęły przed chwilą, pozostały na wodzie tylko kręgi i drobne pęcherzyki.

Stropiony nartnik toczył okrągłymi oczami. Jak to się stało? Przecież zdobył dopiero co była przed samym nosem, a tu nagle...

Co to ma znaczyć?

Owad jeszcze raz rozejrzał się wokoło i mocno przycisnąwszy ryjek do białego brzuszka, pomknął, ślizgając się po wodzie.

Parskając i pluskając dzieci wynurzyły się na powierzchnię.

— Gdzie on się podział? — zapytała, ciężko dysząc, Walerka.

— Uf! Nie wiem! — cichutko odpowiedział Olek. — Zdaje się, że dał drapak.

— Ale dokąd?

— Jazda do brzegu! — zirytował się Olek. — Płyn i nie gadaj!

Przez pewien czas płynęli bez słowa, lękliwie rozglądając się dookoła.

— Och, a to co znowu? — nagle zaczęła chlipać Walerka, poczuła bowiem, że nogi jej zaczęły się pod wodą o jakieś poplątane sieci.

Szarpnęła raz — coś trzyma; szarpnęła mocniej, ale sieci omotały palce i całą lewą nogę prawie do samego kolana. Walerka próbowała pomóc sobie prawą, ale setki cienkich, mocnych nici oplótły i drugą nogę.

— No, co tam — odwrócił się w stronę siostry Olek.

— Sieci... — jęknęła Walerka. — Coś mnie trzyma! Jakies sieci podwodne!...

Olek, parskając i prychnając, zawrócił i wyciągnął do niej rękę.

— Chwyć się mnie, pomogę ci!

Ale nie zdążył przysunąć się dość blisko, gdy poczuł, że i jego nogi coś oplątało.

Dzieci z całych sił zaczęły tłuc pięściami po wodzie.

Woda zakotłowała się jak przy wrzeniu.

— Ojej — chlipnęła Walerka. — Nie mogę... w żaden sposób!

— Mocniej! Wal mocniej! Nie poddawaj się!

Ale wszystkie wysiłki spełzały na niczym i dzieci nie mogły ruszyć się z miejsca. Mocne, lepkie sieci omotały teraz nie tylko ich nogi, całe ciało, i ciągnęły je do dołu, pod wodę.

Minęła jedna minuta, druga — i woda z cichym pluskiem zwarła się nad ich głowami.

Krztusząc się dzieci pograżały się coraz głębiej.

Nagle czyjeś mocne, jędrne kleszcze ośliznęły się wzdłuż ich ramion i nóg, wyrwały Olka i Walerkę z sieci i, silnie ściskając, pociągnęły gdzieś na dół, na ciemne dno.

Dzieci krztusiły się obrzydliwą, ciepłą wodą.

Przed oczami popłynęły żółte, marszczące się kręgi, w uszach coś zaśpiewało, zadzwoniło cienko, cieniუსieńko „Ti-i-i-i”!

Jeszcze sekunda — i oboje przestaliby w ogóle oddychać, gdyby nagle coś nie wyrzuciło ich z dużą siłą do góry, a płuca nie napełniły się znowu powietrzem.

Olek parę razy głęboko odetchnął i otworzył oczy. Zobaczył obok siebie mokrą, wystraszoną twarzyczkę siostry. Dziewczynka szeroko otwierała usta, chcąc coś powiedzieć, ale z ust tylko wylewała się woda.

Dzieci zawisły w powietrzu. Wysoko nad wodą trzymała je olbrzymia, kosmata łapa.

Teraz mogły już oddychać, jednakże nad głowami, zamiast ciepłego, błękitnego nieba i wesołego słońeczka, miały ciemną, pokrytą pleśnią kopułę. Z wody wynurzały się wilgotne, mroczne ściany.

Walerka zaczęła szlochać.

— Co robić? — smętnie zauważył Olek. — Każdy człowiek musi kiedyś umrzeć. Nie rycz, Walerko!

Ale sam nie wytrzymał i wybuchnął jeszcze głośniejszym płaczem niż siostra.

Czarna woda zakotłowała się, wzdęła, tworząc garb i nagle garb ten się rozpękl. Olek i Walerka zobaczyli wynurzający się wolno tłusty tułów. Potoki wody ściekały z potężnych, okrągłych boków. Obok tułowia ukazały się kosmate nogi, najpierw jedna, potem druga para, potem jeszcze więcej, aż wreszcie dzieci zobaczyły, poprzez lzy, pająka-olbrzyma w całej jego okazałości. Kołysząc się na wodzie, przyglądał się rodzeństwu złym wzrokiem.

Osiem małych, nie mrugających, gadzich oczek spoglądało na dzieci, bacznie pilnując każdego ich ruchu. Olek i Walerka spróbowali się wyrwać, ale pająk tak mocno ścisnął ich łapą, że nie zdołali nawet krzyknąć.

Ośmiooki potwór obrócił ich głowami w dół, potem zakręcił nimi z niebywałą szybkością... Dzieciom pociemniało w oczach, zaczęło dzwonić w uszach.

Straciły przytomność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PROFESOR JENOTOW UDAJE SIĘ W DZIWNÉ ŚWIATY. TAJEMNICA ZWYKŁEJ PAJĘCZYNY. PIERWSZE POLOWANIE. PANCERZ I DZIDA. PUŁAPKA. W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Na szczycie zielonego pagórka stał profesor Jenotow. Jego białe spodnie były powalane smołą i gliną. Krawat zsunął mu się na bok. Zmięty kapelusz osłaniał jedynie czubek głowy, ukazując zaczerwienione, pokryte kropelkami potu czoło. W gęstej brodzie tkwiły kawałki zeschniętych gałązek.

W jednej ręce profesor trzymał niewielką skrzynkę z dykty. W drugiej — długą, cienką żerdź. Do czubka żerdzi przywiązana była czerwona chustka. Powiewała na wietrze jak sztandar.

— Uf — wzdychał i sapał profesor, rozglądając się na wszystkie strony. — Zdaje mi się, że to tu!

W dole, u stóp zielonego wzgórza, lśnił w promieniach słońca spokojny, senny staw. Na jego ciemnobłękitnej, nieruchomej tafli leciusieńko chwiały się lilie wodne. W gęstwinie sitowia słychać było plusk rybek.

Profesor postawił skrzynkę na ziemię i wbił obok niej żerdź.

— No cóż, zaczynamy! — westchnął i, zrzuciwszy z głowy kapelusz, zaczął obiema rękami zrywać trawę.

Gdy już narwał całe naręcze, starannie okrył nią skrzynkę

z dykty, potem podszedł do żerdzi, wbił ją jeszcze głębiej w ziemię, spróbował wyszarpnąć, przegiąć w lewo, w prawo. Tyka trzymała się mocno.

— Wspaniale! — powiedział pan Jan.

Wsadził rękę do kieszeni i wydobyl stamtąd małą, pękatą buteleczkę. Srebrzyste pęcherzyki unosiły się z dna, zderzały z sobą i pękały.

Profesor rozebrał się, położył ubranie na trawie i wziął do ręki buteleczkę ze srebrzystym płynem.

— Myślę, że wystarczy tego w zupełności — stwierdził.

Znów rozejrzał się, westchnął ciężko, odchylił głowę i duszkiem wypił całą zawartość.

— No, cudownie! — mruknął i z rozmachem cisnął do stawu pustą buteleczkę.

Przez pewien czas nie ruszał się z miejsca i patrzył w zadumie na coraz szersze kręgi biegnące po wodzie, na swoje ręce, potem poszedł w kierunku stawu i... jak gdyby się rozplynał w powietrzu.

Tam, gdzie przed chwilą widać było wysokiego mężczyznę, teraz sterczała samotnie długa żerdź z czerwoną chorągiewką, a na ziemi leżało zmięte ubranie, buty i skarpetki w paski.

Profesor, przelknąwszy płyn, stał przestępując z jednej bosej nogi na drugą.

Nagle wszystko wokół zaczęło się zmieniać jak pod wpływem czarów.

Trawa ze zdumiewającą szybkością wyciągała się ku górze. Każde jej źdźbło rosło, pęczniało, robiło się coraz grubsze.

Nim minęła minuta, wokół profesora rozszumiał się gęsty las. Błyszczące, zielone pnie obstały go ze wszystkich stron. Każde

drzewo było podobne do gigantycznego bambusa.

Wysoko nad ich wierzchołkami łagodnie chwiały się olbrzymie kielichy czerwonych, żółtych i błękitnych kwiatów, osypując cały las złocistym pyłem, rozsiewającym słodki, odurzający zapach.

— No proszę, no proszę — mruknął, zacierając ręce profesor. — Wiedziałem dobrze! Oczywiście, ten las z trawy przypomina puszcze podzwrotnikowe.

W tym niezwykłym lesie nie było mroku i ciszy, jak w starym sosnowym borze. Nie przywodził także na myśl brzeziny, gdzie listowie szeleści niez mordowanie, nigdy nie milknąc.

Nie, ten las był jakiś szczególny.

Błyszczał mocno, cały zielony i słoneczny. Nagie, lśniące pnie wyrastały z pagórka i schodziły do jarów. Jeziora odbijały błękit nieba, strumyki cichutko szemrały.

Ciszę przerywały co chwila jakieś dziwne szelesty. Zdawać by się mogło, że tuż za profesorem podstępnie skradają się jakieś zwierzęta.

Trudno było się poruszać. Ostre liście drapały ciało. Pan Jan co chwila przewracał się i wpadał do dołów. Słońce prażyło i profesor miał wrażenie, że spaceruje w piecu chlebowym. Cały grunt w lesie podobny był do pola bitwy poraanego pociskami artyleryjskimi.

W gęstych zaroślach to tu, to tam wisały lepkie sieci i trzeba było bardzo ostrożnie obchodzić te pułapki.

— To dzieło pająka — mruzczał profesor, przedzierając się przez zarośla.

Od czasu do czasu przystawał na dłuższą chwilę i z zainteresowaniem podziwiał mistrzowską pracę leśnego tkacza.

Ale szczególnie uważnie przyglądał się niezliczonym gruzełkom, gęsto rozrzuconym po całej pajęczynie.

Oczywiście wiedział dobrze, że owady łapie nie siatka, lecz właśnie te malusienkie, lepkie grudeczki. Jak do świeżego kleju stolarskiego przylepiają się do nich skrzydełka i łapki owadów, a wtedy ofiara staje się zdobyczą pająka.

O tym wszystkim profesor wiedział dawno, ale wiedzieć — to jedno, a widzieć na własne oczy — to zupełnie co innego.

Minęła już pewnie godzina, a pan Jan zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje, a nawet po co tu przybył. Wydawało mu się, że siedzi u siebie w gabinecie pochylony nad mikroskopem, a przed nim, jeden za drugim, defilują jego starzy znajomi.

Ale co tam mikroskop! Alboż to można przez jego okular zobaczyć całego pająka od razu?

Nie ma nawet mowy!

Mikroskop pozwala obejrzeć tylko oko pająka albo koniuszek jego nogi lub też pazurek podobny do grzebienia czy gruzełek na pajęczynie. A tu przed profesorem siedzi całe pajęczysko, wielkie jak byk, i można jednym spojrzeniem ogarnąć jego osiem oczu, dwie pary szczękoczułek, osiem nóg z pazurkami-grzebykami i wzdęty, miękki odwłok.

Ale najbardziej radowało profesora to, że pająk jest żywy i zajmuje się polowaniem.

Pod mikroskopem, nawet najdoskonalszym, nie sposób przecież zobaczyć, jak pająk łapie swoją zdobycz. A tu profesor mógł to obserwować z odległości nie większej niż wyciągnięta dłoń.

Pająk polował.

Wielki, okrutny drapieżnik siedział zacząjony obok rozsnutych

sieci. Prosto do niego biegła nitka alarmowa. Siedział jak rybak nad brzegiem wody i czekał.

Niech tylko zadrży nić alarmowa — pająk natychmiast rzuci się na swoją zdobycz, wbije w nią kolec z jadem, zabije i wysie krew.

Profesor nie może oczu oderwać od rozwieszonych sieci, zapomniawszy o wszystkim.

Nagle nad jego głową coś bzyknęło jak pocisk i z wyciem wpadło w sieć, aż drgnęła cała i zatańczyła.

— Aha! — krzyknął pan Jan. — Jedna już jest!

W sieciach szamotało się, wilo i czyniło daremne wysiłki, żeby się wyswobodzić, jakieś wielkie, skrzydlate stworzenie.

Większe od pająka, a na pewno dłuższe. Przezrocyste, poprzecinane żyłkami skrzydła wyginały się w kabłąk, usiłując oderwać się od lepkich gruzelków pajęczyny, ale uwolnić się z sieci nie było sprawą prostą.

„Osa! No oczywiście, nic innego!” — stwierdził w duchu profesor.

Przybliżył się do sieci pokaszując i stanął spokojnie, obserwując walkę pająka z osą.

Pająk, opierając się na grzebyczkach nóg, szybko ślizgał się po pajęczynie, przeczesując ją równocześnie. Oblediał tak osę dookoła raz i drugi, a potem zaczął skradać się do niej od tyłu.

Osa dzgnęła ostrym żądłem.

Pająk odskoczył i znów zaczął się kręcić i biegać dokoła niej. Ale z chwilą, kiedy się do niej zbliżał, osa wyginała swój segmentowany odwłok i groźnie wyciągała do przodu gładkie, ostre żądło.

Pająk usiłował dopaść ją to z tyłu, to z boku, ale za każdym

razem natykał się na wyginające się niczym szpada osie żądło.

— Ciekawe, niebywale ciekawe — mamrotał pod nosem profesor, obserwując walkę.

Po wielu bezowocnych próbach pająk był zmuszony zaniechać zapasów z niebezpieczną zdobyczą.

Zataczając szerokie kręgi, spiesznie obleciał całą pajęczynę, potrząsając nią i zmuszając osę do podskakiwania i huśtania się jak w hamaku.

Osa zaczęła wrywać się jeszcze energiczniej.

Biegając wokół niej, pająk w wielkim pośpiechu obrywał jedną nitkę po drugiej. Wreszcie osa runęła, porywając za sobą sieć na skraj głębokiego urwiska.

Szamocząc się bezradnie i omotując coraz bardziej, poturlała się w dół po stromej pochyłości. W ślad za nią posypały się grudki ziemi i kamyki.

— A to fantastyczne! — wykrzyknął profesor. — Coś w sam raz dla mnie!

Podbiegł do skraju urwiska i spojrzał w dół. Na dnie, rzucając się i szamocząc, walczyła omotana siecią olbrzymia osa. Wyginała pasiasty odwłok, turlała się po ziemi usiłując uwolnić od pajęczyny, ale sieć coraz szczelniej krępowała jej skrzydła, nogi i głowę.

Profesor przebiegł skrajem urwiska, z zafrasowaną miną rozglądając się dokoła.

Wreszcie znalazł to, czego szukał — duży kamień o ostrych kantach.

Na pewno nie podjąłby się go dźwignąć — kamień był kilkakrotnie większy od niego. Ale na szczęście wisiał nad samym urwiskiem. Trzeba było tylko rozkołysać go mocno, popchnąć, a runie

w dół, prosto na dno.

Profesor zaparł się mocno nogami, żeby obruszać kamień.

Praca nie należała do łatwych!

Bryła kamienna drgała, kiwała się jak spróchniały ząb. A jednak trzymała się jeszcze mocno. Profesor sapał jak lokomotywa.

— Ja ci pokażę — mruczał naciskając głaz ramieniem. — Kiwasz się, a więc spadniesz, kochaneczku!

Zaledwie półtorej godziny temu Jenotow mógłby zepchnąć kamień jednym prztyczkiem, ale teraz sprawa była o wiele trudniejsza.

Profesor poczerwieniał jak burak, zasapał się okrutnie. Na twarz wystąpiły mu kropelki potu.

— No, trochę odpoczniemy — powiedział, ciężko dysząc, i obtarł dłonią spoconą twarz.

Przysiadł na kamieniu.

Prawie nad samą jego głową pająk snuł nowiutką sieć. Na jego odwłoku profesor dostrzegł cztery pagórki, przypominające buklaki z winem.

— Gruczoły przędne — przypomniał sobie zadowolony.

Co prawda teraz nazwanie tych worków gruczołami brzmiało zabawnie. Każdy z nich był znacznie większy od głowy profesora. Pan Jan bez pomocy mikroskopu dojrzał w pajęczych kądziółkach setki otworków, z których sączyły się kropelki lepkiego płynu. Ciągnęły się one za pajakiem, wydłużały i od razu skręcały w grube liny o lśniących, lepkich gruzełkach.

W ciągu paru minut pająk zakończył naprawę porwanej sieci i natychmiast po połączeniu jej z alarmową nitką zaszył się z jednym końcem pajęczynki w zaciszny kącik.

„Na co ja czekam?” — zeźlił się sam na siebie profesor.

Zerwał się z miejsca, zebrał wszystkie siły i wparł ramię w bryłę kamienia.

— Jazda dalej!

Pchnięcie.

Jeszcze jedno.

— Hej, siup! Hej, rrraz!

Bryła się rozkołysała, zawisała nad urwiskiem, jak gdyby w zamyśleniu, i nagle, z hukiem i trzaskiem, runęła w dół wzbijając słupy kurzu. Kiedy tuman pyłu się rozproszył, profesor wrzasnął radośnie:

— Huraaaa!

Kamień leżał na dnie urwiska.

Pod jego ciężarem wiła się jeszcze trafiona osa.

Jej długi, pasiasty odwłok kurczył się i rozciągał jak miechy harmonii.

Niewiele myśląc, profesor siadł na skraju urwiska, opuścił nogi i czepiając się rękami korzeni oraz wystających kamyków, zaczął ostrożnie schodzić na dno. Kiedy dotarł do osy, ta przestała się już ruszać.

Profesor pchnął ją nogą, następnie dotknął ręką — owad leżał bez ruchu.

— To rozumiem! — powiedział do siebie i pogwizdując jakąś przedziwną melodię, z całym spokojem zabrał się do roboty.

Guzdrał się dobrą godzinę, zanim udało mu się wyciągnąć z osy długie, podobne do dzidy żądło.

— Wspaniała broń — stwierdził, wycierając rękami żądło-dzidę.

Z takim uzbrojeniem mógł się już nie bać wędrówki przez trawiastą dżunglę, dokąd zamierzał udać się na poszukiwanie Olka i Walerki. Nie tylko mógł się teraz bronić, gdyby go ktoś napadł, ale nawet sam mógł zaatakować tych, co by mieli na niego chrapkę.

Teraz trzeba było zatroszczyć się o przyodziewek, gdyż profesor bynajmniej nie zamierzał podróżować po lesie na golasa.

Zręcznie manipulując ostrą dzidą przeciął pajęczynę, w której uwikłała się osa, starannie oczyścił ją z lepkich grudek i okręcił się tą przędzą wokół bioder. Miękkie, jedwabiste sznureczki szczelnie okryły jego ciało.

Strój ten nie był, oczywiście, zbyt piękny, ale za to niezwykle mocny.

„Jestem w nim jak w pancerzu!” — pomyślał profesor, oglądając się z satysfakcją od stóp do głów.

Zarzucając dzidę na ramię, rażno ruszył dalej, obchodząc głębsze doły i przeskakując przez rozpadlinki i rowki.

Tak wybierając drogę, pan Jan co chwila przystawał, od czasu do czasu nawet dłużej się zatrzymywał, wsłuchując się w leśny szum, niekiedy zaś chował się za potężne, zielone pnie i lękliwie rozglądał na wszystkie strony.

Te środki ostrożności bynajmniej nie były zbędne. W trawiastej dżungli aż roiło się od niesamowitych, wielkich stworzeń.

Grzechocąc jak blachą przelatywały nad głową pana Jana szklarze, bardziej teraz podobne do olbrzymich samolotów niż do zwykłych owadów.

Ponad wierzchołkami trawiastego lasu przeskakiwały z impe-tem koniki polne wielkości autobusu miejskiego.

Pasiaste gąsienice pełzały, rozsuwając potężnymi cielskami

gąszcz leśny. Były duże i czyniły tyle hałasu, że profesorowi zdawało się, iż wprost po ziemi suną obok niego ciężko załadowane pociągi towarowe.

Od czasu do czasu, szybko tupiąc licznymi nogami i przypadając do ziemi wydłużonymi cielskimi, przebiegały stonogi. Każde z tych stworzeń mogło teraz bez trudu spłaszczyć profesora, wgnieść go w ziemię.

Oczywiście skończoną głupotą byłoby walczyć ze wszystkimi istotami gnieżdżącymi się w trawiastej dżungli. Zresztą, pan Jan nie miał na to ani ochoty, ani czasu.

Profesor kierował się w stronę błękitniejącego w prześwitach drzew stawu, klucząc od pnia do pnia, zatrzymując się niekiedy, ażeby lepiej przyjrzeć się bądź drzewu, bądź też ogromnym jak dzwony wielkoludów kwiatom. Świetnie znał nazwy kwiatów i wtedy, kiedy był jeszcze dużym, normalnym człowiekiem, potrafił bez wahania określić, jak się każdy z nich nazywa. Teraz jednak nie wymieniłby z całkowitą pewnością ani jednej nazwy.

Niektóre kwiaty były tak wielkie, że profesor w żaden sposób nie mógł ich rozpoznać i to go niebywale bawiło.

— No, na przykład ten oto — wzdychał, wpatrując się w błękitną kulę podobną do bocianiego gniazda — jak też się nazywa w naszym świecie?

Ale kto mógł udzielić odpowiedzi na jego pytanie?

Nad wierzchołkami lasu łagodnie kołysały się różowe dzbanki, gigantyczne żółte gwiazdy, purpurowe kule, liliowe koszyczki.

Z kul, niczym kolce jeża, sterczały we wszystkie strony czerwone jak buraki rury.

— Co to może być? — zastanawiał się pan Jan i nagle, klepnąwszy się dłonią w czoło, zawołał ze śmiechem: — Koniczyna! Najzwyklejsza koniczyna!

Obok kwiatów koniczyny chwiały się w powietrzu, podrygując jak w tańcu, liliowe dzwony. Prześwitywały w słońcu i ziemia pod nimi wydawała się także liliowa.

— No, was to znam dobrze — wesoło rzucił im profesor. — O was nawet pisano wiersze.

I nagle zaśpiewał na całe gardło:

Dzwoneczki stepowe,

Skąpane w błękicie.

Czemu to, ślicznotki,

Na mnie tak patrzycie?

— Patrzeć możecie — zaśmiał się do nich — ale jeżeli któryś z was urwie się i zleci mi na łeb, to nie wiem, czy pozostanę przy życiu!

Z wielkim zaciekawieniem obserwując nowy, nieznaną świat, przedzierał się Jenotów poprzez chaszczę trawiastej dżungli. Niebawem przed jego oczami ukazała się bezkresna toń.

Woda lśniła w słońcu jak ogromne zwierciadło.

— Zdaje się, że to powinno być gdzieś tutaj — szepnął zamysłony profesor.

Znajdował się na skraju trawiastego lasu. Drogę przecinał wąski, długi rów, po brzegi wypełniony brunatną wodą.

Profesor wziął rozpęd, podskoczył i lekko przesadził rów. W tej samej chwili poczuł, że ziemia pod nim pełźnie, osiada.

Ledwo zdążył krzyknąć, a już machając w powietrzu nogami, poleciał na łeb, na szyję w dół, do jakiejś ciemnej nory.

Zaledwie dotknął dna, a natychmiast poderwał się i zaczął rozglądać.

Nad jego głową, bardzo daleko, świeciło błękitne niebo.

Blade światło rozjaśniało czarne ściany, gęsto oplecione podziemnymi korzeniami. Na wprost siebie pan Jan zauważył wejście do czarnego tunelu.

Pochylił się.

Z tunelu buchnęło mu w twarz stęchlizną i chłodem.

— No tak — mruknął uczony.

Odsunął się od tunelu i zaczął wspinać po stromej ścianie, czepiając się rękami i nogami podziemnych korzeni.

Już prawie był się wdrapał na sam skraj, wystarczyło jeszcze trochę wyciągnąć rękę, a słońce znów zajaśniałoby nad jego głową, ale w tej samej chwili, kiedy głowa profesora wysunęła się z nory, zobaczył przed sobą niesamowitą gębę jakiegoś potwora.

— Przepraszam — powiedział grzecznie i natychmiast, piorunem wciągnąwszy głowę w ramiona, schował się z powrotem.

Straszydło poruszyło olbrzymimi łapami i obróciło się w stronę profesora; wzrok ich się spotkał.

„Żuk! — mało nie krzyknął pan Jan. — Żuk-gnojak!“

Żuk toczył w stronę nory wielką, szarą gruszkę, która chyba nie zmieściłaby się nawet w największym pokoju, gdyby cały świat zmniejszył się nagle tak, jak się to stało z profesorem. Pchając przed sobą gruszkę, żuk podsunął ją na skraj nory; uczony nie zdążył sobie nawet przypomnieć łacińskiej nazwy żuka, a już olbrzymia gruszka zatkała wylot i przesłoniła całe niebo.

W norze zapanowały ciemności.

Wystraszony profesor szybko wlaźł znowu do góry po ścianie

i z całych sił zaczął odpychać gruszkę ramieniem i głową. Usiłował odsłonić otwór, ale jego wysiłki spełzały na niczym.

Gruszka się nie poddawała.

Pchnął jeszcze mocniej, ale w tej samej chwili zuk-gnojak z taką siłą naparł na nią z góry, że zatkał otwór zupełnie jak butelkę korkiem.

Mocne pchnięcie rzuciło profesora na dół.

Na głowę posypała się ziemia, ostry kamień boleśnie trafił go w pierś.

— Oooch! — jęknął pan Jan.

Rozcierając stłuczone miejsce, chciał znów podciągnąć się do góry, gdy nagle wyczuł, że w tej ciemnej norze nie jest sam.

Obejrzał się szybko.

Z tyłu, za jego plecami, coś się poruszało i wolno a ostrożnie skradało w jego stronę.

Pan Jan pomacał wokół siebie rękami. Palce jego trafiły na dziędę. Ścisnął ją mocno w garści, skoczył na równe nogi i przywarł do ściany.

„Tsssa-n-k!“ — trzasnęło coś zupełnie blisko.

Profesor usłyszał urywany oddech.

Zaczął machać na oślep dzidą i wrzasnął zachrypniętym głosem:

— Kto tam? Kto?

ROZDZIAŁ PIĄTY

W NIEWOLI U PAJĄKA. BITWA W PODWODNYM WIĘZIENIU. ROSLINA-WŁOCZĘGA. FATALNA SYTUACJA. OLEK ZNAJDUJE WYJŚCIE

Olek otworzył oczy i nagle wszystko mu się przypomniało. I to, jak z Walerką leciał na ważce, i straszliwy ryjek nartnika, i silne, kosmate łapy pająka.

Dookoła było ciemno i czuć było pleśnią. Gdzieś w dole, pod nogami, leciutko pluskała woda. Obok Olka ktoś oddychał cicho, cichusieńko.

Olek leżał wyciągnięty na całą swą długość, ale w żaden sposób nie mógł zrozumieć, na czym leży. W głowie mu huczało, ręce i nogi ścierpły. Jęknął boleśnie i zaraz usłyszał wystraszony głosik siostry:

— Cicho! On jest tu!

Olek wykręcił głowę i stuknął czołem o skroń Walerki.

Dziewczynka wydała okrzyk przerażenia.

Olek chciał się od niej trochę odsunąć, ale nie mógł w żaden sposób: ktoś omotał i jego, i Walerkę od stóp do głów jakimiś potężnymi sznurami i bardzo mocno skrępował razem.

Szarpnął się gwałtowniej i nagle, od silnego pchnięcia, i on, i Walerka zaczęli się huścić jak w hamaku, to w jedną, to w drugą stronę.

— Ciszej! — zaszepiała gwałtownie Walerka. — Proszę cię, bądź cicho! On jest na dole!

— Pająk?

— Aha... Dopiero co się tam krzątał... Słyszałam...

— Boisz się?

— Okropnie. A ty?

— Ja też, ale nie płacz. Najpierw spróbujemy się jakoś uwolnić.

Olek głową rozsunał sieć sznurową i wyjrzał. W dole czerniała woda, z której wynurzały się ciemne, gładkie ściany, nad sobą zaś mieli pochyły sufit.

Dzieci wisały w powietrzu pośrodku gniazda.

— Czy wiesz — zapytał szeptem Olek — że on nas podwiesił? Przyczepił po prostu do sufitu.

— Aha — przytaknęła Walerka — podwiesił, ja to już zauważyłam.

— A po co?

— Właśnie też się zastanawiam, po co.

— Nic ci nie przychodzi na myśl?

— Nic.

Olek z trudem wyciągnął z pajęczych sznurków najpierw jedną rękę, potem drugą.

— Co robisz?

— Ciszej! Nic nie mów!

Wstrzymując oddech, Olek ostatecznie uwolnił głowę i spojrzał w dół. Akurat pod nimi uwijał się pająk. Niespokojnie biegał po wodzie wzdłuż ścian swego mieszkania; od czasu do czasu przystawał, jak gdyby nasłuchując.

Z góry, od sklepienia odrywały się kule-krople i z dźwięcznym chłupotem uderzały o powierzchnię czarnej wody. Fontanny bryzgów były pod sufit.

Nagle Olek pochwyił uchem jakiś przytłumiony szmer. Gdzieś zupełnie blisko, jak gdyby za ścianą, słycać było ni to szum, ni to skrobanie. Sprawiało to wrażenie, że snuje się tam człowiek i obmacuje ścianę w poszukiwaniu drzwi.

Te szmery zupełnie zdecydowanie zaniepokoiły pająka. Co chwila podskakiwał do ściany, wyczekiwał, potem, poruszając długimi nogami, cofał się na bok.

— Słyszałeś? — cichutko zapytała Walerka. — Za ścianą ktoś hałasuje.

— Tak, tak — odpowiedział szeptem brat. — Słyszę.

Hałas stawał się coraz głośniejszy.

Wydawało się, że ktoś łomocze w ścianę miękkimi, ale silnymi piąstkami.

— Ktoś tu się chce dostać — powiedziała Walerka.

W tej samej chwili ściany pajęczonego domu drgnęły tak silnie, że dzieci, w ich pajęczynowej kołysce, podrzuciło do góry. Kołebka uderzyła o ścianę i rozhuściła się jak wahadło zegara.

— Popatrz no na pająka — odezwała się Walerka.

Pająk wyskoczył na środek gniazda, niespokojnie przebierając łapami, i wszystkie swe oczy skierował na ścianę domku.

Ściana nagle się rozłupała. Do wody posypały się kawałki czegoś podobnego do tynku. W szparze ukazały się wielkie, kosmate łapy.

Łapy te silnie szarpnęły ścianę. Podwodny domek zadrżał, zachwiał się. Hamak z dziećmi zakotłosał się gwałtownie.

Ściana runęła.

Z szumem i pluskiem fali wdarł się do podwodnego mieszkania gruby pająk, podobny jak dwie krople wody do gospodarza domku. Podciągnął pod siebie kolankowate nogi, jak gdyby szykował się do skoku, i pomalusińku zaczął sunąć do przodu.

Gospodarz podwodnego domu zamachnął się szczękoczułkami.

Pająki patrzyły na siebie wyczekująco.

Nagle gospodarz uniósł szczękoczułki wysoko nad głowę i jak błyskawica rzucił się na nieproszonego gościa.

W ciemnościach rozgorzała zaciekle walka.

Szczękoczułki świstały w powietrzu, były po wodzie. Bryzgi ulatywały ku sufitowi i niebawem ściany pokryły się drżącymi kropelkami.

Walka pająków tak wstrząsała całym podwodnym domem, że drżał jak w febrze, kopuła poruszała się tam i z powrotem, a w dole woda kłębiła się i bulgotała niczym w kotle.

Od silnych pchnięć hamak, w którym leżały dzieci, znów się rozkołysał, a przy każdym nowym ciosie podlatywał coraz wyżej i coraz częściej uderzał to o jedną, to o drugą ścianę.

Przed oczami Olka i Walerki przelatywały jak w kinie — ściany, kopuła, pająki, woda i znowu od początku: ściany, kopuła, woda...

Pająki walczyły w zupełnej ciszy..

Oplatały jeden drugiego potężnymi łapami, kołysały się na boki jak zapaśnicy w cyrku, potem nagle odskakiwały od siebie, czujnie wpatrywały się zionącymi nienawiścią oczami jeden w drugiego i znów, jak na komendę, rzucały się do boju, i znów kotłowała się, pieniała w dole woda, a domek drżał od potężnych ciosów, jak gdyby nastąpiło trzęsienie ziemi.

Dzieci z zapartym oddechem śledziły walkę strasznych prze-

ciwników.

— Oj, Olku! — zaczęła nagle chlipać Walerka. — Dokąd myśmy trafili? Już teraz nikt się o nas nie dowie... Ani mama... ani nikt!

— Cicho bądź! — ofuknął ją ochryple Olek. — Pleciesz głupstwa, a tu trzeba jakoś uciekać... jakoś się wydostać. Milcz! Zdaje się, że uda mi się teraz oswobodzić nogi.

Od silnych ciosów i huśtania pajęcze sznury jak gdyby się obluzowały.

Pomagając sobie wzajemnie uwolnić się z więzów, dzieci z wielkim trudem zdołały wyleźć z pajęczynowego hamaku.

Olek i Walerka mieli już swobodne ręce i nogi, ale co robić, jeżeli pająki teraz na nich napadną?

Walka z tymi potworami była dla dzieci nie do pomyślenia. Uciekać nie było dokąd, ukryć się nie mieli możliwości.

— To nic, Walerko, to nic! Nie bój się! — szepnął brat drżącymi wargami. — Jakoś się stąd wydostaniemy. Tylko, proszę cię, nie rycz!

— Ja przecież w ogóle nie płaczę — cichutko chlipnęła Walerka i szybko, ukradkiem, żeby brat nie widział, przeciągnęła dłonią po oczach.

Zerkając w stronę pajaków Olek ostrożnie wylazł ze sznurowego hamaka, przytrzymał się grubej liny, zwieszającej się z sufitu, i zdołał wyprostować się na całą wysokość.

Na dole panował spokój.

Olek wyciągnął szyję i patrząc uważnie na pająki, mamrotał coś pod nosem. Był w tej chwili podobny do sędziego na ringu, który stoi nad powalonym bokserem i odlicza:

— Raz, dwa, trzy... pięć... siedem... dziewięć!

Jeżeli obalony bokser nie może dźwignąć się, gdy sędzia głośno wyliczył „dziewięć” — to znaczy, że został pokonany.

Olek liczył coraz głośniej:

— Sto jeden, sto dwa, sto trzy, sto cztery... Hura! — wrzasnął nagle na cały głos. — Oba są gotowe! Patrz, Walerko, wcale się nie ruszają! Wstawaj! Mówiłem ci, że nie masz czego ryczeć! Teraz musimy tylko jak najprędzej stąd się wydostać.

Walerka podciągnęła się i stanęła obok brata.

— No tak — westchnęła i rozejrzała się dookoła — ale jak to zrobić? Ty wiesz?

— Głupstwo! — odparł z pewnością siebie Olek. — Przecież musi tu być jakieś wejście i jakieś wyjście!

— A co będzie, jak nie musi?

— Dobre sobie — krzywo uśmiechnął się Olek. — A w jaki sposób, według ciebie, pajak nas tu przyciągnął? Trzeba szukać wejścia i wyjścia. Musi tu być! Przypatrz się lepiej!

Dzieci pochyliły głowy, ale Walerka nic nie widziała oprócz pajaków. Zresztą nic dziwnego, bo wpatrywała się tylko w nie, jak urzeczona, jeszcze nie mogąc uwierzyć, że zginęły w zajadłej walce.

Martwe ciała zapaśników kołysały się na ciemnej fali, z paszczami zanurzonymi w wodzie.

Prąd zapędził je pod szczelinę w ścianie i teraz leżały bok przy boku, nie zwracając już na siebie najmniejszej uwagi.

W podwodnym domu zapanowała taka cisza, że słychać było lekkie chlupotanie wody oraz dźwięk kropel, spadających z obryz-ganych ścian i sklepienia.

— Zdechły! — z radością stwierdził Olek.

Pochylił się, wyciągnął szyję i przyjrzał się dokładnie najpierw jednemu, potem drugiemu.

Pająki ani drgnęły.

Dzieci popatrzyły po sobie: nie były pewne, czy pająki już naprawdę są martwe.

Olek krzyknął:

— Hop, hop!

Pająki pływały jak skórzane poduszki nadmuchane powietrzem.

— Zdechły! — Olek nie miał już teraz wątpliwości i zmierzwiwszy wzrokiem odległość, wypuścił z ręki sznur. W powietrzu mignęły ręce i nogi i chłopiec spadł do wody jak kamień.

— Olek! Wariacie! — wrzasnęła Walerka, patrząc z przerażeniem na fontannę bryzgów, która strzeliła w górę.

Na powierzchni ukazała się głowa Olka. Chłopiec wynurzył się, rozejrzał dookoła i popłynął czałkiem * w stronę pajaków.

— Olek! — zapiszczała Walerka. — Wracaj! One jeszcze odychają!

Ale chłopiec, nie zwracając uwagi na wrzaski dziewczynki, podpłynął do jednego z pajaków i z całych sił uderzył go po brzuchu.

Brzuch zadudnił jak bęben. Olek czym prędzej odpłynął dalej, ale gdy spojrzął na pajaka, natychmiast wrócił. Pajak się nie ruszył. Wówczas Olek wlaź na niego jak na tratwę i wyprostował się na całą wysokość.

— Skacz! — krzyknął machając ręką do siostry.

— Nie! — Walerka pokręciła głową. — Okropnie wysoko!

— To co, masz zamiar siedzieć tu do końca życia? I tak musisz zeskoczyć. No! Dalej!

Walerka ciężko westchnęła.

— Skaczące prędzej, ciamajdo, bo mogą tutaj przyjść inne pająki, a wtedy będzie gorzej.

Walerka zamknęła oczy, rozwarła dłonie i z piskiem runęła w dół. Olka ochlapał deszcz kropel. Fala zakołysała ciałami pająków.

Parskając i pluając, dziewczynka wynurzyła się z wody.

— Właż tutaj! — rozkazał brat, bębniąc nogami po wzdętym brzuchu pająka. — Nic się nie bój! Dawaj rękę!

Walerka blada i drżąca podpłynęła do grozę budzącego cielska, namacała grube, włochate brzuszysko i natychmiast cofnęła rękę, piszcząc przerażona.

— Ru-u-u-sza się!

— Nie opowiadaj! Nic się nie rusza — rozgniewał się Olek. — No, prędzej!

Po długich namowach Walerka złapała wreszcie brata za rękę i dała się wciągnąć na straszną, pływającą wyspę.

Pająk się nie ruszał. Nie było powodu do obaw. Walerka kucnęła i zaczęła wyżywać mokre włosy, Olek zaś stanął i uważnie oglądał ponure gniazdo owada.

*** W sporcie pływackim pewien styl pływania.**

— Musimy stąd uciekać — westchnęła Walerka. — Trzeba poszukać drzwi.

— O proszę! Są drzwi! — Olek wskazał ręką czarną szczelinę w ścianie.

Złożył dłonie nad głową, skoczył do wody i szybko popłynął w tamtą stronę.

Walerka z wielkim niepokojem śledziła jego ruchy, a kiedy skrył się w ciemnościach, krzyknęła:

— No co?! Co tam jest?!

Olek milczał.

Walerka spojrzała pod nogi i zbladła jak płótno. Wydało się jej, że pajak zaczyna się ruszać.

— Olku! — wrzasnęła co sił.

Głos jej odbił się od sklepienia i zamarł.

— Olku! — krzyknęła jeszcze głośniejsze.

Już chciała skoczyć do wody i płynąć za bratem, ale w tej samej chwili Olek wynurzył się z ciemnej szczeliny w ścianie.

— Czego się drzesz? — zapytał ze złością.

Widząc, że brat jest cały i zdrowy, dziewczynka się uspokoiła. Wyciągnęła do niego rękę i pomogła mu wgramolić się na pajaka.

— No, coś tam widział? Jest jakiś otwór? — zapytała.

— Nie. Taka sama nora jak nasza — odparł Olek, wzruszając ramionami.

— A jest tam ktoś?

— Nie!

Chłopiec usiadł, podciągnął kolana pod brodę, objął je rękami i patrzył zamyślony przed siebie.

— I nie ma wcale otworu?

- Wcale.
- A gdybyśmy tak dali nura pod ścianę?
- Pod ścianę?

Olek pochylił się, zwiesił głowę i zaczął się wpatrywać w ciemną toń.

Poprzez warstwę wody widać było czarne, ilaste dno stawu. Srebrzyste sznurki pajęczyny ciągnęły się od czarnego łu do brzegów podwodnego dzwonu, przytrzymując go, żeby nie wypłynął.

- Musimy dać nurka pod ścianę — powtórzyła Walerka.
- A to, widzisz?

Olek wskazał ręką na rozciągnięte pod wodą sieci, które chroniły wejścia i wyjścia z ich więzienia.

- Nie! Strach nurkować!
- Musi być otwór. Przecież jakoś tutaj weszliśmy! — powiedział Olek.

Nagle Walerka wydała jakiś nieartykułowany dźwięk.

Olek spojrzał na siostrę i szybko chwycił ją za rękę.

- Co ci, Walerko?

Dziewczynka siedziała blada, szeroko otworzywszy usta i trzymając się rękami za gardło.

- Duszno — wychrypiała — mnie... mnie brak powietrza...
- Zaraz, zaraz! — mruknął stropiony Olek.

Ale nie miał pojęcia, w jaki sposób pomóc siostrze, zresztą i jemu samemu coś narastało w piersi, rozpierało żebra aż do bólu.

W głowie mu szumiało, serce łomotało wściekle, jak gdyby wspinał się na stromą, wysoką górę. Wilgotne, ciężkie powietrze wchodziło do płuc jak przegrzana para i tylko utrudniało oddech.

Coś trzeba było robić.

— Nic się nie bój — Olek dotknął ręki siostry. — Jakoś się wydostaniemy!

I znów, po raz setny, zaczął oglądać podwodne więzienie. W głowie mu się kręciło.

Nachylił się, nabrał garść wody, chlustnął nią sobie w twarz i nagle ręka zawisała mu w powietrzu. Na czarnym, ilastym dnie dojrzał jakby olbrzymie, zielone jajka, rozszczepione na jednym końcu. Jedno jajko poruszyło się, wolno oderwało od dna i stuknąwszy o brzeg podwodnego domu, uleciało dokądś w górę. W ten sam sposób wypłynęło i znikło również drugie jajko.

Olek wyciągnął rękę do Walerki.

— Żabiściek! Widzisz? — powiedział drżącym głosem.

Olek się nie mylił: były to pączki żabiścieku — rośliny wodnej. W dużym świetle chłopiec często je widywał i teraz rozpoznał bez szczególnego trudu. Razem z innymi młodymi przyrodnikami zbierał te pączki dla kącika przyrody i nawet kiedyś napisał artykuł do gazetki szkolnej o tej nadzwyczajnej roślinie.

Żabiściek jest rośliną wędrowną, całe lato podróżuje po stawach i jeziorach, pchany przez wiatr od jednego brzegu do drugiego. Jego korzenie, podobne do wąsów truskawek, czerpią pokarm prosto z wody. Pod koniec lata na wąsikach pojawiają się młode pędy. Wychodzą na powierzchnię i tutaj rozwijają się w liście o kształcie serca, które często widuje się na obrazkach.

Zimą żabiściek wmarza w lód i ginie. Ale przedtem zdąży jeszcze porzucić swoje zadziwiające pączki.

Przez całą zimę leżą te pączki — zielone jajeczka — na dnie. Jak tylko zacznie się robić ciepło, pączki napełniają się gazami

i jeden po drugim wypływają na powierzchnię, gdzie zamieniają się w pływającą roślinę.

Te właśnie pączki zobaczył teraz Olek.

Chwycił siostrę za rękę i szybko, nerwowo zaczął jej tłumaczyć:

— Posłuchaj! One wylatują jak korki... Musimy dać nurka i złapać się za któryś z nich. Wyniesie nas do góry...

— A pajączyna? Patrz, ile sznurków biegnie pod wodą.

— Wszystko jedno, musimy spróbować. No, nurkuj prędzej!

Właśnie w tej chwili na dnie zaczęło się ruszać olbrzymie, zielone jajko. Nie było czasu na namysły. Pączek oderwał się od czarnego iltu i zaczął wypływać do góry.

— Nurkuj! — rozkazał Olek.

Walerka wzięła się w garść. Westchnąwszy głęboko, odepchnęła się od pająka i znikła pod wodą. Olek widział, jak siostra zanurkowała pod ścianę, chwyciła się oburącz za gruby pąk i razem z nim wyleciała na powierzchnię.

Olek poszedł w jej ślady.

Gdy otworzył oczy pod wodą, skierował się w stronę zielonej torpedy. Pączek poruszył się. Olek objął rękami i nogami grube, śliskie jego boki i zaraz zawirował jak bąk. Pączek zabiścieku parę razy okręcił się wokoło i nagle pomknął z wielką szybkością w górę, przedzierając się przez warstwę wody.

Pewnie długo musiał się przebijać, bo Olkowi zupełnie dech zaparło. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu serce, ale na szczęście w tym momencie wyleciał na powierzchnię. Twarz musnęły mu gorące promienie słońca. Oślepiony jaskrawym światłem, pluskał się w wodzie i łapał powietrze z rozkoszą.

Oddychał lekko, pełną piersią.

Obok niego pływała Walerka i także chciwie łykała świeże, czyste powietrze.

— No co, Walerciu — zaśmiał się Olek. — Żyjesz? Oddychasz?

— Oddycham!

— Najważniejsze — to nie bać się niczego — zawołał radośnie. — Nie trzeba upadać na duchu ani mazgać się i płakać. Jeżeli potrafiliśmy się wydostać z niewoli straszego pajęczyska, to znaczy, że i do domu potrafimy jakoś dobrać.

Biedne dzieci nawet nie podejrzewały, ile będą musiały jeszcze przecierpieć w tym nieznanym świecie i jakie niebezpieczeństwa będą się piętrzyć na ich drodze, zanim wrócą do domu.

R O Z D Z I A Ł S Z Ó S T Y

ODWAŻNI PŁYWACY. DZIWNII PASAŻEROWIE. OLEK I WALERKA PRZEDZIERAJĄ SIĘ PRZEZ WODNĄ DŻUNGŁĘ. W POSZUKIWANIU JEDZENIA. DZIECI ZNAJDUJĄ NIEZWYKŁE JAGODY. O KROK OD NIESZCZĘŚCIA

U nosząc głowy nad wodą, dzieci rozglądały się dookoła. Jak okiem sięgnąć — wszędzie szafirowa toń i tylko tam, gdzie słońce chyliło się ku zachodowi, czerniała zębata ściana lasu. Nad lasem kłębiły się chmury.

— Musimy jakoś przedostać się na ląd — powiedział Olek — a potem dalej, do domu.

— Myślisz, że dopłyniemy? — zapytała z powątpiewaniem Walerka, spoglądając na oddalony brzeg.

— Dopłyniemy! — zapewnił ją Olek. — O, na tych pąkach na pewno dopłyniemy. Właż na swój statek. Dzieci wsiadły okrakiem na zielone torpedy.

Olek wydał komendę:

— Wiosłuj nogami!

Zaczęli przebierać nogami, usiłując wprawić w ruch olbrzymie paki, ale te kołysały się tylko łagodnie i nie ruszały z miejsca.

— Czekać! — zawołał Olek. — Przenieś się do mnie! Będziemy wiosłować razem.

Walerka przelazła do brata. Pąk żabiścieku zanurzył się w wodzie więcej niż do połowy.

— Teraz wiosłuj! — nakazał Olek.

Dzieci zgodnie uderzyły rękami po wodzie. Pąk drgnął i wolniutko popłynął.

— Hura! Płyniemy! — pisnęła Walerka.

— Pełną naprzód! — wrzasnął Olek.

Z początku pąk obracał się to w prawo, to w lewo, ale niebawem dał sobą sterować.

Prując wodę, zielona torpeda posuwała się ku brzegowi.

Dzieci, pracując zawzięcie ramionami, popędzały ją wciąż naprzód.

Od strony lądu dochodził tu jakiś bardzo dziwny hałas. Wydawało się, że ktoś młóci wodę ni to deską, ni to wiosłami. Im bliżej statek podpływał do brzegu, tym wyraźniejszy stawał się ów szum.

Nagle, tuż, tuż bliżutko, zaryczał ogłuszająco jakiś potwór.

„Kum-kum“ — przeleciało po wodzie.

Walerka zdrygnęła się cała i jeszcze chwila, a byłaby spadła ze statku.

— Co to? — zapytała drżącym głosem i aż przestała wiosłować.

— Żaba... Na pewno żaba... Najzwyklejsza w świecie żaba, tylko że większa od czteropiętrowej kamienicy. Nic się nie bój!

— Tak... — Walerka z trudem powstrzymywała płacz — najzwyklejsza... Nas teraz nawet mucha może pożreć, a co dopiero taka czteropiętrowa żaba...

— To nic — uspokajał ją brat. — Taka żaba wcale nas nie zauważy.

Walerka zamilkła.

Dzieci płynęły, okrążając zielone, poprzecinane zatokami brzegi.

Z wody wynurzały się mięsiste, jaskrawozielone wysepki i kołysały się leciutko jak zakotwiczone tratwy. Trzeba było bacznie rozglądać się wokoło, żeby na nie nie wpaść.

— Jak myślisz, Olku — zagadnęła Walerka wskazując ręką na jedną z takich wysepek — co to może być?

— A bo ja wiem... — niepewnie odpowiedział brat — może to liście roślin wodnych... lub coś podobnego...

To z prawej, to z lewej strony wyskakiwały z wody okrągłe stwory z gładkimi, wypolerowanymi jak maska samochodu osobowego plecami. Zresztą, same też były nie mniejsze od samochodu.

Stwory te prostowały skrzydła, wlatywały w powietrze i znów spadały do wody, wzbijając obłoki bryzgów.

W szerokim przesmyku pomiędzy dwiema wysepkami dzieci dostrzegły brązowe, kosmate, przedziwne stworzenie na długich, powyginanych nogach. Snuło się ono w tył i w przód, ślizgając się po wodzie grubym brzuszyskiem.

Na grzbiecie zwierzęcia siedziało pięcioro takich samych jak ono stworzeń, tylko że bardzo maleńkich.

Maleństwa sprawowały się nader przyzwoicie.

Od czasu do czasu kosmaty zwierz wyławiał dla nich coś do jedzenia. Wówczas maleństwa błyskawicznie ześlizgiwały się do wody i tak samo szybko wracały na dawne miejsce. Łapkami przytrzymywały kawałki jakiegoś pokarmu, który w pośpiechu pożerały.

— Znów pajak — wyszeptła Walerka, przestając wiosłować.

Pajak zatrzymał się, kołysząc leniwie na fali.

— A na grzbiecie ma młode pajęczki — powiedział Olek. — Lepiej zaczekajmy chwilę, niech sobie idą dalej.

Ale zsa wysepki wyskoczył nagle drugi pająk, taki sam brązowy i kosmaty. I u niego na plecach roilo się od maleństw.

Pająki rzuciły się na siebie.

Były to kłębosze — nadwodne drapiezniki.

Zaciekle rzuciły się do walki. Pajęczęta na łeb, na szyję leciały do wody.

Gdy dorosłe pająki toczyły zażarty bój, ich dzieci bezładnie biegały po wodzie, zbijaly się w kupki i znów pierzchały we wszystkie strony.

Wreszcie walka dobiegła końca.

Jeden z pająków zaczął powoli pogrążyć się w wodę. Szerokie kręgi chwyciły maleństwa, podrzuciły je do góry, na dół...

Pajęczki zaczęły miotać się po wodzie jak niewypierzone kaczęta.

— Teraz będą się między sobą tłuc — cichutko oznajmiła Walerka.

Ale maleństwa nie umiały się bić. Zaaferowane zaczęły znów biegać po wodzie, wpadając jedno na drugie, fikały koziołki, aż wreszcie rzuciły się hurmem do zwycięskiego pająka i, popychając się wzajemnie, w najwyższym pośpiechu wdrapały mu się na grzbiet.

Olek i Walerka spojrzeli po sobie.

— Jak przypuszczasz — zapytała dziewczynka — czy on rzuci obce pajęczątka z siebie, czy nie rzuci?

Ale pająk nawet nie zauważył, że przybyło mu pasażerów na plecach, że ma ich bez mała dwa razy tyle.

Stał spokojnie na wodzie na rozkraczonych, długich nogach i czekał, aż maleństwa na niego powiadają. A kiedy powłaziły wszystkie, co do jednego, wtedy on, jak gdyby nigdy nic, pomknął szybko naprzód i niebawem zniknął w labiryncie wysepek.

Dzieci popłynęły dalej.

— Ciekawe... — powiedziała zamyślona Walerka.

— Co ciekawe?

— Ciekawe, co też żarły te małe?

Olek wzruszył ramionami.

— Pewnie jakieś paskudztwo!

Walerka westchnęła. Przypomniała sobie, że nic jeszcze od wczoraj nie miała w ustach, i cichutko zaoponowała:

— A może to wcale nie było takie złe? Na początku może wydać

się niezbyt apetyczne, ale potem można się przyzwyczaić i... A jeszcze później w ogóle wyda się smaczne.

Była właśnie pora obiadu.

Dzieci wpadły w zadumę.

Co teraz robią u nich w domu? Babcia na pewno nakrywa do stołu. Mama wczoraj mówiła: „Obiad będzie pyszny. Tylko pamiętajcie, nie spóźniać się!”

— Jak myślisz, co jest dziś w domu na obiad? — zapytała Walerka.

— Zdaje się, że chłodnik i pieróg z cebulką i jajkami.

Walerka przełknęła ślinkę.

— A może barszcz ze słoninką, z szynką albo parówkami? A na drugie befszytk z cebulką i smażonymi kartofelkami? Co byś ty wolala?

— Ja? — Walerka chwilę pomyślała. — Zjadłabym teraz skórkę od chleba i... troszkę sera.

— A ja — powiedział brat — zjadłbym befsztyk. Tylko wielki... Jak talerz... I okropnie dużo kartofli z zieloną sałatą, a potem mógłbym zjeść jeszcze cały pieróg i tort poziomkowy, a potem...

Walerka przestała wiosłować. Obróciła się w stronę brata zapytała:

— A co zjemy na obiad?

— Dzisiaj nie będziemy mieli obiadu.

— A na kolację?

— Kolacji też nie będzie.

— A na śniadanie?

— Ze śniadania też nici.

— No to co będziemy jeść?

— A nic! — ponuro odparł Olek. — Nie wolno nam o tym myśleć.

Walerka znowu westchnęła.

— No wiosłuj, wiosłuj! Żeby prędeż do brzegu! — fuknął na nią Olek. — Tam na pewno coś się trafi.

— Dobrze byłoby znaleźć poziomkę. Będzie teraz z dziesięć razy większa od nas. Na pewno taka wielka jak stóg siana. Wiesz co? W jednej jagódce można zrobić jaskinię i tam zamieszkać, a jeść można ściany i sufit.

— Nie plotłabyś głupstw — nachmurzył się Olek. — Lepiej wiosłuj, zobaczymy, co będzie potem.

Dziewczynka zamilkła.

Popychany zgodnymi ruchami ramion, pęk sunął w stronę brzegu, wzbijając pianę i zostawiając za sobą długi, podobny do

wąsów, rozplywający się ślad.

Brzeg z każdą chwilą był bliższy.

Coraz wyżej i wyżej wystrzelał z wody zielony las i zdało się, że sam płynie na spotkanie dzieciom.

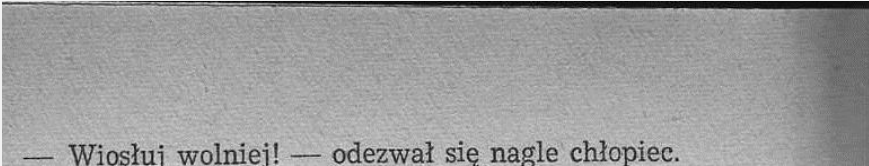
— Gazu! Gazu! — pokrzykiwał Olek.

— Posuwam pełną parą naprzód! — stęknęła Walerka.

Łódka z pąka pędziła tak jak tylko było to możliwe.

Nie minęła godzina, a już przed młodymi podróżnikami wyrósł, przesłaniając słońce, wysoki las trzcinowy. Gęste, zimne cienie kładły się na wodzie, a i fale w pobliżu lasu były chłodne, nie takie jak w słońcu.

Pąk sunął pomiędzy potężnymi, kolankowatymi pniami, wystającymi prosto z wody. Ich wierzchołki ciągnęły się pod samo niebo.



— Wiosłuj wolniej! — odezwał się nagle chłopiec.

— Bo co?

— Ktoś tu jest! Słyszysz?

Dzieci znieruchomiały.

Spoglądając z trwogą na siebie, brat z siostrzyczką w milczeniu wsłuchiwali się w nieharmonijne odgłosy, dobiegające z lasu.

Krzywe pnie chwiały się, ocierały jeden o drugi z głośnym skrzypieniem. W ciemnej gęstwinie, skąd wiało zimnem i wilgocią, ktoś hałaśliwie się pluskał, ogłuszająco skrzeczał i terkotał.

A las wyglądał, jak gdyby zatopiony wezbranymi wodami. Gdzieniedzie prześwitywała błękitna toń, dalej jednolitym murem

stały gęste zarośla.

Po wodzie, między trzcinowymi drzewami, uwijały się dziwne, wiatronogie zwierzęta, a za nimi pędem sadyły inne, jeszcze większe i straszniejsze.

— Taaak — mruknął Olek i cichutko gwizdnął przez zęby.

Walerka zrozumiała go bez słów.

Patrząc przerażona na brata, zapytała szeptem:

— Jedziemy z powrotem? Tak?

— Jak to, z powrotem — zachnął się chłopiec po chwili milczenia. — Trzeba przybić do brzegu, gdzie nie ma tych straszyleń. Poszukamy może innego miejsca.

Wydostawszy się z zarośli na otwartą wodę, skierowali pączek wzdłuż trzcinowego lasu, oglądając się co chwila na ląd i starając się trzymać od niego jak najdalej.

— Mam pomysł — odezwała się Walerka. — Proponuję nazwać

ten brzeg „Dżunglą Koszmarnych Strachów”.

— To idiotyczne! — stwierdził Olek.

— Dlaczego idiotyczne? — zdziwiła się siostra. — Wszyscy podróżnicy nadają takie nazwy. Sama czytałam u Verne’a.

Olek nic nie odpowiedział. Coraz to zerkając na trzcinowy las, obok którego właśnie płynęli, pogwizdywał jakąś niewesołą piosenkę.

— Albo też — znowu zaproponowała Walerka — można go nazwać „Lasem Krwawych Tajemnic”.

— Dobrze, już dobrze — odburknął Olek. — Lepiej byś wiosłowała.

Trzcinyowy las pomału się przerzedzał, aż wreszcie się skończył. Na prawo ciągnął się teraz pustynny brzeg, usiany żółtymi, jarzącymi się w słońcu kamieniami.

Był taki upał, że wszystko, co żyło, pochowało się pod liście lub pod kamienie. Teraz dzieci płynęły nie napotyając ani jednego żywego stworzenia.

Droga stała przed nimi otworem.

Olkowi poprawił się humor.

— A te tutaj brzegi — zawołał wskazując ręką na kamienne zwały — nazwałbym „Zatoką Dobrej Nadziei”.

— Dlaczego zatoką? Nie widać żadnej zatoki.

— To nie ma znaczenia — odparł brat kierując statek w stronę brzegu — może, zanim skończymy podróż, ukaże się jakaś zatoka.

— A ja...

— A ja przybijam do lądu... — krzyknął Olek, bryzgając wodą na Walerkę. — Rrraz!

Dzieci po raz ostatni machnęły ramionami i zielona torpeda werznąła się w kamienisty brzeg.

Od silnego pchnięcia pęk się wywrócił. Olek i Walerka wlecieli do wody, ale szybko wypłynęli i czepiając się występów żółtych skał, wdrapali się na ląd.

Kamienie były rozprażone od słońca. Walerka przysiadła na jednym z nich, ale natychmiast się zerwała.

— Co? Gryzie? — zadrwił z niej brat. — A jak byś proponowała nazwać ten kamień?

Oslonił oczy dłonią, uważnie obejrzał widnokrąg i powiedział:

— Wiesz co?

— Co? — nieśmiało zapytała Walerka.

— Przecież te kamienie — to piasek! Kiedyśmy byli normalnego wzrostu, piasek wydawał się nam miłątki, a teraz każde jego ziarenko stało się dla nas kamieniem.

— To co z tego?

Olek westchnął i oznajmił:

— Podobno w Afryce piecze się jajka, zakopując je w piasek. Obawiam się, że i my możemy się podpiec na tych kamieniach.

Dotknął ręką kamienia i pokręcił głową:

— Nie, tutaj nie wolno nam się rozsiadać! Trzeba jechać dalej.

Dzieci wróciły do swojej zielonej torpedy i udały się w dalszą drogę.

— Proponuję nazwać ten brzeg — powiedziała Walerka — nazwać ten brzeg...

— „Tajemnicą Strasznych Kamieni” — przerwał jej Olek i roześmiał się na całe gardło.

Walerka zamilkła z nadąsaną miną.

Ściągnęła brwi i poruszała gorliwie w wodzie rękami i nogami, aby zielona torpeda mknęła szybciej.

Olek także milczał.

Dzieci same nie wiedziały, ile czasu płynęły na pąku żabiścieku wzdłuż żółtego brzegu, ale czuły, że ręce i nogi zaczynają im omdlewać.

— Nie masz pojęcia, jak mi się chce jeść! — odezwała się Walerka, pierwsza przerywając długie milczenie.

— Mam pojęcie, mnie samemu kiszki marsza grają.

— Jak by to było dobrze złapać coś i upiec na tych kamieniach — rozmarzyła się Walerka.

- Na przykład co?
- A bo ja wiem... Może motyla... Może pasikonika...
- Myślisz, że to będzie smaczne?
- Na pewno! Jak się upiecze, to będzie pyszne.
- A ja chyba zjadłbym motyla nawet na surowo — przyznał się Olek. — Tylko że nie dalibyśmy mu rady!

Tak gawędząc dopłynęli do brzegu porośniętego gęstym, trawiastym lasem.

Mgiełka letniego, upalnego dnia unosiła się nad drzewami. To tu, to tam stały grube pnie, podobne do baobabów, które Olek i Walerka widzieli na obrazkach.

- Tu muszą być jagody — ucieszyła się nagle dziewczynka.
- Wiem na pewno. W lesie zawsze są jagody! Prędzej, musimy ładować!

Statek zatrzymał się przy stromym brzegu. Dzieci zeskoczyły na ziemię i potykając się pobiegły w stronę lasu.

Było tam bardzo duszno.

Od drzew zalatywało bagienną trawą. Na ich zielonych, lśniących pniach nie widać było kory.

Promienie słońca, przedzierając się przez gęste zarośla, kładły się na ziemi rzadkimi, żółtymi plamami.

Grunt pod nogami był wilgotny i grząski.

— No, kto z nas pierwszy znajdzie obiad? — wołała Walerka, zapuszczając się coraz głębiej w las.

— Dobrze, już dobrze — mruknął Olek — tylko się zbytnio nie oddalaj, bo jeszcze stracimy się z oczu.

Poszli lasem, raz po raz hukając i nawołując się, a równocześnie bacznie rozglądając się dookoła.

Od czasu do czasu przystawali, obydwoma rękami rozsuwali ciężkie liście i patrzyli, czy nie ma pod nimi jagód. Włazili nawet na trawiaste drzewa i tam szukali owoców. Ale nic jadalnego nie znaleźli.

Co za dziwny las! Czy mają tu zginąć z głodu?

Nagle usłyszeli gdzieś przed sobą jakiś głuchy szum i przystanąli.

Olek podniósł rękę.

— Słyszysz?

— Aha — skinęła głową Walerka. — To woda! Zdaje mi się, że to szumi rzeczulka. Chodźmy! W pobliżu rzeczek zawsze bywają jagody. Wiem na pewno!

I pobiegła przed siebie.

Olek rzucił się w ślad za nią.

— Zaczekaj! — krzyknął. — Może to wcale nie rzeczka, ale po prostu jakaś żaba głośno dyszy.

Chwycił Walerkę za rękę.

Poszli w stronę, skąd dobiegał szum, pilnie wsłuchując się w każdy podejrzany dźwięk.

Drogę zagradzały im sterty zwalonych pni, obrośniętych grubą warstwą zeschniętego błota. Zwiędłe liście tworzyły prawdziwą ścianę, a gdy dzieci próbowały obejść jeden listek, zwałił się na nie i ledwo-ledwo zdołały się spod niego wygramolić.

Wreszcie Olek i Walerka podeszli do wysokiego pagórka. Gdy szybko wbiegli na sam jego wierzchołek, poczuli nagle, że w twarz powiał im chłodny wiatr.

Przed nimi huczał potok.

Gdy rozsunęli rękami zarośla, zobaczyli go dokładnie. Nie był zbyt wielki, ale pniąc się i kotłując przeskakiwał przez głązy, pędził, skręcając to na prawo, to na lewo, lub spadał gdzieś w dół z ogłuszającym hukiem jako wodospad.

— Widzę! — wrzasnęła dziewczynka i wyrwawszy dłoń z ręki brata, odepchnęła go i pomknęła jak strzała naprzód.

— Walerko! Stój! Wracaj!

Ale dziewczynka już zniknęła za drzewami.

— Tutaj! Tutaj! — usłyszał Olek jej głosik. — Prędeż! Tu są jagody! Jakie olbrzymie! Prędeż, Olku!

Chłopiec pobiegł na głos siostry.

— Walerka!

— Tutaj! Tu!

Stała pod wysokim drzewem i z zadartą głową wskazywała na coś w górze.

Olek podszedł do niej.

— Co, jagody?

— Tak! Tutaj! Ogromniaste!

Walerka klepnęła ręką w wygięte, zielone drzewo. Olek spojrział w górę.

Wysoko nad ziemią wisały przytulone do pnia ciemne owoce, wielkie jak beczki od piwa. Wypełnione soczystym miąższem, przycupnęły w cieniu długich, wąskich liści.

— No, co ty na to? — błysnęła oczami Walerka.

— Jak to „co”? Naprzód! — odkrzyknął brat i rzucił się w kierunku drzewa.

Uchwyciwszy się pnia rękami i nogami, dzieci zaczęły się

wspinać, nie spuszczać oka z upragnionych owoców — na przodzie Olek, za nim Walerka.

Pień chwiał się leciutko, liście drżały. Niżej, pod urwiskiem, huczała i pieniała się woda.

Dziewczynka spojrzała w dół.

— Och, jak spadniemy — będzie kiepsko!

— Właż! — odparł z góry brat. — Nie spadniemy!

Szybko przebierając rękami i nogami, dotarli nareszcie do kuszących owoców.

Olek wyciągnął rękę. Nagle pociemniało mu w oczach. Dłonie się rozwarły.

— Co ci jest? — Ledwie zdążyła zapytać dziewczynka i w tej samej chwili zaszumiało jej w uszach i poczuła silny zawrót głowy.

Machnąwszy rękami, dzieci fiknęły w powietrzu parę kozłów i poleciały jak kule w dół, prosto do rwącej, wzburzonej wody.

Silny prąd porwał Olka i Walerkę i, ciskając nimi na wszystkie strony, poniósł w stronę huczącego wodospadu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WALKA W PODZIEMIU. ZWIERZĘ Z USZAMI NA NOGACH. NIEZWYKŁY LAS. PROFESOR ZOSTAJE PILOTEM. NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

Profesor siedział w norze. Kiedy oczy jego oswoiły się z ciemnością, dojrzał przed sobą w czeluściach czarnej jaskini olbrzymi łeb z długimi wąsami.

— Ale huzar! Kto to może być? — wymruczał stropiony. Łeb i przednią część tułowia okrywał szeroki, wypukły pancerz. Spod niego wysuwały się zębate łapy, krótkie, ale bardzo szerokie. Profesor w mig zrozumiał, że walka z tym podziemnym zwierzęciem jest nie na jego siły. Zostanie zabity jednym uderzeniem. A jednak postanowił się bronić.

Przywarł plecami do zimnej, wilgotnej ściany i wysunął do przodu żądło osy.

Zwierzę się poruszyło. Wielkie, sztywne cielsko, zbudowane jak gdyby z szerokich, kościanych pierścieni, drgnęło. Ze ścian pieczary z hałasem posypała się ziemia.

„A gdybym tak napadł je od tyłu?” — pomyślał pan Jan.

Ale zwierzę nawet z tyłu było nie do zranienia. Dwa błoniaste skrzydła, złożone razem, okrywały cały tułów mocnym pancerzem. Co to może być?

Profesor stanął na palcach, wyciągnął szyję i nagle z przerażeniem zobaczył dwie lance z ostrymi kolcami wlokące się po ziemi

jak dwa ogony.

— Podziemny świerszcz! Turkuć podjadek! — wyszeptał. Turkuć podjadek hałaśliwie wiercił się w pieczarze, rozgarniał łapami ziemię i zbliżał się coraz bardziej do profesora.

„Żywi się larwami owadów i ziemnymi robakami — przypominał sobie uczoney — a więc pożre i mnie!”

Rzucając pełne rozpaczę spojrzenia dookoła, zaczął ostrożnie wycofywać się w najciemniejszy kąt pieczary, usiłując trzymać się jak najdalej turkucia podjadka.

„Trzeba go obejść” — pomyślał, przeciskając się wzdłuż ściany na tyły wroga.

Turkuć podjadek obrócił się. Poruszył czułkami, jak gdyby węszył czy nasłuchiwał.

Profesor wstrzymał oddech.

Owad opuścił czułki i niezdarnie zagarniając ziemię łapami-łopatami, rzucił się prosto na profesora.

Pan Jan popędził z powrotem na dawne miejsce.

Gdzie tam! Nie tak łatwo oszukać turkucia podjadka pod ziemią. Tutaj czuje się on jak ryba w wodzie!

— Nie! Nie! Uciec się nie uda! Trzeba się bić!

Profesor zatrzymał się, zdecydowanym ruchem nastawił dzidę i przygotował się do boju. Cofnął się o krok. Łokcie jego dotknęły ściany i nagle... poczuł pod łokciem pustkę.

Szybko się obrócił. Prosto przed nim ziało wejście do szerokiej, ciemnej nory. Odetchnął z ulgą.

Dokąd prowadzi ten tunel? Kto go wykopał? Czy się w nim nie kryje jakieś nowe niebezpieczeństwo?

Ale w tej chwili nie było czasu na rozważania...

„Schować się, uciec, zaryć głębiej w ziemię” — przeleciało mu przez głowę i bez namysłu dał nura do nowo odkrytej jamy.

Potyając się i boleśnie raniąc o kamienie, pan Jan po omacku posuwał się w całkowitych ciemnościach.

Tunel okazał się długi. To opuszczał się gdzieś w dół, to prowadził ku górze, to skręcał na prawo, to ostro odchyłał się w lewo i zwiężał wyraźnie.

Trzeba było przyginać się bardzo nisko, a nawet niekiedy pełzać na czworakach, wlokąc za sobą dzidę.

Ale to wszystko było bez znaczenia. Profesor gotów był przystać na wszelkie niewygody. Godził się nawet czołgać przez cały dzień na brzuchu, byleby tylko umknąć temu przekłębtemu owadowi! Byleby tylko się ukryć gdziekolwiek.

Ale wszystko wskazywało na to, że ten plan się nie powiedzie.

Wróg szedł nieodstępnie jego śladem i profesor wyraźnie słyszał za sobą narastający hałas pogoni.

Gdy tylko pan Jan wśliznął się do tunelu, turkuć podjadek stanął na chwilę, obmacał czułkami ściany jaskini i zamarł bez ruchu, jak gdyby zastanawiając się, gdzie też ukrył się ten dziwny i zwinny robaczek.

Czułki owada poruszyły się niespokojnie. Obmacywały podłogę, ściany, sufit i niebawem wykryły wejście do tunelu.

Wsadził tam łeb, ciężko dysząc.

Jest tu czy go nie ma?

Chwilę postął w miejscu, postukując łapami, a potem zdecydowanym ruchem wsunął zwałiste cielsko do nory i, szybko zgarbiając ziemię, popęzł tunelem.

Przebijał się jak gorący gwóźdź przez kostkę masła. Drążył

ciałem pulchną ziemię, wkręcając się w nią z nieprawdopodobną szybkością.

Profesor usłyszał z tyłu, za plecami, urywany oddech i nagle na jego ramiona spadły twarde czułki.

Obmacywały go, ślizgały się po twarzy, po rękach.

Jenotow krzyknął. Szybko odwrócił się, trzepnął dzidą po Wąsach owada i poczołgał się dalej.

Nierówne ściany wąskiego tunelu boleśnie obdrapywały boki, ramiona i łokcie. Korytarz tak się zwęził, że pan Jan z wielkim trudem sunął do przodu.

Od woni pleśni i wilgoci aż dech zapierało. Profesor oblewał się potem. Serce waliło jak szalone. Ręce i nogi drżały z wysiłku.

Im dalej, tym trudniej było posuwać się ciasnym korytarzem podziemnym, ale profesor słyszał, że turkuć podjadek zaczyna zostawać w tyle, i to dawało mu nikłą nadzieję ocalenia. Odgłos pogoni dobiegał coraz słabiej.

„Uratowany! Uszedłem!“ — sapał zmordowany profesor.

Odpychając się łokciami i kolanami czołgał się, natężając wszystkie siły, i nagle z rozpędu wbił głowę w ziemię.

Dalej przejścia nie było!

Tunel kończył się ślepo.

Profesor zdrtwiał.

„Czyżby to koniec? A kto uratuje Olka i Walerkę?“

Cały zlany potem, spiesznie macał po ciemku rękami, ale wszędzie trafiał na jednolitą ścianę z ziemi.

Co robić?

Siedział w norze jak w pułapce. Z tyłu naciera na niego turkuć podjadek, przed sobą nie ma żadnej możliwości wyjścia.

Położenie nie do pozazdroszczenia! Co robić?

Profesora przeszło mrowie. Ręce i nogi mu zlodowaciały, w gardle wyschło.

— Figa! — oznajmił z nagłą decyzją. — Jeszcze zobaczymy, kto kogo. Ty jesteś wielkim, silnym stworzeniem, ale ja przecież jestem człowiekiem. Będę się z tobą bił i zwyciężę.

Jeszcze niedawno mógłby palcem rozduścić owada, a teraz musi zebrać wszystkie siły do walki, której zakończenia i tak nie można przewidzieć.

Odwrócił się, oparł się mocno plecami o ściankę nory i wysunął dzidę do przodu.

— Będę walił prosto w splot nerwowy, pod okiem — powiedział głośno.

Nagle przez głowę przemknęła mu myśl, od której cały zdrzął.

„Ale w jaki sposób się stąd wydostanę, jeżeli nawet uda mi się zabić turkucia podjadka? Przecież on zatka otwór swoim olbrzymim cielskiem. Jak potem uprzątnąć z drogi takiego potwora?”

Minęła jedna minuta, druga.

— Precz! Precz! — wrzasnął profesor, wymachując dzidą i starając się krzykiem spłoszyć napastnika.

Ziemia osypała się z hałasem. W tunelu się zakotłowało. Chropowate czułki owada wyciągnęły się w kierunku wroga, obmacując w ciemnościach jego głowę i ramiona. Uczony rzucił się naprzód i zaczął tłuc raz po raz potwora po łbie, wrzeszcząc ochryplym głosem:

— A masz! A masz! A masz!

Turkuć podjadek nie spodziewał się takiej napaści. Cofnął się i zaczął pełznąć do tyłu.

— A widzisz! — zawołał profesor, odważnie rzucając się na niego.

Owad wysunął czułki. Profesor wałnął po nich na odlew pięścią i, klnąc na cały głos, popędził owada tunelem.

Nie przestawał grzmocić nieprzyjaciela dzidą po głowie, starając się trafić ostrzem w splot nerwowy. Ale wróg nagle wciągnął łeb pod tarczę i dzida bezskutecznie stukała po chitynowej pokrywie.

Potwór przystanął. Zapewne dzida nie sprawiała mu już przykrości. Profesor zrozumiał w lot: bitwa jest przegrana.

Nie przestając wymachiwać dzidą, zaczął powoli odstępować w koniec tunelu, dopóki nie wyczuł plecami ściany.

„No, przyszła kryska na Matyska” — pomyślał.

Znużony, przymknął oczy, wciągnął głowę w ramiona i zwinął się w kłębek.

Nagle gdzieś w górze usłyszał hałas. Sklepienie jamy trzeszczało, jak gdyby ktoś świdrował w nim dziurę z zewnątrz. Na głowę posypała się ziemia.

Sufit się rozpękł. W norze na ułamek sekundy błysnęło blade światło. Profesor dojrzał gdzieś w oddali skraweczek błękitnego nieba, ale prawie natychmiast szpara pociemniała i do tunelu opuściło się coś, co przypominało olbrzymi strączek.

— A to co? — wrzasnął profesor, chwytając strączek oburącz.



Strączek drgnął i zaczął szybciotko unosić się ku górze.

Uczony zrozumiał jedno: strączek zjawił się stamtąd, gdzie jest słońce, on zaś musi wydostać się spod ziemi z powrotem ku słońcu razem z tym zbawczym strączkiem.

Jeszcze mocniej objął go rękami i nogami i w tej samej chwili, jak z procy, wyleciał spod ziemi.

Oślepiły go promienie słońca. Przymrużył oczy. Uczuł wielką radość!

— Uratowany! Uratowany!

Ale gdy tylko rozluźnił uścisk ramion, natychmiast jakaś niepojęta siła podrzuciła go do góry, potem cisnęła nim w dół, potem znów do góry, znów do dołu...

Profesor unosił się w powietrze jak piłka i wciąż na nowo zlatywał na ziemię.

Trzeba było czym prędzej wyzwolić się od skaczącego strączka. Uczony rozwarł dłonie. Kręcąc się w powietrzu jak bąk, zleciał na ziemię i poturlał się koziółkując po kamieniach. Uderzenie było tak mocne, że na krótką chwilę stracił przytomność.

Kiedy ją znowu odzyskał, pierwsze, co zauważył, to było jakieś wielkie, zielone stworzenie.

Stało nie opodal na rozkraczonych, długich nogach, całych usianych ostrymi kolcami-ostrogami. Silne golenie uniesione były powyżej tułowia i wygięte w równiutkie trójkąty. Na ziemi spoczywał gruby, w kształcie strączka ogon, o wiele dłuższy od jego właściciela.

— Aha! — profesor uniósł się na łokciach. — Teraz rozumiem! Chwyciłem się właśnie za to pokładełko! Wspaniała sztuka!

Słyszac glos, zwierze odwróciło w jego stronę splaszczony łeb

o wielkiej gębie i poruszyło wąsami fantastycznej wprost długości.

— Do jakiej rodziny należysz, mój miły zbawco? — uprzejmie zapytał pan Jan.

Zielony stwór, cały jak gdyby pokryty błyszczącym lakierem, poruszył nogami.

— Ach, już wiem! — zawołał profesor. — Ty słuchasz nogami! No tak, pewnie! Jesteś zielonym pasikonikiem. Cóż, dziękuję ci, kochasiu! Dziękuję serdecznie, wybawiłeś mnie z ciężkiej opresji.

Pasikonik znowu poruszył nogami. Podłużne szpary słuchowe jego przednich łap obróciły się w stronę rozmówcy. Widocznie nasłuchiwał.

Teraz dopiero profesor zrozumiał dokładnie, co się stało.

O tej porze roku samiczki pasikoników świdrują w ziemi otwory, żeby schować jak najgłębiej jajeczka. Na wiosnę z tych jajeczek wykluwają się larwy, wylazą na powierzchnię i zabierają się do pożerania gąsienic, motylków i muszek.

Profesor miał wielkie szczęście, że samiczka przewierciła ziemię akurat w tym miejscu, dokąd go zapędził turkuć podjadek.

Ale pasikonik nie zdążył złożyć jajeczek. Dotknąwszy pokładelka profesor, rzecz jasna, okropnie przestraszył samiczkę i dlatego w popłochu wyszarpnęła z ziemi swój ogon — pokładelko.

— Ach, wybacz mi, proszę — wesoło odezwał się pan Jan — wybacz mi, że ci przeszkodziłem.

Pasikonik podskoczył. Rozprostował błyskające w słońcu skrzydła i zniknął w zielonym gąszczu trawiastego lasu.

— Żegnaj! Szczęśliwej drogi! — krzyknął za nim Jenotow i pomachał przyjaźnie ręką.

Pozostał sam. Zaczął się rozglądać, gładząc siwą brodę.

— No i dokąd mnie zaciągnąłeś, zielony skoczku? — mruknął wreszcie. — Gdzie się znajduje staw? Jak do niego trafić? W którą stronę mam iść, na prawo czy na lewo?

Dookoła szumiał las. Dopiero teraz profesor zauważył, jak mało ten las jest podobny do trawiastej dżungli.

Nie było tutaj wykrzywionych, przypominających bambusy drzew. Długie, lekko wygięte pnie ciągnęły się ku górze jak gigantyczne świece.

Profesor spojrział na korony i zdziwił się bardzo. Na niebotycznej wysokości wolniutko kołysały się olbrzymie białe czapy. Każde drzewo stało jak długa tyka, na którą ktoś wcisnął białą, potwornie dużą papachę.

— Jakie to mogą być rośliny? — zmrużył oczy, żeby się lepiej przyjrzeć.

Podszedł nieco bliżej i nagle stanął jak wryty. Na jego oczach biały, puszysty obłoczek oderwał się od czubka drzewa i zniknął. Jak gdyby roztopił się w powietrzu.

Profesor wzruszył ramionami. Jeszcze się nie mógł zorientować.

Poczuł na piecach podmuch wiatru. Jak na komendę białe czapy oddzieliły się od drzew i wolniutko popłynęły w przestworza.

Nagle do stóp profesora spadł skądś z góry ciężki, podłużny pocisk. Profesor pochylił się nad nim. Z główki pocisku sterczał długi, cienki bicz, a na nim trzepotał się puszysty spadochron.

— Ach, to tak! — ucieszył się profesor. — Przecież to jest... że też się od razu nie domyśliłem.

Szybko podbiegł do najwyższego drzewa i, zadarłszy głowę do

góry, obejrzał je uważnie od czubka aż do korzenia.

— Tak, tak! Wspaniale! Naprawdę, mam dzisiaj niebywałe szczęście!

Profesor dokładnie umocował na sobie swój pajęczynowy kostium, podskoczył i uczepił się pnia.

Pień był gruby. Z trudem mógł objąć go ramionami i nogami, ale jak tylko go dotknął, zaraz poczuł, że dłonie i kolana przylepiły się do drzewa.

— To nic, to nic — bąknął — żebym tylko wdrapał się do połowy, a potem to już pójdzie łatwiej.

Z wielkim trudem odrywając ręce i nogi, ciężko dysząc, cały zlany potem, profesor wpełzał do góry jak mucha po lepie.

Z początku wspinaczka była niesłychanie ciężka, ale im wyżej wdrapywał się nasz uczonec, tym cieńszy robił się pień i łatwiej było się po nim przesuwac. Wiatr kołysał drzewem, a razem z nim kołysał się profesor i nie miał odwagi nawet jednym okiem zerknąć w dół.

No, nareszcie wierzchołek — biała puszysta czapa.

Profesor wyciągnął rękę, przygotowując się do przejścia na koronę, gdy wtem o jego dłoń otarło się coś miękkiego.

Przywarł całym ciałem do pnia. Dookoła niespodziewanie zalopotały skrzydła, aż zahuczało w powietrzu. Przelatywały przed nim w tanecznych podskokach jakieś skrzydlate stworzenia.

Wystraszony profesor wciągnął głowę w ramiona.

„Pożrą! Jak dwa razy dwa — cztery, pożrą mnie te rozbójniki!“ — pomyślał z przerażeniem. Ale przyjrzaawszy się uważniej skrzydlatym stworom, uspokoił się natychmiast.

— A to ze mnie tchórz! — westchnął z uczuciem ulgi.

— Prostując w powietrzu długie, cienkie łapy, owady krążyły wokół drzewa, szeleszcząc przezroczystymi, sztywnymi skrzydłami.

Ich długie ogony muskały twarz profesora, ślizgały się po całym ciecie.

— Jętki! Przecież to tylko jętki! — mruknął Jenotow i uchwyciwszy się mięsistych liści korony, spokojnie polazł na czubek dziwnego drzewa.

Jętki tylko na pierwszy rzut oka wydały się olbrzymami. W rzeczywistości były niewiele większe od profesora. A sprawiały wrażenie wielkich dlatego jedynie, że za nimi rozwiewały się nitki ogonowe, przypominające kształtem u jednych widełki, u innych znówu — cyrkle.

Szczecinki te były dwa razy dłuższe od całego tułowia.

„Ale tańczą! — pomyślał profesor. — Czyżby naprawdę miało się już ku zachodowi?”

Nie zwracając więcej uwagi na uskrzydłone tanecznice, wdrapał się na czubek drzewa.

Nie było podstaw do obawiania się jętek.

Owady te nie posiadają nawet otworu pyszczkowego. Żywot ich jest tak krótkotrwały, że nie mają potrzeby troszczyć się o pokarm. Przychodzą na świat po to, żeby przetańczyć w ciepłym powietrzu swój jedyny w życiu taniec.

W wesołym korowodzie wirują przez cały dzień, niezmordowanie wymachując skrzydełkami, a kiedy na ziemię spływa letni zmierzch, opuszczają się na wodę, gdzie składają jajeczka, by już nigdy więcej nie wrócić do bez trosk tańców. W tym okresie martwe jętki rudymi dywanami pokrywają rzeki.

Prąd znosi miliardy tych nie żyjących już stworzeń wzdłuż

stromych i wzdłuż płaskich brzegów rzeki. Zostają one po drodze pożarte przez ryby i ptaki, tak że do ujścia rzeki nie docierają.

Los nie do pozazdroszczenia! Przetkańczyć dzień i zostać pożartą — oto po co jętka przychodzi na ten świat.

Otoczony korowodami jętek, profesor stał na czubku drzewa, dziwnie przypominającego kopułę. Cała jej powierzchnia była gęsto utkana ciemnymi, błyszczącymi nasionkami. Z każdego z nich strzelały w górę giętkie źdźbła ze spadochronami na końcach. Szumiały one nad głową profesora jak sad na wiosnę.

Od czasu do czasu jakieś nasionko, drgnąwszy i zachybotawszy, odrywało się od kopuły i przez krótką chwilkę wisiało nad koroną drzewa. Podmuch wiatru porywał spadochron i wtedy nasionko odpływało w powietrze.

Profesor pomacał źdźbła i wziął się do dzieła.

Wybrał z dziesięć największych spadochronów i oderwał je od nasionek. Trzymał teraz w rękach cały pęk parasoli z puszystymi obłoczkami na końcach. Spadochrony wprost wyrwały się ku górze, unosząc Jenotowa ponad koronę drzewa. Musiał wyteżać wszystkie siły, żeby się utrzymać na miejscu.

Szybko zerwał jeszcze parę spadochronów i rażno podskoczywszy, zawisł w powietrzu. Jakiś czas wisiał tak, machając nogami, ale jak tylko wionął wiatr, spadochrony wesoło załopotaly nad jego głową. Prąd powietrza porwał go i poniósł nad lasem.

— Nadzwyczajnie! Wprost nie do wiary! — roześmiał się pan Jan, kołysząc się w powietrzu jak wahadło zegara. — Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że będę kiedyś fruwał na puszkach mleczu.

Dziwne drzewa w białych czapach wyglądały teraz, z wielkiej

wysokości, jak najzwyklejsze w świecie mleczne, a las sprawiał wrażenie zwykłej trawy łąkowej.

Profesor rozejrzał się dookoła.

Jak okiem sięgnąć, rozpościerały się wszędzie trawiaste dzungle i pustynie piaskowe. W oddali na wysokiej górze spostrzegł ogromną tykę, na której powiewał czerwony sztandar.

— Aha! To moja żerdź! — szepnął pod nosem i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Jeszcze dalej na prawo błękitniała rozległa tafla wody.

— Oto mamy staw! Znakomicie! Teraz orientuję się już w kierunku!

Wiatr tarosił puszyste spadochrony. Nurkując w powietrzu, profesor szybował nad lasami i polami, bacznie wpatrując się w ziemię. Aż nagle... wsteczny prąd pochwyił go i poniósł prościuteńko nad staw.

— Oho! W ten sposób mogę się utopić — zmartwił się uczo-ny. — Trzeba lądować, dopóki mnie nie zniesie nad otwarte morze!

Właśnie przelatywał nad zalaną słońcem polanką. Wymarzone miejsce do lądowania! Decyzja była sprawą chwili.

Profesor wypuścił z dłoni kilka spadochronów i lotem ślizgowym zaczął zniżać się ku ziemi. O, już znowu trawa zmienia się w nieprzebyty las, a wąski strumyk — w szeroką, burzliwą rzekę.

— Hopla! — krzyknął i wypuścił z ręki dwa spadochrony.

Poniosło go nad wodę. Zwiesiwszy głowę i wypatrując dogodnego do lądowania miejsca, dojrzał nagle Olka i Walerkę.

Fale rzucały nimi, ciągnęły z prądem. Dzieci przewracały się w wodzie.

— Trzymajcie się! — krzyknął do nich profesor na cały głos.

Wypuścił ostatni spadochron i jak kamień runął w spienioną wodną otchłań.

ROZDZIAŁ Ó S M Y

RATOWANIE TONAĄCYCH. DROGA DO SKRZYŃKI. ŻYWE LUFCIKI. PODRÓŻNICY SPOTYKAJĄ STADA MSZYC. SMĘTNE WSPOMNIENIA. NAPAD POWIETRZNEGO ŻÓŁWIA

Silny prąd zbił z nóg. Uczony padał to na jedno kolano, to na drugie, woda ciskała nim, zalewała go z głową, ale on znów się dźwigał i ostrożnie przestępując z kamienia na kamień, posuwał się do przodu.

Olek i Walerka leżeli w jego ramionach jak nieżywi. Oczy mieli zamknięte, ręce zwisały im bezwładnie, nogi wlokły się po wodzie.

— To nic, to nic — szeptał profesor, ciężko dysząc. — Wszystko będzie dobrze! — I mocniej tulił dzieci do siebie.

Nareszcie upragniony brzeg! Profesor położył Olka i Walerkę na ziemi, a sam przykucnął przy nich i zaczął ich rozcierać.

— No, proszę bardzo, tylko bez kawałów! — mamrotał wylęknięty.

Zginał im ręce i nogi, obracał ich twarzą to do dołu, to do góry. Ale jego wysiłki były daremne. Dzieci leżały nieruchomo, z zamkniętymi oczami; bezkrwiste, sine wargi miały mocno zaciśnięte.

— Co teraz z wami pocznę? — nachmurzył się pan Jan. Nagle potarł czoło dłonią i twarz mu się rozpromieniła.

Przypomniał sobie stary, mało już obecnie używany sposób ratowania topielców. Zerwał się szybko, chwycił Walerkę za nogi, uniósł nad ziemię i zaczął potrząsać nią ze wszystkich sił.

Z ust i nosa dziewczynki chlusnęła woda. Walerka cicho jęknęła.

— Jęczysz! — ucieszył się profesor. — To wyśmienicie! Będziesz żyła!

Położył dziewczynkę na ziemi i zabrał się do Olka.

Z ust chłopca także wypłynął potok mętnej wody.

— No, a teraz poleż sobie i ty!

Dzieci, kaszląc i krztusząc się, otworzyły oczy. Patrzyły nic nie rozumiejąc.

Przed nimi stał profesor Jenotow. Żywy, prawdziwy profesor, z krwi i kości. Duży, brodaty, słowem taki, jakim go przyzwyczaili się widywać codziennie.

Z wielkiej radości dzieci nawet nie zauważyły jego cudaczego stroju. Patrzyły mu w twarz, w jego dobre, śmiejące się oczy, na jego potarganą, siwą brodę.

— Pan profesor! — pierwsza krzyknęła Walerka.

Rzuciła mu się na szyję i rozszlochała z radości.

— No, no, daj spokój — z zażenowaniem chrząknął profesor i głaskał ją po głowie. — Po co teraz te płacze?

Walerka rozmasowała piąstką łzy po twarzy i uśmiechnęła się, mówiąc:

— To... to woda tak wychodzi... Ile się jej nawiewało!

— Dużo — przytaknął profesor. — No, a teraz, przyjaciele, powiedzcie mi: kto wam pozwolił myszkować po moim gabinecie?

Dzieci zwiesiły głowy.

— Milczycie! Zapomnieliście języka w gębie!

Dzieci westchnęły zgodnie.

Mokre i nieszczęśliwe stały przed profesorem, nie odważając się spojrzeć mu w oczy. Olek tak nisko spuścił głowę, że dotknął podbródkiem piersi, pokrytej lepkiem błotem. Walerka się odwróciła.

— No, długo mam czekać?

Olek pociągnął nosem, zasapał, Walerka znów ciężko westchnęła.

Profesorowi żal się ich zrobiło, więc przygarnął je do siebie, mocno przytulił i powiedział z uśmiechem:

— Ach, wy zbroje! Pomyśleć tylko, coście narobili!... Ach, wy koziorożce! Przecież ja mało nie oszalałem!

— My niechący... — bąkała Walerka, kręcąc na palcu mokry kosmyk.

Olek spojrział na nią zdziwiony: ale kłamczucha! Jednak nie odezwał się ani słowem.

— No, no, jak tylko wrócić do domu, mama wam pokaże „niechącyBoję się, żeby wam „niechący“ nie dała w skórę.

— Mama nas nigdy nie bije! — odezwał się Olek, podnosząc głowę.

Profesor szarpnął siwego wąsa i powiedział ze smutkiem:

— A ja brałem wnyki, jak byłem mały. I paskiem, i kijem łupili. Dzikie jeszcze były obyczaje... No dobrze, wracajmy do mamy, która was nigdy nie bije. Myślę, że taką mamę warto oglądać kilka razy dziennie. Prawda?

— Ale dokąd mamy wracać?

— Co: dokąd? Oczywiście że do domu!

— Do domu! Do domu! — wesoło zawołała Walerka. Podskoczyła nawet i klasnęła w dłonie.

— Jak daleko jest do domu, panie profesorze? — zapytał chłopiec. — Zajdziemy przez godzinę?

— Przez godzinę? Chyba nie! — Profesor pokręcił głową. — Stąd nawet przez dziesięć godzin nie dojdziemy... Przecież jesteśmy

o jakieś dziesięć kilometrów od domu.

— Oj, to blisko! — zaczęła skakać Walerka. — Taką odległość przebiegniemy pędem. W ciągu jednej godziny!

— Hm... — chrząknął z powątpiewaniem profesor. — Kiedyś, to znaczy jeszcze dziś rano, moglibyśmy oczywiście przebyć dziesięć kilometrów w dwie godziny. To racja! Ale teraz będziemy musieli iść parę miesięcy.

— Co? — zdziwił się Olek.

— Dlaczego? — Walerka szeroko otworzyła oczy.

— Po prostu dlatego, że w ciągu godziny przejdziemy najwyżej metr lub półtora. Zapominacie o tym, że dawniej wasz krok wynosił mniej więcej pół metra, a teraz zaledwie jakąś nędzną część centymetra.

— Jak to? Wciąż jeszcze jesteśmy tacy mali?

Olek szybko rozejrzał się dookoła.

Otaczały go dziwne drzewa z zielonymi, pełnymi zgrubień pniami. Nad brzgiem snuł się jakiś skrzydlaty stwór mniejszy od cielaka, ale dużo większy od barana. W powietrzu, tuż nad ich głowami przemknęło olbrzymie jak autobus, pokryte czarną sierścią stworzenie.

Dzieci spojrzały po sobie zdziwione.

Co to wszystko ma znaczyć? Profesor jest prawdziwy, ale wokół wszystko nadal jest niezwykle, nieprawdziwe...

— No... to jak to jest? — stropił się Olek. — Przecież pan jest prawdziwy, duży... Jaki pan jest, prawdziwy czy nieprawdziwy?

Profesor uśmiechnął się:

— I prawdziwy, i nieprawdziwy. Ale pomyśl sam: przecież dawniej też byłem większy od was, a więc i w tym małym światku

mam prawo być większy. Rozumiesz?

— Rozumiem — niepewnie odparł chłopiec.

Ale profesor widział po jego oczach, że nie wszystko jeszcze jest dla niego zrozumiałe.

— Wyobraź sobie, że ten płyn mojego wynalazku wypiłbyś ty, ja, słoń, koń, mysz i pies. Oczywiście wszyscy zmniejszyliby się o setki razy, ale dla nas, ludzi, słoń byłby po dawnemu wielki, taki, jak go widzimy w ogrodzie zoologicznym, mysz natomiast — no cóż, mysz pozostałaby malusieńka, tylko że o sto razy mniejsza od zwykłej. A wszystkich nas — razem ze słoniem, koniem, psem i myszą — prawdziwy człowiek bez trudu posadziłby sobie na dłoni.

— Rozumiem — skinął głową Olek.

— A ja nie — powiedziała Walerka.

— Czego nie rozumiesz?

— Nie rozumiem, jak pan się dowiedział, gdzie jesteśmy.

— O tym też wam opowiem, ale nie w tej chwili — odparł profesor i poklepał dziewczynkę po ramieniu. — Mamy przed sobą daleką drogę, będziemy szli strasznie długo, zdążymy o wszystkim porozmawiać. Opowiecie mi, coście widzieli i czegoście się dowiedzieli, a ja wam opowiem, jakem was odnalazł. A teraz posłuchajcie, przyjaciele... Możliwe, że w drodze do domu pogubimy się i dlatego każdy z was musi umieć trafić sam... Chodźcie za mną. Zanim ruszymy z powrotem, muszę wam jeszcze coś powiedzieć.

— Ale my nie chcemy się zgubić! — krzyknęła Walerka, chwytając profesora za rękę.

— To świetnie. A jednak, na wszelki wypadek... Przecież różnie może się zdarzyć!

Jenotow chwycił dzieci za ręce i szybkim krokiem ruszył

w stronę pagórka.

Żeby nie zostawać w tyle, dzieci biegły w podskokach.

— Widzicie? — zapytał profesor, wskazując palcem.

W oddali, ponad gęstą dżungłą trawiastego lasu, sterczał w niebo, jak gigantyczny komin, jakiś wielki słup. U góry, w błękitnym powietrzu powiewał olbrzymi, czerwony sztandar.

Słup stał wprawdzie pośrodku lasu, ale można go było widzieć tak dobrze jak samotną sosnę w stepie.

— To jest mój maszt — oznajmił uczony. — Postawiłem go zamiast latarni morskiej.

— Po co?

— Posłuchaj. Gdziekolwiek się znajdziemy, zawsze będziemy mogli dojrzeć tę naszą latarnię. Trzeba tylko wspiąć się na czubek źdźbła trawy i...

— Rozumiemy, rozumiemy! — krzyknęły dzieci.

— No, a reszta jest zupełnie prosta... Na dole koło masztu schowałem niedużą skrzynkę z dykty, szczelnie zabita ze wszystkich stron i zabezpieczoną od deszczu i słońca. A po to, żebyście się mogli do niej dostać, wyciąłem z boku w jednej ze ścianek niewielki otworek.

— Po co mamy tam włożyć?

— Jak dotrzemy do skrzynki, wejdziemy do środka i tam znajdziemy pudełko z białym proszkiem... To jest, moi kochani, proszek powiększający. Wystarczy, żeby każdy z nas zażył garść tego proszku, a znów zamienimy się w dużych, prawdziwych ludzi. Rozumiecie?

— Oj! — jęknęła dziewczynka. — A co będzie, jeżeli ktoś zabierze tę skrzynkę?

Profesor się zafrasował. Jemu samemu już też przychodziła do głowy taka myśl. Ale czy ma się dzielić z dziećmi swoimi obawami? Pogłaskał się po siwej brodzie i powiedział z wielką pewnością siebie:

— Bzdury! Komu potrzebna jest stara skrzynka z dykty? Zresztą, o ile mi wiadomo, w tych okolicach mało spotyka się ludzi. No i... w ogóle dość tej paplaniny, nie będziemy tracić na próżno czasu! W drogę, przyjaciele! Naprzód, marsz! No, głowa do góry! Olku, Walerko! Ruszamy!

— Dokąd teraz idziemy?

— Tam! — profesor wyciągnął rękę. — Kierunek — skrzynka z dykty!

Wysoko unosząc głowę, profesor pomaszzerował w stronę lasu. Dzieci szły za nim, szepcząc coś między sobą z wielkim ożywieniem. Profesora doleciały słowa:

— Powiedz ty!

— Dlaczego ja? Powiedz sama!

— O co chodzi? — zapytał Jenotow, przystanąwszy.

— A jak my teraz będziemy spać, jak będziemy jeść obiad czy śniadanie? — zapytała Walerka.

Jenotow wzruszył ramionami.

— Co za głupstwa! Będziemy spać tak jak spali nasi przodkowie. Na drzewach, w szałasach, w jaskiniach. Doprawdy, to o wiele zabawniejsze niż spanie w dusznym pokoju. Niech wam się zdaje, żeśmy się przenieśli na lotnisko. Zgoda?

— Ale co będziemy jeść?

— Cóż, pożywienia tu mamy w bród. Można jeść obiad, kolację i śniadanie bodaj po dziesięć razy dziennie.

— Ale nas — odparła Walerka — jak chcieliśmy dzisiaj zjeść jagodę, ktoś uderzył i wrzucił do wody.

— Uderzył? — zdziwił się profesor.

— No właśnie.

Walerka opowiedziała, jak chcieli zerwać z drzewa jagodę, ale nie doszli do niej, bo zwalili się w rwący nurt.

— Na pewno nie jedliście tej jagody? — zapytał profesor z niepokojem w głosie.

— Nie! Nie zdążyliśmy!

Profesor odetchnął z ulgą.

— Całe szczęście! To były, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jagody trującego wawrzyńka albo — jak go jeszcze nazywają — wilczego łyka.

— Przecież myśmy ich nie jedli.

— To nic. Aleście się nawąchali jadowitych oparów i dlatego straciliście przytomność.

— Wie pan co? — rezolutnie wtrącił się Olek. — Zgadzamy się nocować byle gdzie, może być nawet na gałęzi, ale...

— Co za „ale“?

Chłopiec przełknął ślinę i ciągnął dalej:

— Ale myśmy od wczoraj nic nie mieli w ustach. I... i my zupełnie nie możemy iść... Chcielibyśmy...

— Słusznie — profesor zaczął się kręcić niespokojnie. — Jak też mogłem nie domyślić się tego od razu? Oczywiście, macie rację, przyjaciele! Zanim ruszymy w drogę, musimy przegryźć, i to porządnie. Chcecie mleka?

— Prawdziwego?

— Nno... Niezupełnie, ale zawsze mleka.

- Proszę! — Olek wyciągnął rękę.
- Tylko dużo — podtrzymała go Walerka.
- No to chodźmy! — rzucił zdecydowanie Jenotow.

Poszedł do przodu, z głową wysoko uniesioną oglądając trawiaste drzewa, jak gdyby tam czegoś szukał. Wreszcie zatrzymał się w cieniu baobabu o tak wielkich liściach, że na każdym z nich mogło pomieścić się z powodzeniem boisko piłki nożnej i jeszcze pozostałoby dość luzu dla publiczności.

— O! — profesor wyciągnął rękę do góry. — Tutaj pasą się stada krów.

— Krowy na drzewie?

— Tak. Mają tu coś w rodzaju pastwisk alpejskich... No, kto wdrapie się pierwszy?

— A czy te... krowy nie gryzą?

— Nie gryzą i nie bodą. Nie mają ani rogów, ani paszcz, moi mili.

Olek z Walerką jednocześnie rzucili się do drzewa. Za nimi ruszył profesor.

Chwyając się miękkich, zielonych gałązek, wdrapywali się, pomagając sobie wzajemnie, i niebawem znaleźli się na samym czubku potężnego drzewa.

Błyszcząc w słońcu, lekko kołysały się lśniące, szerokie liście, przypominające gładkie polanki. Podróżnicy wdrapali się na jeden z liści i poszli po nim, stąpając bosymi nogami po miękkiej, mięsistej powierzchni. Po przejściu paru kroków dzieci zatrzymały się niezdecydowane.

— O co chodzi? — zapytał profesor, przystając także.

Walerka wyciągnęła drżący paluszek i pokazała na liść:

— Co to?

— Tak, co to? — podchwycił Olek, cofając się.

Cała powierzchnia liścia była ruchoma, kurczyła się i rozciągała. Usiana była tysiącami otworów, które niby coś przeżuwały albo też usiłowały chwycić Olka i Walerkę za bose pięty.

— Cóż, czy to was peszy? — zdziwił się profesor.

— A bo to jest liść? — chlipnęła Walerka. — Proszę popatrzeć, co on wyprawia! Chce nam odgryźć nogi. Bardzo się boję takich liści!

— Wstydziłibyście się! Co za głupstwa! Przecież to są najzwyczajniejsze szparki oddechowe. To są lufciki, którymi odbywa się wietrzenie rośliny. To są płuca, którymi liść oddycha!

— A... czy one nas nie mogą złapać za nogę?

— Nie ma mowy! Nie bójcie się, idźcie śmiało za mną.

Profesor pomaszerował wzdłuż żył, które znaczyły zieloną polankę we wszystkich kierunkach. Dzieci ruszyły za nim.

Walerka pierwsza dojrzała krowy.

— Oj, popatrz, Olku! Czy to krowy? Zupełnie niepodobne. A jakie zielone!

Na brzegu liścia-polanki łąziły, przebierając cienkimi, długimi nogami, zielone zwierzęta, podobne do olbrzymich gruszek. Niektóre z nich siedziały z czułkami spuszczoneymi, z ssawką głęboko wbitą w mięsistą powierzchnię liścia.

— Proszę — powiedział profesor — zapoznajcie się. Trawiaste krowy. Nic się nie przejmujcie, że nie są podobne do zwykłych. Za to ich mleko jest nadzwyczajnie smaczne. Wcale nie gorsze niż od prawdziwych krów.

— Jak one się nazywają? — zainteresowała się Walerka.

— Naprawdę jeszcze się nie domyśliła? Przecież to mszyce. Najzwyczajniejszy w świecie owad. Jeżeli kiedyś czytałaś o mrówkach, to musiałaś także poznać mszyce.

— Aha, pamiętam — ucieszył się Olek. — Mrówki je hodują.

— O właśnie, masz rację, Olku — potwierdził profesor. — Często zdarza się, że mrówki przenoszą mszyce do siebie, karmią je, pielęgnują.

— Zupełnie jak na fermie mlecznej!

— No tak, prawie... Mrówki doją je, odżywiają się mlekiem mszyc i... uważajcie! Nie wchodźcie w mleko!

Jenotow zatrzymał się przed kałużą gęstego płynu.

— Myślę, że nie warto doić zielonych krów. Tu są rzeki mlekiem płynące. Częstujcie się, przyjaciele!

Wyciągnął się na brzuchu, zanurzył wargi w zielonym mleku mszyc i, maczając w nim brodę, wypił parę łyków.

— Bardzo smaczne! Proszę, uraczcie się także!

Dzieci poszły za jego przykładem i chciwie rzuciły się na słodkie, gęste mleko.

— No, jak? — zapytał profesor. — Smakujcie wam?

— Lepsze od prawdziwego — stwierdził Olek, wycierając z zadowoloną miną usta.

Walerka emoktała nie podnosząc głowy.

Wreszcie wszyscy nasycili głód. Dzieci odpełzły nieco dalej od mlecznej kałuży i wyciągnęły się na liściu jak na plaży. Dziewczynka głaskała się po brzuchu. Chłopiec szeroko rozrzucił ręce i nogi.

— Jak przyjemnie! — powiedział.

— Jeżeli nie jesteście już głodni, to chodźmy! Nie mamy ani

jednej minuty do stracenia.

— Jeszcze nie! — zaoponowała Walerka. — Najpierw musimy troszeczkę odsapnąć.

— Bodaj pół godzinki! — podtrzymał siostrę Olek.

Nogi były ociężałe, ramiona spoczywające na mięsistym liściu zdawały się ołowiane. Nie chciało się nigdzie ruszać.

— No, dobrze — zgodził się Jenotow. — Jak odpoczynek, to odpoczynek. — I wyciągnął się obok dzieci.

Po wszystkich dzisiejszych tarapatach i on nie miał nic przeciwko temu, żeby troszeczkę poleżeć i z pół godzinki odpocząć. Ziewnął serdecznie, założył ręce pod głowę i przymknął klejące się powieki.

Przez pewien czas nasi podróżnicy leżeli w milczeniu, mrużąc oczy od jaskrawego słońca i przewracając się z jednego boku na drugi. Nad głowami szumiał wiatr i liść bujał się jak hamak.

— Co za rozkosz! — mruknął profesor.

Coś tam jeszcze bąknął, potem położył głowę na liściu i zaczął delikatnie pochrapywać, lekko pogwizdując przez nos.

— Zasnął — szepnęła Walerka.

— Niech śpi! My też sobie odpoczniemy!

Dziewczynka przez chwilę nie odpowiadała. Nagle westchnęła.

— Mama teraz na pewno płacze!

— Wiadomo — Olek zmarszczył brwi.

Walerka westchnęła jeszcze ciężiej, jak gdyby sama też miała ochotę się rozplakać, ale w tej samej chwili w powietrzu coś zahuczało i z hałasem uderzyło w liść, aż zadrżał.

— Co to? — pisnęła dziewczynka.

Profesor uchylił ociężałe powieki.

Po liściu łąził wielki żółw, niewiele mniejszy od czołgu. Plecy żółwia lśniły czerwonym lakierem. Czarne plamy odbijały blask jak japońskie lakowe talerze.

Profesor ziewnął, zamknął oczy i beztrąsko zachrapał ponownie.

Dzieci z trwogą patrzyły na czerwonego potwora, który lekko, zupełnie nie po żółwiemu, sunął prosto na nie.

Przytuliły się do siebie mocno.

Czerwony żółw podbiegł do nich, popatrzył z góry, jakby z dachu szopy, i groźnie poruszył czułkami.

Olek i Walerka skoczyli na równe nogi i zaczęli uciekać z piskiem i krzykiem.

Jak strzała przebiegli obok zielonych krów, które pasły się najspokojniej w świecie na łączce z liścia, i znaleźli się na samej jego krawędzi.

Dalej nie było dokąd uciekać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

CIĘŻKA PRZEPRAWA. KAWIARNIA Z BUFETEM W TRAWIASTEJ DŻUNGLI. SZTURM DO LEŚNEJ TWIERDZY. WALKA Z MRÓWKAMI. FOD GRZYBEM. POWÓDŹ

Olek i Walerka stali na brzegu liścia.

W dole, pod nogami, kołysały się wierzchołki drzew. Poprzez listowie prześwitywała odległa ziemia.

Skakać? Z takiej wysokości?

Walerka kurczowo ścisnęła rękę brata.

Czerwony żółw podpełzł całkiem bliźniutko. Jeszcze chwila, a rzuci się na dzieci, zwali je z nóg, schwyta i pożre.

— Nie bójcie się! Nie bójcie się! — rozległ się nagle głos profesora. — Przecież to jest zwyczajna boża krówka! Ona was nie ruszy. Wracajcie!

— Nie ruszy — szepnęła Walerka, chowając się za plecy brata.

Nie spuszczać oka z gigantycznego żółwia, Olek odsunął się od niego jak najdalej.

— No, odwagi! — zachęcał uczony.

Dzieci ostro zawróciły i pomknęły co sił w nogach, wpadając na zielone krowy.

Przybiegły bez tchu i z rozpędu klapnęły na liściu, chowając się przezornie za plecami profesora.

— Przecież ona jest nieszkodliwa — uspokajał ich Jenotow. — Nie trzeba się jej bać!

— Nieszkodliwa, ale straszna — ciężko dyszała Walerka.

— O, proszę zobaczyć, co robi ta „nieszkodliwa”! — krzyknął chłopiec.

Biedronka podkraśla się pod stado zielonych krów, zatrzymała się i nagle jak lew uderzeniem łapy obaliła jedną z nich, zagarnęła ją pod siebie, przydusiła całym ciałem i wpiła się w nią. W oka mgnieniu z krowy została jedynie zielona skórka.

Nie tracąc czasu biedronka wzięła się do pozostałych mszyc. Zagarniała je pod siebie, gryzła jak pestki i z obrzydzeniem odrzucała skórki.

Nim się dzieci opamiętały, na liściu nie zostało już ani jednej mszycy.

Pożarliży je biedronka pogładziła wielką łapą czułki, otrzepała z nóg skórki, które się do nich przyklepiły, i poszła na brzeg liścia.

Tutaj uniosła swój pancierz i wypuściła spod niego kremowy tren. Pancierz z lekkim trzaskiem rozpadł się na dwa ciężkie skrzydła, przypominające koryta. Twardo szeleszcząc, rozwinęły się jeszcze dwa skrzydła, tym razem delikatne, przezroczyste. Zakręciły się, zafurkotały jak śmigła. Po twarzach podróżników przeleciał podmuch wiatru. Boża krówka powolutku oderwała się od liścia i popłynęła w powietrzu, ginąc nad lasem.

— Masz tobie bożą krówkę — odezwała się Walerka. — Wrąbała wszystkie mszyce i odleciała.

— To i dobrze — pochwalił profesor. — Tak właśnie trzeba. To nawet bardzo dobrze.

— Dobrze?

— Oczywiście... Mszyce trzeba niszczyć wszelkimi sposobami. Ale chyba najskuteczniejszym środkiem do walki z mszycami jest biedronka... W Ameryce zbiera się boże krówki workami, a wiosną wpuszcza się je do ogrodów, gdzie się zalęgły mszyce. Ci, co polują na biedronki, mają nawet specjalne mapy, na których oznaczone są miejsca, gdzie zimują te pożyteczne owady. Tam też je zbierają.

— Dlaczego trzeba niszczyć mszyce? — zapytała Walerka. — Dają przecież takie wspaniałe mleko.

— Tak, mleko jest wyborne — zgodził się profesor — ale sama mszyca jest owadem bardzo szkodliwym, a w dodatku chyba najbardziej płodnym na świecie. Gdyby tego szkodnika nie niszczyły boże krówki, to my, ludzie, mielibyśmy wielkie trudności.

— W jaki sposób one szkodzą?

— Atakują kwiaty, liście drzew owocowych i liście warzyw.

Jednym słowem, w lecie prawie nie sposób spotkać rośliny, na której by nie było mszyc.

— A co one robią?

— Mszyca wysysa z rośliny soki. Ale to by jeszcze było pół biedy. Najgorsze jest co innego. Swoim zielonym mlekiem, które wam tak smakowało, mszyca zalepia szparki oddechowe liścia, nie daje mu oddychać ani rosnąć. Oczywiście liść ginie. A jeżeli giną liście — nie należy się spodziewać ani owoców, ani warzyw. No, ale dosyć tego gadania. Odpoczęliśmy i w drogę, czas najwyższy! Naprzód, przyjaciele!

Przed zejściem z drzewa, Jenotow odszukał na horyzoncie daleką latarnię morską. Na zachodzie, nad trawiastą dżunglą, powie-

wał na wietrze czerwony sztandar.

— Teraz — mruknął uczony, złącząc na dół — nasza droga prowadzi na zachód. Musimy utrzymywać kierunek według słońca.

Zeskoczył na ziemię.

— Jazda! — krzyknął i krocząc przez polankę, zawył jak wiatr w kominie:

Naprzód marsz, już trębacz dmie

I do boju wzywa,

Wyżej głowy, nie bać się!

Kto mężny — wygrywa!

Walerka skrzywiła się i zatkała uszy.

Olek machnął ręką: niech śpiewa. Każdy człowiek musi mieć jakieś wady.

Podróżnicy szli przez las.

Wysokie drzewa, pozbawione sęków i gałązek, sterczały jak olbrzymie maszty radiowe.

Promienie słoneczne kładły się złotymi smugami na ziemię, która stała się podobna do pasiastego, żółtego pledu.

Podróżnicy to wspinali się na strome, prawie prostopadłe wzniesienia, to staczali się w dół, wbijając gęste tumany kurzu.

Musieli pokonywać przeszkody w postaci głębokich parowów i wysokich wzgórz. Las ginął na dnie urwisk, piął się na szczyty wzniesień. Teren był cały poorany, poryty. Podróżnicy mieli i nogi podrapane, skórę w wielu miejscach pozdieraną do Walerka nabiła sobie wielkiego guza na czole, Olek stłukł nos a przez całą pierś ciągnęła mu się czerwona pręga.

Dzieci głośno dyszały, ale dotrzymywały profesorowo kroku.

Słońce boleśnie prażyło w ramiona i ręce. Jenotow co chwila

ocierał mokrą od potu twarz. Walerka była purpurowa, jakby ją kto wrzątkiem oblał.

— Prawdziwa Afryka! — nieśmiało zażartował Olek. — Jeszcze jeden taki dzień, a zaczniemy obłazić ze skóry. Będziemy w paski, jak zebry.

Reszta towarzystwa milczała. Szli, zwilżając językiem spieczone wargi i co rusz rozglądając się na boki — czy przypadkiem nie błysnie gdzieś staw albo jakaś rzeczulka.

Ale wody nie było ani śladu.

— Gdybyście wiedzieli, jak mi się chce pić! — jęknęła wreszcie dziewczynka.

— Co mamy nie wiedzieć? — wychrypiął Olek. — kinie samemu jakby kto pieprzu do ust nasypał.

— No, nie zwieszać nosów na kwintę — starał się dodać im otuchy profesor. — Gdzieś niedaleko musi być woda.

Walerka niebawem zupełnie opadła z sił.

— Odpocznijmy! — błagała co parę minut.

Podróżnicy zatrzymywali się, żeby odpocząć, ale siedzenie na rozprażonej ziemi było jeszcze gorsze niż chodzenie. Po minucie zrywali się i szli dalej.

— T-tak... — mruczał profesor — podróżujemy jak przez pustynię.

Walerka ślaniała się na nogach.

— Pić! Pić! — zaczęła pochlipywać.

Olek kroczył jak we śnie, potykając się i wpadając na drzewa. Nagle w prześwicie lasu mignął pas błękitu.

— Woda! — krzyknęła Walerka i wyrwała się pierwsza. Profesor i Olek też zapomnieli o zmęczeniu. Na wyścigi po-

biegli za dziewczynką.

Las rozstał się przed nimi. Wśród zielonych zarośli zwisały wielkie, błękitne kwiaty, ale wody — ani kropelki.

Walerka padła na ziemię i zaczęła jęczeć:

— Już nie mogę...

— Zaraz, zaraz — bąkał profesor.

Chwył ją pod rękę.

— Musimy iść! Chodźmy, Olku!

Zimna, orzeźwiająca woda zwidy wała im się na każdym kroku, łudziła ich to gdzieś przed nimi, to z prawej strony, to znów z lewej.

Zmordowani, dobywając ostatka sił, biegli ku niej, ale za każdym razem trafiali tylko na błękitne kwiaty.

— Pić! Pić! — chrypiała Walerka.

— Pić! — szepnął spieczonymi wargami Olek.

Jenotow zachwiał się i upadł twarzą do ziemi. Dzieci zwały się obok niego.

Tak leżeli, dusząc się od upału i pragnienia.

Obok nich różne potwory trawiastej dżungli kręciły się tam i z powrotem, jak na skrzyżowaniu głównych arterii miasta. Ale nasi podróżnicy nie zwracali już na nich najmniejszej uwagi. Jedna gąsienica przeszła nawet tak blisko, że nadepnęła Walercę na rękę, ale dziewczynka ani drgnęła.

— Piiić!

— Piiić!

Profesor wstał, słaniając się. Trzeba było iść dalej. Ale dokąd? W której stronie można znaleźć choć odrobinę wody?

Oparł się o pień drzewa, głowa opadła mu na piersi. Wodził do-

okoła mętnym wzrokiem. Nagle, tuż przy nim, poruszył się jakiś pagórek. Kamienie z hałasem stoczyły się po jego pochyłości, szczyt rozpękał się na dwie części. W powietrzu mignęły długie czułki, spod ziemi ukazała się ogromna głowa, a potem wypełzło ciemne ciało z żółtym obramowaniem na brzegach.

— Jesteśmy uratowani! — zawołał profesor.

Dzieci uniosły głowy.

— Wstawajcie! Jest woda!

Goniąc resztkami sił, Olek i Walerka dźwignęli się na nogi.

— Proszę... choć kropelkę!

— Za minutę będziemy mieli całą rzekę. Zaprowadzi nas do niej jeden mój dobry znajomy.

Uczony wskazał ręką tam, gdzie stał potwór z żółtym obramowaniem, otrzepując się z pyłu i brudu. Był on podobny do chrząszcza, ale wydawał się wielki jak lokomotywa.

— Co to? — szepnęła Olek.

— Przecież to najzwyklejszy pływak żółtobrządek! — wyjaśnił pan Jan takim tonem, jak gdyby mówił o którymś ze swoich starych znajomych. — Bardzo udane spotkanie! On nas właśnie zaprowadzi do wody. Tylko trzymajmy się naszego przewodnika!

Stary znajomy profesora poruszył czułkami z taką powagą, jak gdyby zrozumiał, że mowa jest o nim, i skręciwszy na prawo, poszedł bez wahania, zgarniając pod siebie trawiaste drzewa.

Wszystkim od razu poprawiły się humory.

— Po co on siedzi pod ziemią? A może tam jest podziemna rzeczka? — zapytał Olek.

Profesor zaczął z takim zapałem opowiadać dzieciom o życiu i obyczajach tego nadzwyczajnego owada, że zapomniał o wszyst-

kim na świecie i nie zwracał już najmniejszej uwagi ani na okropny upał, ani na fatalną drogę, którą ledwie leźli Olek i Walerka, co chwila potykając się i wpadając do dołów.

Dzieci nieuważnie słuchały i tylko przy słowach „woda, wodne, nadwodne“ wzdychały ze smutkiem i przyśpieszały kroku.

Profesor jak gdyby niczego nie zauważał i ciągnął dalej:

— Rozmnażają się te zdumiewające owady za pomocą jajek, które składają na roślinach wodnych. Po miesiącu wykluwa się z jajka larwa, z wyglądu bardzo podobna do gąsienicy, ale z upodobań — do tygrysa. Te śmiałe i żarłoczne larwy napadają prawie na wszystkich mieszkańców wód, nawet na ryby, tysiąc razy większe od siebie. Kiedy larwa podrośnie, wypęła z wody na brzeg, znajduje wygodne, spokojne miejsce i wkopuje się głęboko w ziemię. Tutaj zamienia się w poczwarkę, a potem w dużego, prawdziwego chrząszcza. Pływak wychodzi z ziemi — jak to widzieliście przed chwilą — i udaje się na rozbój do swego rodzimego żywiołu — do wody.

— Ale skąd on wie, gdzie się znajduje woda? — zapytała Walerka, oblizując zeschnięte wargi.

— A w jaki sposób ptaki wiedzą, w której stronie jest południe, kiedy odlatują na zimę do ciepłych krajów?

Profesor mówił nie milknąc ani na chwilę. Wiedział, że rozmowa skraca drogę.

— Ten chrząszcz to chyba najbardziej niezwykle stworzenie na kuli ziemskiej. Można go spotkać w każdym zbiorniku wody. Jak go zobaczycie, przypatrzcie mu się dokładnie! Zapamiętajcie, moi mili, że pływa po wodzie jak ślizgacz, nurkuje jak kaczka, może przebywać na dnie stawu dłużej niż zawodowy nurek, pod

wodą wędruje nie gorzej od łodzi podwodnej, lata w powietrzu jak samolot, a po ziemi chodzi jak człowiek. Nieczęsto spotyka się takie stworzenie. Kiedyś ja...

— Woda! — przerwał mu okrzyk Walerki.

Nie słuchając już dłużej uczonych wywodów, dzieci ruszyły biegiem.

Wśród zielonych zarośli leżało nieruchomo błękitne zwierciadło wody.

Pływak-żółtobrzezek podszedł do urwiska, buchnął do wody i zniknął. Po gładkiej powierzchni pobiegły coraz szersze kręgi.

— Woda!

— Woda!

Na brzegu stawu stały drzewa o dużych błękitnych kwiatach. Ciemne liście rzucały na ziemię gęsty, chłodny cień. Olek, nie zatrzymując się wcale, zbiegł z pagórka, podskoczył i wyciągnąwszy ramiona, chlupnął do wody jak chrząszcz.

Chwytał wodę wargami, pluskał, bryzgał i śmiał się jak szalony na cały głos.

Zmęczenie jak ręką odjął.

— Prędej! — krzyczał chłopiec. — Prędej do mnie, póki nie wypilem całej wody!

Potyając się, przykuśtykali do brzegu Jenotow z Walerką. Skoczyli, wzbijając chmurę bryzgów, i nie tracąc ani chwili zaczęli gasić pragnienie, przypadając do wody popękkanymi wargami.

— Och, jak dobrze! — Walerka uniosła głowę.

Miała mokry nos, po policzkach i podbródki spływały krople wody.

— Do kąpieli! Do kąpieli! — zawołał profesor, wyzymając

mokrą brodę.

Kiedy już naużywali się, ile wlażło, wyszli z wody, obeschli trochę na słońcu, a potem zaszyli się w gąszczu trawiastego lasu i wyciągnęli w chłodnym cieniu, pod drzewami o błękitnych kwiatach.

Leżeli tak bez ruchu, w milczeniu, oglądając pomiędzy liśćmi i kwiatami błękitne niebo, leniwie wsłuchując się w szum dżungli.

Nagle profesor wstał, poprawił na sobie kostium, podszedł do drzewa i oburącz uczepił się zielonej gałązki.

— Dokąd pan idzie? — złękły się dzieci.

— Leżcie spokojnie. Ja zaraz...

I wdrapał się na drzewo.

Dzieci spojrzały po sobie.

— Chodźmy też — zaproponowała Walerka.

— Włazimy!

Podbiegli do drzewa, ale nie zdążyli jeszcze uchwycić się dolnych gałęzi, kiedy w górze coś zatrzeszczało, jak gdyby ktoś tam rozdzierał mocne płótno.

— Dzieci, łapcie!

Olek i Walerka nadstawili ręce.

W powietrzu mignęło coś niebieskiego.

Kołysząc się i leniwie opadając prosto na głowy dzieci, opuściło się duże, błękitnawe prześcieradło.

— Co to jest? — krzyknął Olek.

— Płatek niezapominajki! — odpowiedział z góry profesor.

— Po co?

— Jak to: po co? Z płatków zmajstrujemy sobie ubranie, zrobimy parasolki. Nie wiem, jak wy, ale ja mam całe plecy w pę-

cherzach. Poparzyłem się na słońcu!

Profesor zrzucił jeszcze parę płatków. Dzieci pozbierały je i złożyły w jedno miejsce.

Walerka narzuciła sobie jeden płatek na głowę. Był długi i szeroki. Osunąwszy się z ramion, okrył jej rozpalone plecy jak gumowa peleryna.

— No, jak? — zapytał Jenotow zeskakując z drzewa.

— Bardzo duży! — odparła Walerka.

Profesor wziął jeden płatek, poobracał go w rękach, złożył na połowę, potem jeszcze raz i odgryzł zębami róg.

— Ale mocny! — powiedział, ostrożnie rozwijając płatek.

Pośrodku widniał nierówny otwór z poszarpanymi brzegami.

— Wsuń no tu głowę — zaproponował Walerce.

Na spalonych słońcem ramionach dziewczynki legła miękka, chłodna chusta. Płatek zakrywał ciało od ramion po kolana.

— Nieźle — pochwalił Olek. — Coś w rodzaju płaszcza-namiotu.

— Nie płaszcza-namiotu — poprawił go profesor — tylko kwiatowego płaszcza. — I podał Olkowi taki sam płatek.

— No, zrób się i ty na eleganta. Te płaszcze uchronią nas w dzień od przypieczenia się na słońcu, nocą zaś od chłodu.

Całe towarzystwo przypominało teraz wędrowny cyrk. Profesor i dzieci, wystrojeni w błękitne płaszcze, szli gęsiego.

W rękach nieśli długie kije, na których lekko kołysały się strzępki niezapominajek.

Błękitne parasolki, osłaniając twarz, wspaniale chroniły przed palącymi promieniami słońca. Profesor szedł, pogwizdując melodię marsza. Olek i Walerka podśpiewywali półgłosem.

Niebawem las zaczął rzednąć. Podróżnicy wyszli na słoneczną polanę.

Nad ich głowami z wyciem śmigały wielkie jak krowy owady. Błyskając przejrzystymi skrzydłami, szybowały tak nisko, że Olek z Walerką co chwila kucali albo zatrzymywali się przerażeni.

— Nie ma co się bać owadów — uśmiechnął się uczony. — Zapamiętajcie sobie raz na zawsze: każdy z nich ma swoje stałe nawyki w zakresie odżywiania się. Na przykład ważki żywią się muchami i motylami, pszczoły — sokiem z kwiatów. Wiele fruujących owadów w ogóle niczym się nie odżywia. Przychodzą na świat tylko po to, żeby złożyć jajka, a potem zginąć. Niektóre nie mają nawet otworów pyszczkowych. Widzicie więc, że tu jest tak samo bezpiecznie jak na ulicy każdego miasta. Jestem pewien, że żadnemu z owadów nie przyjdzie do głowy nas złasować...

Profesor nie dokończył przemówienia. Niespodziewanie złapał Olka i Walerkę za ręce i szarpnął z całej siły do siebie. Dzieci upadły na ziemię. Profesor rozciągnął się jak długi obok nich.

— Tsss! — zasyczał.

W tej samej chwili nad ich głowami coś zaświstało i z wielkim hałasem wpadło w gąszcz leśny.

Podróżnicy śpiesznie nakryli się parasolkami.

— Co to?

Profesor ostrożnie wyrzwał spod parasola.

Nie opodał, za ciemnym pagórkiem, nad wierzchołkami drzew błyskał w słońcu czyjś lśniący, zielony grzbiet. To unosił się, to opadał, wreszcie stworzenie odpełzło na bok, podskoczyło i otworzywszy z trzaskiem skrzydła — zniknęło.

— Zielony pasikonik! — oznajmił profesor, wstając i otrzepu-

jąc się.

Olek leciutko szturchnął siostrę w bok.

— A czy pasikoniki to ludożercy? — zapytał.

— Widzisz — bąknął zawstydzony Jenotow — pasikonik jest drapieżnym owadem. Skąd mogę wiedzieć, co mu strzeli do głowy? Ostrożność jeszcze nikomu nie zaszkodziła, moi drodzy.

Wolniutko ruszyli w dalszą drogę.

Szli, przeprowiając się w bród przez rzeczki, przepływając przez nieduże stawy, przedzierając się przez trawiaste dzungle. Uczony wskazywał na poszczególne drzewa i opowiadał dzieciom ciekawe rzeczy o różnych roślinach. Wydawało się, że nie ma ani jednej trawki, ani jednego kwiatka, które by rosły ot tak sobie, bez pożytku dla człowieka.

Nagle Walerka chwyciła profesora za rękę.

— Niech pan spojrzy! Co tam jest?

Wszyscy zatrzymali się przed gęstymi zaroślami.

— Gdzie? Co znów zobaczyłaś?

— O tam! Czatują!

— Nic nie widzę — profesor zasępił się wyraźnie.

Osłonił dłonią oczy, wyciągnął szyję, stanął na czubkach palców i z uwagą wpatrywał się w gęste zarośla.

— Ja też! Ja też widzę — oznajmił Olek. — Są okrągłe i ruszają się.

— Gdzie to widzicie? — na dobre zaniepokoił się Jenotow.

Postąpił krok naprzód i nagle roześmiał się donośnie.

— Bzdura! Sami będziecie się śmiać, jak podejdziemy bliżej do tych leśnych potworów. Chodźmy!

102

Stąpając szeroko, ruszył ku legowisku strasznych stworzeń. Dzieci za nim.

Im byli bliżej, tym wyraźniej można było zobaczyć jakieś bure kule, zwisające z drzew. Z daleka podobne były do piłek futbolowych, ale z bliska okazało się, że są nie mniejsze od balonów powietrznych. Ścianki tych balonów były zbudowane z belek i brył ziemi.

— Zgadnijcie, co to jest? — zapytał profesor, zatrzymując się nie opodal.

— O! — krzyknęła Walerka. — Okrągłe domy! Patrzcie, ilu tu lokatorów! To jest leśny hotel „Schronisko Owada”.

— Albo leśna restauracja „Tajemnica Okrągłego Domu” — dodał Olek.

Po grubych, wypukłych ścianach pełzały żółte, sześcionożne stworzenia. Zderzały się u ciemnych wylotów i leniwie lały w różne strony, potem znów wpadały na siebie, obmacywały się nawzajem czułkami i zabawnie kuśtykając, chowały w ciemnych korytarzach okrągłego domu.

— Przecież to mszyce! — zawołał nagle Olek. — Tylko dlaczego takie żółte?

— To bardzo proste — wyjaśnił profesor. — Ten rodzaj mszyc przystosował się do koloru mieszkania... Na północy wszystkie ptaki i zwierzęta są białe, pod kolor śniegu, natomiast na południu ubarwienie zwierząt jest pstre, podobne w odcieniach do lasów i pól. Nie wiedziałeś o tym?

— To pewnie po to, żeby się lepiej chronić — powiedział Olek.

Profesor skinął głową. Potem dodał:

— Po to, żeby się lepiej chronić, i po to, żeby się lepiej podkraść do swojej ofiary. Cętkowana skóra żyrafy pomaga jej się kryć, a pręgowana skóra tygrysa pozwala mu skradać się niepostrzeżenie do zdobyczy.

Jenotow podszedł do burego, okrągłego domu, obejrzał go ze wszystkich stron i nawet postukał w ścianę kijkiem od parasola.

— Wspaniała robota! Nadzwyczajna! Rzetelna! — pochwalił. — Brawo, mrówki!

— Mrówki? To one zbudowały ten dom?

— Oczywiście.

— No to dlaczego mieszkają w nim mszyce?

— Bo przecież to są mleczne farmy mrówek! — Profesor machnął błękitnym parasolem i dodał: — Tak samo, jak człowiek hoduje krowy, mrówki hodują mszyce. I nie tylko hodują, ale ochraniają je przed wrogiem. A po to, żeby sześcionożne krowy nie zostały splukane przez deszcz, mrówki budują dla nich te oto domy-farmy.

— W jaki sposób mrówki zabierają stąd mleko?

— A po co miałyby zabierać? Po prostu przychodzą i piją na miejscu.

Olek wybuchnął śmiechem.

— W takim razie to nie jest farma, lecz kawiarnia z bufetem.

— Niektóre gatunki mrówek — ciągnął dalej profesor — przy-pędzają na zimę mszyce do mrowiska i przez całą zimę, nie wysuwając nosa na zewnątrz, żywią się świeżym mlekiem.

— Sprytnie! — Olek aż gwizdnął z podziwu. — Ale czytałem, że mrówki na zimę zasypiają i nic nie jedzą.

— Zgadza się! Ale nie wszystkie. W niektórych mrowiskach

pewna ilość mrówek stale czuwa. Te właśnie odżywiają się mlekiem mszyc.

— To białe mrówki z pewnością odżywiają się w zimie — wtrąciła dziewczynka. — Ja też czytałam. Są w Afryce i nazywają się termity.

— Wszystko ci się poplątało, Walerciu. Białych mrówek nie ma. A termity wcale nie są mrówkami, chociaż ich budowle bardzo są podobne do mrówczanych. Termity są bardziej zbliżone do pasikoników niż do mrówek.

— I nie ma białych?

— Nie! Są czarne, rude, czerwone, krwiste, żółte. Wśród mrówek są rzeźbiarze, górnicy, kamieniarze, hodowcy bydła, ogrodnicy, mrówki miodonośne, parasolowe, mrówki-samotnice. Zresztą, nie sposób wszystkich wyliczyć.

Tak rozprawiając o mrówkach, podróżnicy wyszli na brzeg urwiska, które stromo schodziło w dół, w zieloną dolinę otoczoną niezbyt wysokimi górami.

Nad wzgórkami płynęły lekkie obłoki. Szczyty zalane były pomarańczowym światłem zachodu.



piramidy egipskie!

— Patrzcie — krzyknęła Walerka —
Spójrzcie tylko!

Pośrodku doliny wznosił się okrągły kopiec, zbudowany z ciemnych bali, przysypanych ziemią. Piramidę okrążały wiszące galerie i schodziły spiralami w dół.

— Mrówki — stwierdził uczony. — Czarne mrówki. Właścicielki mlecznych farm, obok których dopiero cośmy przechodzili.

Wysmukłe jak charty mrówki uwijały się wokół mrowiska. Snuły się tam i z powrotem, biegały, popychając się, po wiszących galeriach, zbijały się z nóg, podnosiły i biegły dalej. Wydawało się, że są czymś nastraszone. Spiesznie chwytają wielkie kokony i ciągnęły je w głąb ciemnych korytarzy. I zdawało się, że długie białe kokony płyną nad głowami czarnych mrówek.

— Po co one chowają te jajka? — zapytała Walerka.

Profesor wzruszył ramionami, ale spojrzawszy na niebo, odparł:

— Należy przypuszczać, że będzie deszcz, zazwyczaj przed deszczem mrówki chowają kokony albo, jak ty to nazywasz, jajka i zatykają wszystkie wejścia i wyjścia... Ale nie będziemy marnować czasu na próżno: korzystając z tego, że mrówki zajęte są swoimi sprawami, spróbujemy przedostać się przez dolinę. My też, przyjaciele, musimy wyszukać sobie jakiś zaciszny kącik, gdzie schrońmy się przed deszczem.

Zaczęli schodzić na polankę. Ale nie zdążyli zrobić kilku kroków, kiedy rozległ się jakiś głuchy, wciąż narastający szum. Profesor przystanął:

— Czyżby już zaczęło padać?

Spojrzał na niebo. Było ciemne, a na skraju gromadziły się

ciężkie, burzowe chmury. Trawiasta dżungla stała nieruchomo, jakby zaczajona. Ale deszcz jeszcze nie padał.

— Co to może szumieć?

Podróżnicy wzmogli czujność. Dzieci rzuciły niespokojne spojrzenia na profesora, który uważnie wsłuchiwał się w narastający szum, gładząc się po siwej brodzie.

— Dziwne... Bardzo dziwne! — mruknął wreszcie. — Nie podoba mi się ten hałas, moi mili.

Na wszelki wypadek schowali się za drzewo.

— Mam wrażenie, że tutaj ktoś cwałuje — odezwał się chłopiec, ostrożnie wychylając się zza grubego pnia.

Szum narastał. Teraz można było już rozróżnić tupot szybkich nóg. Zdało się, że prosto na podróżników pędzi stado spłoszonych krów.

Wierzchołki gór zadymiły, pokrył je tuman kurzu.

— Widzę! — krzyknęła Walerka. — O, tu! Patrzcie, idą! Oj, jak ich dużo!

Na sfalowanych wzgórzach ukazały się ciemne punkty.

Najpierw rozsypały się wzdłuż łańcucha górskiego, potem na chwilę się zatrzymały i nagle potoczyły w dół po pochyłości.

Zbocza od razu pociemniały. Niezliczone hordy jakichś stworzeń runęły w dół jak lawa i niebawem cała dolina zaczęła się ruszać jak żywa. A z tyłu, zza gór, wciąż nadciągały nowe i nowe kolumny.

— Czerwone mrówki — zorientował się profesor.

Nie omylił się. Były to olbrzymie czerwone mrówki, dwa razy większe od czarnych. Ich silne ciała połyskiwały odcieniem miedzi. A jaki miały wojowniczy, rozjuszony wygląd!

Nie zatrzymując się wcale, nowi przybysze przypuścili szturm na mrowisko czarnych. Czepiali się poprzeczek chwytliwymi łapkami i niebawem żywy potok zalał wszystkie galerie.

Na spotkanie groźnych napastników wybiegli gospodarze mrowiska. Na galeriach wywiązała się zjadła walka.

Czerwone mrówki, jak sfera zgłodniałych psów, rozrywały spokojnych hodowców bydła, zabijały ich i zrzucały z galerii. Atakowały mrowisko ze wszystkich stron.

Hodowcy bronili się rozpaczliwie. Padali setkami, mężnie broniąc każdego wejścia do swego domu. Ale siły były nierówne.

Po zniekształconych trupach czarnych mrówek krok za krokiem postępowaly czerwone, aż wreszcie, zwyciężywszy małych obrońców, hurmem wdarły się do mrowiska.

Na galeriach leżały pokotem martwe czarne mrówki.

W dole, u podnóża kopca, małe gromadki czarnych walczyły jeszcze zaciekle z czerwonymi. Ale bój dobiegał końca.

Czerwone odniosły zwycięstwo i zabrały się do płądrowania mrowiska.

Rabusie wyciągali z tuneli białe kokony i szybko schodzili galeryjkami na dół, gdzie skupili się w bezładny, wzburzony tłum. Podobni byli do bandytów, którzy — ogołociwszy dom — wynosili w tobołkach nagrabiony dobytek.

— Dlaczego one się nie rozdzieliły na kilka grup? — zdziwił się Olek.

— Nie widzisz? — szeptem odparł profesor. — Przecież czerwone zabrały czarnym kokony, ich dzieci. Teraz zataszczą te kokony do swego mrowiska, a kiedy wyhodują mrówki — zrobią z nich swoje niewolnice.

— Coo? — Olek aż podskoczył, jakby jego samego coś ugryzło. — To czego sterczymy tyle czasu z założonymi rękami? Tutaj bandyci rabują na całego, a my siedzimy i bezczynnie się przyglądamy!

Złapał kamień, zamachnął się i puścił go z całej siły w tłum zbójców, wyciągających z mrowiska białe kokony.

— Dalej na nich! Walerka! Czego się gapisz? Nie widzisz, czy co? Ach, podłe zbiry!

Grudki ziemi i kamienie poleciały w kierunku czerwonych mrówek.

Zapominając o niebezpieczeństwie, dzieci wyskoczyły zza drzew.

— Ognia! — zawołał głośno Olek.

Dwa kamienie ze świstem wpadły w tłum rozbójników.

Wystraszony profesor chwycił dzieci za ręce.

— Stójcie, wariaty! Co robicie? Chcecie, żeby mrówki rzuciły się na nas?

— A niech się rzucają! — Walerka groźnie zmarszczyła brew. — Niech się rzucają, my im pokażemy, co to znaczy wykraść cudze dzieci!

— Nie damy im rady — mitygował ich profesor.

— Zobaczmy jeszcze kto komu! — wojowniczo odparł Olek, dalej ostrzeliwując kamieniami napastników.

Dzieci tak się rozochociły, że nie sposób było ich powstrzymać.

— A pan to co? — wrzasnęła nagle Walerka. — Nie wstyd panu stać z założonymi rękami? Niech pan pomaga! — i wsadziła profesorowi do ręki kamień.

Ale on tylko machnął ręką i odszedł na bok.

Usiadłszy na skraju urwiska, zaczął liczyć zabite przez dzieci mrówki.

Któraś z nich celnie rzuciła kamień prosto w głowę czerwonej mrówki. Ta się zachwiała i wolno, jak gdyby po namyśle, zaczęła padać. Ale zaraz drugi kamień ze świstem trafił ją w pierś. Mrówka drgnęła i zamarła. Kokon wypadł jej z łap i potoczył się do podnóża górki. Natychmiast podbiegł do niego drugi bandyta.

— W łeb go! — wrzasnęła Walerka.

Profesor niespodziewanie dla samego siebie zamachnął się i wypuścił swój pocisk na czerwoną mrówkę.

Akurat w tym momencie mrówka dopadła kokonu i złapała go chwytliwymi szczękami, ale trafił ją kamień rzucony przez profesora. Zakręciła się, opadając na jeden bok, i kulejąc uciekła.

— Aha! Nie podobało się! — zaśmiał się profesor i schylił się po następny kamień.

Tymczasem do porzuconego kokonu biegła już trzecia mrówka, schwyciła go i szybko pognęła do swojej szajki.

— Czeka! — wrzasnął profesor. — Wara od niego!

I tak wycelował, że kamień zważył z nóg i tego napastnika.

Kokon potoczył się na bok.

— Dalej go! — wydzierał się Olek. — Tych zbójów trzeba prac bez litości! Ech, gdyby tu przyprowadzić nasz pionierski oddział, tobyśmy pokazali tym łajdakom! A to łotry! Nikt ich nie zaczepia, sami się pchają! No, wszyscy razem! Bateria, ognia!

Poleciały ciężkie kamienie.

— Hura! Uciekają! — z radością pisnęła Walerka.

Schyliła się, żeby podnieść następny kamień, ale nagle zoba-

czyła tuż przed sobą straszną paszczę.

Jak mrówka przedostała się przez urwisko? I dlaczego nikt jej nie zauważył?

Dziewczynka porwała do ręki grudkę ziemi, uniosła ją wysoko, dzieliła mrówkę przez łeb i krzyknęła:

— Ratunku! Do mnie!

Mrówka się zachwiała, ale ruszyła prosto na odważną dziewczynkę.

Profesor i Olek skoczyli do niej natychmiast. Profesor rozkazał:

— Wy — z boków, a ja — z przodu! Walcie kamieniami!

— Hura! — zawołały dzieci i nieustraszenie rzuciły się na mrówkę.

Profesor cisnął w nią z całych sił kamieniem. Mrówka drgnęła, zachwiała się, bezradnie zatrzęsła nogami. Olek walnął ją po grzbiecie, Walerka zaś, skoczywszy bliżej — po głowie. Nieprzyjaciel runął na ziemię.

— Hura! — wrzasnęła ponownie Walerka.

Uniósłszy wysoko nad głową kamień, stała cała zarumieniona i z dumą spoglądała to na profesora, to na brata.

Ale radość była przedwczesna.

Na odsiecz bandycie pędziła już przez wąwóz cała wataha rozjuszonych mrówek. Biegły, zręczne i muskularne, a słońce odbijało się w ich czerwonych, lśniących bokach, rzucających blaski jak miedziane zbroje.

Trawiasta dżungla aż jęczała od ciężkiego ich tupotu.

— Walerka! Walerka! Patrz... Z tyłu — zawołał Olek.

Dziewczynka się obejrzała.

— Och, jest ich chyba ze sto! Nie, jeszcze więcej! Posuwają

się! Pełzną!

Czepiając się łapami zbocza, całe chmary mrówek wdrapywały się na wzgórek.

— Uciekajmy! — rozkazał profesor.

Złapał dzieci za ręce i cała trójka pobiegła, nie patrząc pod nogi, przeskakując przez dołki, potykając się o kamienie.

Wiatr gwizdał im w uszach śpiewając cieniutkim głosem „fiu-u-u“.

Ciężko tupiąc, mrówki szybko dopędzały nieszczęsnych podróżników.

Jeszcze chwila — a dogonią, chwycą i rozszarpią profesora z dziećmi na kawałki.

Nie mogą złapać tchu od szybkiego biegu, Jenotów co chwila oglądał się za siebie i z trwogą patrzył na dzieci — czy aby wytrzymają ten wyścig?

„Nie umkniemy — myślał z rozpaczą — nigdy w świecie nie zdąży my“.

Co robić? Mają więc zginąć i dzieci, i on? Nie, to niemożliwe!

A gdyby tak stanąć i powstrzymać mrówki? Może dzieci zdążą się skryć, póki on będzie walczył..

Profesor potknął się jakby naumyślnie i przystanął. Dzieci, widząc to, także się zatrzymały.

— Uciekajcie! Uciekajcie! — zamachał rękami Jenotów.

Olek z Walerką pobiegli, ale uszedłszy parę kroków, znów się zatrzymali.

— A lećcież, do wszystkich diabłów — zirytował się profesor.

— Lećcie! Czego stoicie? No, czego?!

— Rzeka! Przed nami rzeka!

— Gdzie?

Profesor skoczył do dzieci. Przed nimi ciągnął się łańcuch niezbyt wysokich wzgórz, a za tymi wzgórzami lśniła rzeka.

— Przeplyniecie? — szybko spytał profesor, ledwie mogąc złapać oddech.

Olek z Walerką spojrzeli po sobie i jednocześnie odpowiedzieli:

— Pewnie że przeplyniemy!

— No to naprzód! Jesteśmy uratowani!

Profesor wbiegł na strome wzgórze.

— Nurkujcie! — krzyknął. — Płyńcie na drugi brzeg! — I machnąwszy rękami, rzucił się do wody.

— Za mną! — usłyszały jeszcze dzieci.

Nie namyślając się dłużej ani chwili, dały nurka za nim.

Aż dech im zaparło od zimnej wody. Olek wyskoczył jak korek na powierzchnię i szybko rozejrzał się wokół.

Przed nim, parszkając i sapiąc jak foka, płynął profesor. Jego łysa głowa błyszczała w słońcu jak polerowana kula bilardowa.

Poruszając szybko rękami i nogami, Olek z Walerką płynęli za nim. Profesor ich nie widział. Wykręcał głowę, wyskakiwał z wody, rozglądał się, krzyczał:

— Hop! Hop! Gdzie jesteście?

— Tutaj!

— Nie zostawajcie w tyle!

Olek i Walerka, wyężdżając wszystkie siły, starali się dopędzić profesora, ale on musiał być świetnym pływakiem. Odległość między nim a dziećmi zwiększała się z każdą chwilą. Był już przy drugim brzegu, a dzieci wciąż jeszcze prawie na środku rzeki.

Walerka coś krzyknęła. Wtedy Jenotow zawrócił, zrównał się z nimi i popłynął obok.

— No, jak tam? — pytał troskliwie. — Zmęczeni? Dopłyniecie?

— Dopłyniemy! — westchnęła Walerka.

Olek odwrócił się: najbardziej bał się tego, żeby czerwone mrówki nie rzuciły się za nimi w pław. Widział, jak biegały niespokojnie po brzegu, podchodziły do samej rzeki, pochylały się nad wodą, wyciągały łapy, jak gdyby miały już rzucić się w nurty, ale zaraz znowu cofały się w popłochu. Żadna nie miała odwagi wejść do wody.

Zmordowani do ostateczności podróżnicy dotarli na drugi brzeg i zataczając się ze zmęczenia, poczłapali w stronę kamieni. Nareszcie mogli usiąść.

— To ci wojenka — mruknął profesor, wyzymając brodę.

Dzieci nie odezwały się ani słowem. Jak urzeczone wpatrywały się w przeciwległy brzeg, na którym w wielkim popłochu biegały czerwone mrówki.

— A one nie pływają... te mrówki? — zapytała wreszcie Walerka, ocierając twarz rękami.

— Nie, te nie pływają — uspokoił ją uczony.

— A ja... — Olek ciężko dyszał — a ja czytałem, że one czepiają się jedna drugiej, tworząc w ten sposób most, i przechodzą przez rzekę*.

— Być może — skinął głową Jenotow. — Ale naszych wrogów nie ma na miejscu tak dużo, żeby mogli zbudować z siebie most. A w ogóle...

Profesor z zatroskaną miną zerknął na niebo pokryte czar-

nymi chmurami i szybko rozejrzał się w terenie.

— Moi kochani, grozi nam inne niebezpieczeństwo. Zaraz lunie taki deszcz, że strach! Musimy się gdzieś skryć. I to jak najprędzej.

Walerka się roześmiała.

*** Przerzucanie przez strumień żywego mostu z mrówek nie jest faktem, który by można w rzeczywistości zaobserwować w świecie mrówek. Autor oparł się tu na fantazji, którą spotyka się w literaturze niemal od starożytności.**

111

— Przecież i tak jesteśmy przemoczeni do suchej nitki! Czego mamy się bać?

— Zapominasz o tym, moja kochana, że teraz pierwsza kropla deszczu zwali nas z nóg, a następne — wgniotą w ziemię — odparł profesor. — No, przyjaciele, popatrzmy lepiej dookoła, czy nie znajdzie się w pobliżu jakiś solidny dach, pod którym będziemy mogli przeczekać ulewę.

Ledwo tylko podróżnicy oddalili się od rzeki, a już niebo pociemniało, nad wierzchołkami trawiastej dżungli przeciągnął zimny wiatr i gęste, grube krople zabębniły po liściach.

Ale to był dopiero początek.

— Prędej! — krzyknął Jenotow. — Za mną, przyjaciele!

Jak piłka stoczył się po stromym zboczu, potem szybciotko zerwał się i popędził dalej. Za nim dzieciaki.

Błękitne płaszcze rozwiewały się na wietrze, parasolki łopotały, a ich cienkie rączki wyginały się w kabłąk.

Nagle profesor zrobił ostry skręt.

— Tutaj, zuchy! — zawołał podbiegając do szarej, wysokiej skały, która sterczała nad dolinką jak wieża.

Na czubku skały spoczywała olbrzymia, ciemnobrunatna bryła. Z daleka wszystko to dziwnie przypominało gigantyczny grzyb.

Profesor podbiegł do podnóża niezwyklej skały, zadarł głowę i szybko obejrzał obiekt.

— Doprawdy, to fantastyczne! — oznajmił, zacierając ręce. Olek z Wal erką przypadli do uczonego i jednogłośnie krzyknęli:

— Co to? Co to za skała?

— Nie poznajecie? A przypatrzcie się uważniej! Cudo!

Skała ciągnęła się wysoko w niebo, a im dalej od podnóża, tym stawała się cieńsza. Na samej górze, na wysokości dziesięciopiętrowego domu, wisiał okrągły, porowaty dach. Opadał jak rondo wielkiego kapelusza, namiękle od deszczu. Dach ten rzucał cień aż do połowy słupa.

— Grzyb! — ucieszyła się Walerka.

— No pewnie, że grzyb — roześmiał się pan Jan.

— Ciekawe jaki? — wtrącił chłopiec. — Prawdziwek, kozłak, muchomor czy surojadka?

Uczony otworzył już usta, żeby mu odpowiedzieć, ale w tym momencie lunął silny deszcz i głos jego utonął w ogłuszającym pumie ulewy.

Takiego deszczu ani profesor, ani dzieci nie widzieli jeszcze pigdy w życiu.

W powietrzu ze świstem i wyciem przelatowały ciężkie kule podne i z odgłosem grzmotu padały na ziemię. Jak od rwących ;ę pocisków rozpryskiwały się na wszystkie strony grudki ziemi. Ledwo zdążyły opaść, a już setki nowych kul wodnych, grzmiąc i wyjąc, wrzynały się w grunt, wysadzając go, rozrzucając i rozbryzgując dookoła.

Na świat runęły potoki wody. Niebawem matowa kurtyna wodna zasłoniła przed podróżnikami wszystko. Powietrze od razu się ochłodziło.

Kuląc się z zimna i podkurczając to jedną nogę, to drugą, profesor i dzieci stali jak stadko gęsi na lodzie.

Porywisty wiatr podwiewał z boku i obrzucał ich lodowatymi bryzgami.

— Z-z-zimno! — szczęknął zębami Olek.

— Kiepsko z nami, przyjaciele — odezwał się Jenotow, kuląc ramiona — w ten sposób zmarzniemy na kość. Trzeba się schować przed wiatrem. Ty, Olku, idź na prawo, a ty, Walerko, na lewo. Punkt zborny tutaj! Poszukajcie, czy nie ma gdzieś lepszego schronienia... No, marsz naprzód!

Wybijając zębami werbel, dzieci rozbiegły się w dwie strony.

Walerka obleciała potężny występ grzybowej skały. Wiatr dmuchnął jej w plecy i zamarł. Za występem było zaciszenie.

Pod nogami leżały suche patyki i belki. Ziemia tu była rozgrzana. Stąpając po niej skostniałymi nogami, Walerka poczuła, jak jej się od razu zrobiło cieplej w stopy.

To było najsuchsze i najcieplejsze miejsce pod całym grzybem, tylko że trochę ciemne. Tuż nad ziemią gruba skóra grzyba pękła i zwieszała się, jak daszek nad gankiem, osłaniając grunt.

Walerka zaszyła się pod daszek.

— Chodźcie tu do mnie! — krzyknęła głośno. — Znalazłam namiocik! Tutaj! Prędzej!

Z obydwu stron grzyba nadbiegli profesor i Olek. Przytulny kącik pod daszkiem bardzo im przypadł do gustu.

— Całkiem niezłe — stwierdził Jenotow, oglądając schronienie. — W tym lokalu można wygodnie przeczekać deszcz.

Podtoczył pod daszek grube, krótkie łądyżki zeschniętej trawy i wszyscy wygodnie się roz siedli.

— Proponuję — powiedział chłopiec odzyskując humor — nazwać to schronisko „Grzybem imienia Walerki“.

— Nie mam nic przeciwko temu — Walerka przyjęła projekt brata z wielkim zadowoleniem.

— Tak, teraz przydałaby się szklanka gorącej herbaty —

rozmarzył się profesor — i...

Nie skończył. Na daszek spadło coś bardzo ciężkiego i z hukiem przetoczyło się nad ich głowami.

W powietrzu mignęła, zwiijając się w pierścienie, biała, gruba żmija z czarnym łbem. Chlapnęła na ziemię tuż przy stopach podróżników, zaczęła się skręcać i wić, jak gdyby miała zamiar napaść na nich.

Dzieci dopadły profesora i szybko ukryły się za jego szerokimi plecami.

Ale uczony sam cofnął się z przerażeniem.

Żmija była prawie dwa razy większa od niego i znacznie grubsza. Wsadziwszy czarny łeb w ziemię, zaczęła wiercić nim jak świdrem, a cały tułów wił się i skręcał, dopóki nie schował się pod ziemią.

— Ach, to tak! — bąknął profesor.

Ledwie podróżnicy przyszli do siebie po tym przeżyciu, a już z góry zaczął spadać prawdziwy deszcz białych żmij, które tak samo szybko chowały się pod ziemię.

Dzieci rzuciły się do ucieczki.

— Dokąd? — krzyknął profesor. — Dokąd? Stać! — i złapał je za ręce.

— Żmije! — jęknęła Walerka.

— Jakie znów żmije? Co za bzdury! To nie żmije, tylko najzwyczajsze w świecie larwy muchówek.

— Muchówek?

— No tak! Larwy bedliszki. Widzicie — profesor wskazał ręką na kapelusz, tworzący dach grzyba — widzicie, jak stoczyły grzyb? Ale nic się nie bójcie! One na was nawet nie spojrzą. Mają teraz

własne kłopoty... Dopóki ziemia jest mokra i pulchna, spieszno im wejść jak najgłębiej, ażeby tam zamienić się w poczwarki.

Dzieci się uspokoiły. Całe towarzystwo znów usiadło pod daszkiem i mocno przytuliło się do siebie.

A wokół szalała ulewa. Trawiasty las uginał się pod ciężarem potoków wody. Deszcz z taką siłą bębnił po kapeluszu grzyba, że nad głowami wszystko aż huczało, jak gdyby biły pioruny.

Profesor i dzieci z trwogą spoglądali ku górze, mimo woli wciągając głowę w ramiona.

Nagle Olek wrzasnął:

— Znowu ktoś! Uch, ale wielki! Popatrzcie! Podkrada się do nas!

Po mięsistym parasolu leniwie pełzło jakieś gołe, tłuste zwierzę. Podobne było do mocno wypchanego, brudnego siennika. Plecy potwora lśniły, jak gdyby je kto posmarował tłuszczem.

— Co to? — zapytała Walerka, chowając się na wszelki wypadek za profesora.

— Nagi ślimak — z niezmańczonym spokojem wyjaśnił biolog. — Najzwyklejszy ślimak.

— Czy on też spadnie?

— Nie! — roześmiał się profesor. — Ten to już nie spadnie.

Nie

ma obawy! Trzyma się mocno!

— Też szkodnik?

— Nagi ślimak? Co znowu! To najlepszy przyjaciel grzyba! Co prawda, to i on niszczy grzyb, ale zarazem daje mu nowe życie.

— Jak można być jednocześnie i pożytecznym, i szkodliwym?

Profesor pogładził siwą brodę i odpowiedział bez pośpiechu:

— Ten ślimak połyka kawałki grzybni, w których znajdują się zarodniki grzyba, jego nasiona. Zarodniki przechodzą przez przewód pokarmowy ślimaka, a kiedy spadają na ziemię — zaczynają kiełkować. Gdyby nie te ślimaki, to bardzo wiele grzybów spotykałibyśmy znacznie rzadziej niż obecnie.

— Wiesz co? — roześmiał się Olek. — Myśmy nazwali grzyb imieniem Walerki, ale dach trzeba będzie nazwać Grzybowym Kapeluszem imienia Ślimaka.

Walerka chciała coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili profesor podniósł do góry palec i, nasłuchując, powiedział zatrwożony:

— Co to? Słyszycie?

Podróżnicy wstali. Poprzez szum i dudnienie deszczu dobiegł ich jakiś niewyraźny pomruk. Tak jak gdyby gdzieś zupełnie blisko morze z hukiem rozbijało się o skały.

Pomruk narastał szybko i z każdą chwilą stawał się coraz donośniejszy.

— Może to grzmoty? — szepnęła Walerka, wsłuchana. Nagle dookoła skały grzybowej zabulgotały spienione potoki mętnego morza.

Woda pędziła z rykiem, niszcząc wszystko na swej drodze, łamiąc trawiaste drzewa lub przyginając je do samej ziemi.

Podróżnicy stali na maleńkiej wysepce, przytuleni do nóżki grzyba.

Grzyb stał jeszcze, jak wieża na wyspie, ale woda podnosiła się coraz wyżej, zagrażając zatopieniem i wyspy, i wieży.

Fala chlupotała prawie u stóp podróżników.

— Pewnie gdzieś tutaj płynie rzeczka — odezwał się profe-

sor — która musiała teraz wystąpić z brzegów, no i...

Bezradnie rozłożył ręce.

— A woda nas nie porwie? — zaniepokoiła się dziewczynka.

Profesor nie odpowiedział. Marszcząc brew, w milczeniu przyglądał się swoim nogom, ruszając zziębniętymi, sinymi palcami.

Woda przybierała.

Rosła jak ciasto, zagrażała splukaniem podróżników z wysepki, porwaniem w trawiastą dżunglę i zatopieniem w jakimś głębokim jarze.

Olek rzucił okiem na przygnębionego Jenotowa i zrozumiał, że ten także nie umie nic wymyślić, żeby ich uratować.

— Proszę pana — odezwał się wreszcie stanowczo, dotykając zimnej ręki profesora — mnie się zdaje, że nasza sytuacja nie jest jeszcze taka rozpaczliwa.

— Co proponujesz?

— Wleźć na grzyb.

— Tak, tak — z roztargnieniem mruknął uczony — spróbujemy wdrapać się na grzyb.

Ale spojrzawszy na okrągły, gruby pień, sterczący prostopadłe do góry, westchnął i ze smutkiem pokręcił głową: wdrapać się na wierzch było niepodobieństwem.

— Nic z tego nie będzie, przyjaciele, nie damy rady.

— A może na dach altanki, co? — zapytała Walerka, zerkając na zwisającą grubą skórę grzyba. — Wytrzyma czy nie?

Profesor spojrział w górę.

— Wspaniale — ucieszył się — rzeczywiście... Przednia myśl! Prędszej, przyjaciele! Przecież to nadzwyczajne!

Podsadzał dzieci najpierw sobie na ramiona, a później na da-

szek. Najpierw Walerkę, potem Olka.

Walerka uklękła na skraju daszku i wychyliła się w stronę profesora.

— Proszę podać mi rękę!

Profesor dobrodusznie zamrugął.

— No, co tam się stało?

— Nic, nic, ja tutaj postoję.

Wiedział, że dzieci nie zdołają wciągnąć go na daszek, który zresztą nie wytrzymałby takiego ciężaru.

A tymczasem woda dalej przybierała. Już zatopiła wysepkę, na której rósł grzyb, i dobierała się do nóg profesora.

Fale rozbijały się o pień, ochlapując drżącego z zimna Jenotowa od stóp do głów.

Co robić? Płynąć? Ale dokąd? Zanim dopłynię na suchy ląd, zupełnie zdrętwieje z zimna. A zresztą, nie może zostawiać dzieci samych!

Profesor stał, szcękając zębami i z rozpaczą spoglądając na szalejący dookoła niego żywioł.

Woda sięgała mu już do kolan. Silny prąd nie pozwalał stać. Prosto na niego płynęły belki, obijały się o niego, boleśnie waliły po nogach i kaleczyły.

Woda sięgała do pasa. Profesor stał, mocno zacisnąwszy zsi-
niałe wargi, starając się o niczym nie myśleć.

„Zdaje się — przeleciało mu przez głowę — że dzieci będą musiały wędrować do domu same“.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ZAMARŁY LAS. W POSZUKIWANIU NOCLEGU. WALERKA ZNAJDUJE LEŚNY HOTEL. PROFESOR ATAKUJE CHRUŚCIKA. PIERWSZA NOC W INNYM SWIECIE

Niech pan włazi do nas! — krzyczały dzieci, niespokojnie spoglądając na profesora.

— To nic, to nic — odpowiadał szcękając zębami.

Walerka wyciągnęła szyję i otworzyła usta. Na płacz się jej zbierało, gdy patrzyła na niego. Olek ściągnął brwi, przygryzł wargę i odwrócił się. Nie mógł pomóc, a nie miał sumienia patrzeć, jak to uosobienie dobroci ginie w jego oczach.

— Przyjaciele — odezwał się Jenotow — jeżeli ze mną stanie się coś złego, pamiętajcie o latarni morskiej i idźcie w tym kierunku. Do domu możecie wrócić tylko tak, jak wam mówiłem, innej drogi nie ma.

Nikt mu nie odpowiedział. Dzieci bezradnie rozglądały się dookoła, jak gdyby nie słysząc tego, co mówi. Miały oczy pełne łez.

Profesor przygotowywał się na śmierć. I dościgłaby go ona na pewno jeszcze przed zmierzchem, gdyby deszcz raptownie nie ustał.

Zapanowała nagle cisza. Po niebie pędziły jeszcze postrzępione chmury, ale widnokrąg był już czysty. Olbrzymie, czerwone słońce

chowało się za wzgórze.

Rzadkie, ciężkie krople spadały wprawdzie hałaśliwie na dach grzyba, ale już wesoły, rozjaśniony zachodzącym słońcem letni wieczór ogarniał ziemię, która zaczęła parować.

Dookoła pluskały fale. Zabarwiły się na czerwono od zachodzącego słońca, ale zapożyczyły też fioletowych barw od przedwieczornego nieba. W mętnych potokach płynęły, wirując, kloce i wyrwane z korzeniami trawiaste drzewa.

Jenotów stał na rozkraczonych nogach i odpychał skostniałymi rękami mokre, oślisze pnie, które nacierały na niego jak żywe.

Woda zaczęła opadać.

Olbrzymie drzewo przepływające obok grzyba, drgnąwszy na fali, powoli osiadło na mieliźnie. Profesor szybko stanął zziębniętymi stopami na mokrym pniu.

— No, koniec! — wrzasnął radośnie Olek.

— Opada! Opada! — klaskała w dłonie dziewczynka. — Patrzcie, już wody nie ma, można złączyć!

Pan Jan skulił ramiona. Przeszępując z nogi na nogę, zakaszłał i powiedział:

— Tak, tak, złączcie... Trzeba ruszać!

Dzieci w oka mgnieniu znalazły się na dole.

— Ojej, pan nam zupełnie zmarznie — zmartwiła się Walerka. — Chodźcie, pobiegniemy. Jak się biegnie, to się człowiek zawsze rozgrzewa.

— Zgoda — przytaknął profesor — ale najpierw popatrzmy, w którą stronę mamy iść. Dalej, Olku, wleź na drzewo i spójrz, gdzie jest nasza latarnia morska.

— Już się robi, proszę pana!

Podbiegł do wysokiego pnia pokrytego kolcami i czepiając się ich, szybko wdrapał się na górę.

Drzewo się zakołysało. Z liści, jak z rynien, polały się na Olka strugi zimnej wody.

Chłopiec zadrżał, przytulił się do pnia, ale zaraz otrząsnął się jak pies i wdrapywał wyżej.

Nareszcie czubek drzewa! Wprawdzie ugina się pod ciężarem ciała, ale jednak można, kołysząc się lekko, obrócić głowę na prawo i na lewo.

W dole, jak okiem sięgnąć, las, las i nic tylko las, ale wcaie niepodobny do dawnego. Wszystkie drzewa, jak gdyby je ktoś nadrąbał, pochyliły się w jedną stronę. Szerokie liście uginały się pod ciężarem wielkich, wodnych kul, jakby odlanych z kryształowego szkła. Promienie zachodzącego słońca purpurowym światłem odbijały się od ich powierzchni.

Cały las rozgorzał tysiącami ogni.

Trzęsąc się z zimna, Olek obrócił się, żeby spojrzeć za siebie. Daleko na zachodzie zobaczył samotny maszt. Na jego czubku wisiał, jak łachman, mokry sztandar.

— Jest! — Olek machnął ręką w kierunku zachodu. — Tam! Musimy iść w tamtą stronę.

— Widzimy, widzimy! — odpowiedziała mu z dołu siostra. Olek szybko zszedł na ziemię.

Podróżnicy ruszyli w dalszą drogę i niebawem zagłębili się w gąszcz trawiastej dżungli.

W lesie było spokojnie.

Z rzadka spadały na ziemię z szumem i hukiem kule wodne, po czym znów zapadała martwa cisza.

Nie widać było ani jednego żywego stworzenia. Wszystko dookoła spało kamiennym snem, jak w zaczarowanym, baśniowym świecie.

— Gdzie podziały się te... Zabił je deszcz czy co? — zapytała dziewczynka.

— Jakie „te“?

— No, różne... Dzikie zwierzęta...

— Owady? Są gdzieś tutaj — odparł profesor, kuląc się lekko. — Gdzieś się pochowały.

— Śpią?

— Nie, schną.

Jenotow mocno zatarł zziębnięte ręce i przyspieszył kroku.

— Wszystko, co lata — wyjaśnił nie zwalniając tempa marszu — i wszystko, co skacze w tym trawiastym lesie, siedzi teraz i czeka, żeby wyjrzało słońko i je osuszyło, a wtedy znów zaczną biegać, skakać i fruwać... Tak samo cierpliwie czekają na wschód słońca rankiem, kiedy siedzą w trawie, pokryte ciężką rosą.

— To dobrze — ucieszył się Olek. — Niechby sobie siedziały nawet cały rok — wcale mi ich nie żal.

— To my teraz jesteśmy sami w całym lesie? — zapytała Walerka. — A ja wciąż się bałam, że jak się położymy spać, to one nagle na nas napadną. Ale teraz nie boję się nic a nic.

Dzieciom wyraźnie poprawiły się humory.

Szły paplając bez przerwy, a potem zaczęły się bawić. Goniły się po lesie, głośno nawołując i chowając za potężne pnie.

Olek co chwila uciekał daleko do przodu, a Walerka odważnie wsadzała nos w każdą dziurę, w każdą norę. Chciała zobaczyć, jak wyglądają po deszczu potwory z trawiastej dżungli.

Profesor patrzył na dzieci z coraz większym niepokojem, aż wreszcie odezwał się zirytowany:

— Nie myślcie, moi drodzy, że teraz wszystkie owady będą siedzieć cicho i czekać na wschód słońca... Niech tylko zapadną ciemności, a zaraz z nor i szpar powypęłzają nocne drapieżniki. A te są chyba jeszcze straszniejsze od dziennych. I w ogóle nie radzę zaglądać do każdej dziury.

Dzieci spojrzały po sobie.

— Myśmy nie wiedzieli o nocnych... — potulnie odezwała się Walerka.

Wziąwszy się za ręce, grzecznie poszli za profesorem, nie pozostając ani o krok w tyle i nie wybiegając do przodu.

Słońce tymczasem zaszło.

W lesie zrobiło się zupełnie ciemno i jakoś szczególnie cicho. Czarne drzewa obstały podróżników murem. W górze nad głowami jęklonie zawodził wiatr. Od czasu do czasu spadały na ziemię, jak bryły kamienia, ciężkie krople deszczowej wody.

W ciemnościach trudno było się posuwać.

Profesor i dzieci coraz częściej wpadali na drzewa, co chwila potykali się i przewracali.

— Zaczekajcie — powiedział wreszcie Jenotow, przystając. — W ten sposób możemy zabłądzić, no i w ogóle trzeba się zatroszczyć o nocleg. Myślę, że najlepiej iść po lesie tyralierą, oczywiście nie tracąc się wzajemnie z oczu.

— Taka ciemnica... — szepnęła Walerka. — Możemy zabłądzić.

— Będziemy się nawoływać.

— I co dalej?

— A dalej trzeba uważnie poszukać jakiegoś zacisznego miejsca... Ten, kto znajdzie coś odpowiedniego, niech krzyknie... Zgoda?

— Zgoda! — chórem zawołały dzieci.

Podróżnicy rozeszli się każdy w swoją stronę.

Walerka poszła wzdłuż strumyka. Na lewo od niej — Olek, a jeszcze dalej profesor.

— Patrzcie uważnie — napominał ich Jenotow.

— Hop, hop! — wołała Walerka.

— Hop, hop! — odpowiedział Olek.

Nagle Walerce wydało się, że ktoś się przy niej porusza.

Skoczyła przed siebie, ale usłyszała za plecami czyjeś śpieszne kroki.

Zatrzymała się i skryła za drzewem. Obleciał ją niesamowity strach. Znów krzyknęła.

— Hop, hop!

— Hop, hop! — odpowiedzieli zza drzewa aż dwa głosy naraz.

Profesor i Olek byli bardzo blisko. Walerka uspokoiła się i znowu poszła do przodu, ale usłyszała za sobą skradające się kroki.

— Kto?! Kto tam?! — wrzasnęła przerażona i nie czekając na odpowiedź, pobiegła w ciemny las.

Pędziła potykając się, bojąc się zatrzymać i obejrzeć.

Nagle w ciemnościach wyrosła przed nią ściana. Walerka o mały włos nie wpadła na nią z rozpędu. Całe szczęście, że zdążyła wyciągnąć ręce do przodu.

Dłonie jej oparły się o bryłę kamienia.

— Hop, hop! — zawołała.

— Hop, hop! — odpowiedział natychmiast Olek.

Ciężko dysząc, Walerka ruszyła powoli, trzymając rękę na głazie. Ziemia pod jej krokami chlupotała, nogi więzły w błocie.

Uszedłszy parę kroków, przystanęła. Przed nią rozciągała się wielka i głęboka kałuża.

„Obejdę kamień w przeciwnym kierunku” — pomyślała Walerka i ostro zawróciła z powrotem.

Wydostała się na twardy grunt i, obmacując palcami bryłę, usiłowała ją obejść, jednakże nim zrobiła parę kroków, wyczuła pod rękami pustkę. Znow stanęła.

Przed nią w ciemnościach ziało wejście do jakiejś pieczary.

— Jestem! — zawołał Olek, wyskakując zza drzew.

— Do mnie! Tutaj! Znalazłam!

Chłopiec popatrzył na bryłę, potem na Walerkę i powiedział ze złością:

— Czego się drzesz na próżno? Przecież to kamień. Wielki głaz... Co, mamy nocować pod kamieniem?

— W środku! — odparła Walerka. — Popatrz!

Popchnęła brata w stronę szerokiego, czarnego wylotu prowadzącego do wnętrza kamiennej bryły.

Olek odsunął się nieco od głazu, ujął się pod boki i zaczął go oglądać z miną kupca, szacującego towar przed nabyciem.

— T-tak! — skinął wreszcie z powagą głową. — Obleci! Niezły hotel!

Była to długa, przypominająca nieco cygaro, kamienna budowla.

Leżała między pniami wysokich, kolankowatych drzew. Wydawało się, że ją tu przyniósł i położył jakiś baśniowy wielkolud. Prawie wisiała w powietrzu. Pomiędzy nią a ziemię można było od biedy wsunąć rękę.

Olek złożył dłonie w tubę i krzyknął:

— Panie profesorze! Panie profesorze! Znaleźliśmy!

— Hop, hop! Idę już, idę!

Olek obrócił się do siostry, poklepał ją po ramieniu i pochwalił łaskawie:

— Zuch z ciebie. To coś w rodzaju kamiennego hangaru. Zdaje się, że tutaj naprawdę można przenocować. Cóż, spróbujemy wleźć.

Przy samym wejściu do pieczary leżał, obalony deszczem, grubo pień. Olek wdrapał się po nim i zajrzał w ciemną, szeroką czełuść.

— Szkoda, że nie mamy zapalek. Nic nie widać!

Podciągnął się na rękach, wsunął do pieczary głowę i ramiona.

— No, co tam jest? — niecierpliwie szarpnęła go za nogę Walerka.

Nagle Olek odskoczył i na łeb, na szyję zleciał z mokrego pnia.

Jednym susem odsądził się od pieczary i chwyciwszy Walerkę za rękę, kucnął za drzewem.

— Zajęte... — szepnął przerażony. — Tam ktoś siedzi... Ogromny... Straszny...

Z ciemnego otworu wysunęły się dwie długie macki, a za nimi wynurzyła się okrągła, czarna głowa. Popatrzyła w prawo, w lewo, zakołysała się i wolno cofnęła z powrotem.

— Widziałas?

— Aha! Jakiś wąsal. Co to on miał takiego? Wąsy, prawda?

— Na pewno wąsy. Tutaj wszyscy mają wąsy.

— Trzeba zawołać profesora — cichutko zaproponowała Walerka.

— Hop! — krzyknął Olek.

— Hop, hop! — dobiegł ich w odpowiedzi głos Jenotowa. —
Gdzie jesteście? Dokąd mam iść?

— Tutaj! Tutaj!

— Do nas!

W lesie zaszumiły liście, a potem rozległy się ciężkie kroki i ochrypły kaszel. Zza drzew wyłonił się profesor.

— No, jak tam? Znaleźliście co?

— Tak!

— Prawie!

Dziewczynka wskazała gestem pieczarę.

— To ja ją znalazłam — oznajmiła z dumą.

Profesor zbliżył się i postukał patyczkiem w kamienną ścianę.

— Poznaję... Bardzo szczęśliwie! Wprost wspaniale! Coś w sam raz dla nas. Nadzwyczajny hotel dla takich podróżników jak my.

Włazł na obalony pień i zajrzał do środka.

— Niech pan zaczeka! — wystraszony Olek chwycił go za rękę.

— Bo co? Co się stało?

— Hotel jest zajęty! Tam siedzi jakiś... Wyprzedził nas.

— Taki z ogromnym łbem! Okropnie straszny — informowała szeptem Walerka.

— To nic, to nic — uspokoił ich profesor. — Tego stałego bywalca znam dobrze. To mój stary znajomy... Nim upłynie minuta, uwolnimy od niego lokal.

Profesor przeszedł w bród przez kałużę i zatrzymał się przy węższym końcu kamiennej bryły. Kucnął i zaczął obmacywać ściany.

— Tak, tak — usłyszały dzieci. — Wszystko w porządeczku!

Coś tam mamroczać pod nosem, uczony skierował kroki w głąb lasu.

— Dokąd poszedł? — zaniepokoiła się Walerka.

— A bo ja wiem?

— Dokąd pan idzie? — krzyknęła Walerka w ślad za profesorem.

— Zostańcie na miejscu. Ja zaraz... Za chwilę... — doleciał z ciemności głos.

Minęła minuta, a profesor nie wracał. Dzieci słyszały jego kroki i mamrotanie, ale nie mogły pojąć, co tam robił.

Wreszcie przyszedł, wlokąc za sobą długą żerdź, i oznajmił:

— Oto jestem.

Podciągnąwszy tykę do kamiennej bryły, znów zaczął obmacywać ściany, a gdy trafił na okrągły otwór, wsadził tam ostry koniec żerdzi.

Dzieci śledziły uważnie każdy jego ruch, ale w żaden sposób nie mogły się domyślić, co zamierza zrobić.

— Zdaje się — odezwała się wreszcie Walerka — że będzie bitwa.

— Aha!

Dzieci pochylili się, by znaleźć sobie na ziemi jakieś uzbrojenie. Olek podniósł ciężką pałę, Walerka znalazła kamień i mocno zacisnęła go w dłoni. Byli gotowi w razie potrzeby przyjść profesorowi z odsieczą.

— A teraz, moi drodzy, odejdźcie na bok — rozkazał Jenotow.

Dzieci niechętnie odsunęły się od pieczary i, trzymając się za ręce, stanęły nie opodal.

— No a teraz — roześmiał się profesor — uważajcie tylko,

jak ten wielki i straszny zwierz będzie zmiatał!

Profesor szturchnął żerdzią z prawa, z lewa, potem wsadził ją głęboko w wąską szparę i zaczął obracać jak pogrzebaczem w piecu.

Potwór się zaniepokoił.

Ciemny, pokryty kolcami łeb uniósł się nad wejściem, zakolysał i znowu zwiśł.

— Nuże! — krzyknął profesor, napierając całym ciałem na grubszy koniec tyki.

Straszny drgnęło, jak gdyby wbito w nie żądło, wyrzuciło do przodu trzy pary nóg i szybko nimi przebierając, wywaliło się z pieczary. Potem, wlokąc po ziemi segmentowane, wyginające się ciało, popęzło w stronę strumyka.

Ledwie dzieci zdążyły mu się przyjrzeć, dziwne zwierzę zsunęło się z nasypu i z głuchym pluskiem wpadło do wody. Porwał je wartki prąd i natychmiast zniknęło w ciemnościach.

— A to sprytnie! — ucieszył się chłopiec. — Następnym razem nie wlezie do cudzego hotelu.

— Dobrze już, dobrze — łagodnie zrzędził profesor. — Nie będziemy teraz dociekać, kto komu zagarnął terytorium. On nam czy my jemu. W każdym razie nie będzie się z nami prawował.

— Jak to? — domyślił się Olek. — Więc to my zabraliśmy temu potworowi jego własne mieszkanie?

— Otóż to! Ale na wyrzuty sumienia jest już za późno, no i w ogóle nie warto. A teraz, przyjaciele, lokujmy się na noc. Zgarniajcie tu gałązki, liście i składajcie przy wejściu.

W ciemnościach zawrzała praca.

Profesor z dziećmi podciągali do domku liście, korzenie i trawiaste pnie. Niełatwa to była robota. Jeden liść, na przykład, mu-

sieli ciągnąć we dwójkę. A z jakimś grubym, wilgotnym płatkim kwiatu ledwo uporali się we trójkę.

Profesor spieszył się bardzo i, sam pracując bez wytchnienia, cały czas popędzał dzieci:

— Prędeż, prędeż! Walerko, nie włącz do wody! Olku, rzuć ten liść, i tak go nie uniesiesz... Pomóżcie no mi podciągnąć te gałązki...

Był bardzo zadowolony. Bał się już, że przyjdzie im spędzić noc pod gołym niebem, a tu nagle taki traf!

— Ach, moi mili! — powtarzał. — Mamy dzisiaj nadzwyczajne szczęście! Na pewno urodziliśmy się w czepku! Czekaście, wsuniemy się pod dach, a sami zobaczycie, jacy z nas szczęściarze...

— A powódź? — ostudził go Olek. — Brrr... aż wspomnieć strach! Wcale nie pasuje do urodzonych w czepku!

— Powódź? No tak, to nasze najczarniejsze godziny. A jednak nie utonęliśmy... I w gruncie rzeczy wyszła nam na dobre... Bo gdyby nie powódź, to nawet nie wiem, gdzie byśmy spędzili dzisiejszą noc i co by z nami było... Przecież to właśnie powódź wyrzuciła na brzeg chruścika razem z jego domkiem — futerałem.

— Nawet się nie bronił... — powiedziała Walerka. — Duży, a taki grzeczny.

— Kto grzeczny? Chruścik?

Profesor wybuchnął śmiechem.

— Wcale nie jest taką znów trusią. Pod wodą nikomu nie przepuści. Ten żarłoczny drapieżnik napada na małe raczki, na larwy owadów, a zdarza się nawet, że pożera swoich własnych rodziców.

— Taki z niego zbój?

— Najprawdziwszy... A jak wychodzi na łowy! Uzbrojony jest wprost nadzwyczajnie. Przecież on, bestia, zakuty jest, niczym rycerz średniowieczny, w mocną, nieprzepuszczalną zbroję. Ale co tam rycerz! Rycerze kładli tylko pancerz, szyszak i kolczugę, a ten jegomość dźwiga na sobie całą twierdzę!

— I siedzi w niej jak w czołgu, tak? — zapytała Walerka.

— No, niezupełnie, bo czołgiści jadą w czołgu, a chruścik sam go na sobie dźwiga.

Walerka spojrzała na kamienną bryłę i pokręciła głową.

— Taki ciężar! To nie żarty!

— Nie wszystkie chruściki mają takie ciężkie domki — wyjaśnił profesor. — Tam, gdzie rosną trzciny i suche łodygi spadają na dno — chruściki robią sobie gniazda wewnątrz tych roślin. Tam natomiast, gdzie dno jest piaszczyste albo kamieniste — łączą kamyczki, muszelki i ziarenka piasku i z tego budują swoje domki-twierdze. Zresztą, widuje się domki chruścików zbudowane po prostu z listków, które spadają do wody.

— A dlaczego on ma dwa wejścia do swego domku — jedno duże, a drugie małe?

— Po to, żeby woda swobodnie przepływała przez cały domek.

— Na co mu to?

— Jak to, na co? — zdziwił się profesor. — Przecież dom chruścika zawsze jest pełen wody. A jeżeli nie będzie się ona zmieniać, to ścianki pokryją się pleśnią i miliony różnorodnych bakterii wezmą szturmem twierdzę drapieznika. Przecież dla nich stojąca woda to to samo, co dla nas powietrze.

— Ale pan chytrze wykombinował z tym przepędzeniem go z domku — powiedział z zachwytem Olek.

— O — skromnie odparł uczony — to nie jest mój wynalazek. Pamiętam, jak w dzieciństwie, z chłopakami, często wyciągaliśmy chruściki w ten sposób. Nieraz bywało, że nie zdążyliśmy jeszcze

wsunąć słomki do drzwi kuchennych, a już chruścik wygląda paradnym wejściem. Wystarczy lekko poruszyć słomkę, a już spada nam na dłoń.

— A po co? — zapytał zdziwiony chłopiec.

— Bośmy łowili ryby na chruściki. Świetne są jako przynęta.

— Ryby? — Olek aż podskoczył. — I co, dobrze biorą na nie?

Profesor roześmiał się.

— Czy ty, przypadkiem, nie jesteś rybakiem? Proszę, jak się zapalił.

— Oho — machnął ręką chłopiec. — Ryby! Mogę cały miesiąc przesiedzieć z wędką...

— I jak ci idzie, dobrze?

— Nie — szczerze przyznał się Olek. — Jakoś nie mam szczęścia.

— Ach tak! No to ci dam radę: trzeba częściej łowić na larwę chruścika. Nie ma lepszej przynęty na świecie!

— Muszę spróbować...

— A co teraz zrobi ten chruścik... bez futerału? — zaniepokoiła się dziewczynka. — Zginie?

— Nie zginie! — beztrósco odparł Jenotow. — W czasie gdy my tu gawędzimy, on już na pewno wybudował z połowę nowego domku... Nie bój się, nic mu nie będzie... Wyrośnie, a potem przemieni się w latającego owada.

— On? W latającego?

— Tak jest — zapewnił profesor, ciągnąc po ziemi ciężki listek. — Przemieni się w owada, bardzo podobnego do ćmy... Zresztą chruścik jest zręczny nie tylko do latania. Wcale nieźle biega po

wodzie i po ziemi. A jak przychodzi pora składania jajeczek, schodzi pod wodę i przyczepia jajka do wodorostów.

Jenotow obrzucił spojrzaniem stertę liści, płatków i gałązek, które zgromadzili rozmawiając, i zdecydował:

— Starczy! Bo zawalimy wejście tak, że się nie dostaniemy do pieczary.

Walerka i Olek nie dali się długo prosić. Przeskoczyli przez górę gałęzi i ostrożnie weszli do na pół ciemnego, niskiego korytarza.

W samym końcu ledwo widocznie jaśniała wąska szpara.

Dzieci szły po ciemku, macając rękami ściany. Nogi ich stąpały jak gdyby po miękkim, delikatnym dywanie. Takie same miękkie i jedwabiste były ściany.

Olek podniósł rękę i dotknął sufitu.

— Tutaj też miętko — powiedział ze zdziwieniem.

Doszli do końca korytarza i zatrzymali się przed okrągłym otworem. Po nogach powiał zimny wiatr.

— Ten lufcik trzeba zamknąć — postanowił chłopiec. — Mamusia nie pozwala siedzieć w przeciągu.

Wrócił, przyniósł miękki płatek kwiatowy, zgniół go w dłoni i zatkał nim otwór.

— Teraz nie wieje — powiedziała Walerka — ale za to zrobiło się bardzo ciemno. Chodźmy z powrotem.

Dzieci podeszły do głównego wejścia, gdzie wśród gałązek i listków krzątał się profesor.

— No jak? Podobał się wam dom? — zapytał. — Można tu mieszkać?

— Wszędzie dywany — wesoło odparł Olek. — Wcale nieźle żyje sobie ten chruścik.

— Nieże! — przytaknął profesor. — Muszę dodać, że te dywany bynajmniej nie są takie zwyczajne. Jeżeli ktoś chce wyciągnąć gospodarza z domku, to ten potrafi zaczepić się o nie haczykami i wtedy żadna siła nie ruszy go z miejsca... No, ale do roboty, przyjaciele! Pomóżcie mi zasłonić otwory, żeby nas nie odwiedził jakiś nieproszony gość!

Profesor z pomocą dzieci zwałił przy wejściu kupę korzeni, na nich ułożył gałązki, a na samym wierzchu — płatki. Wyszła prawdziwa barykada. Tylko u góry pozostała wąska szpara, przez którą sączyło się granatowe, nocne światło.

— Wspaniale! — pochwalił dzieci. — Teraz już nikt się do nas nie dostanie. Rozgoście się, przyjaciele. Wypoczywajcie!

Dzieci wybrały sobie w kącie pod ścianą zaciszne miejsce, wyciągnęły się na puszystym dywanie i mocno się do siebie przytuliły. Obok nich ułożył się profesor.

Dzielni podróżnicy zamilkli, słuchając, jak za ścianami domku zawodzi nocny, smutny wiatr i jak ponuro skrzypią trawiaste drzewa.

Z góry, z mokrych liści, padały na dach ciężkie, jak ołowiane pociski, krople wody. Ale w domu było sucho i ciepło.

Leżeli wygodnie na podłodze. Dywany były miękkie jak materace. Podróżnicy jednak długo nie mogli zasnąć.

To była przecież ich pierwsza noc w dziwnym, nowym dla nich świecie, gdzie w ciągu jednego tylko dnia tak wiele przeżyli i gdzie na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo.

Przez szczeliny barykady przeświecało ciemne, nocne niebo, a na nim migotały olbrzymie gwiazdy.

Walerka leżała z otwartymi oczami. Nie mogła oderwać wzro-

ku od gwiazdy, wiszącej nad wejściem do pieczary. Gwiazda była tak wielka jak księżyc w pełni, tylko że bardzo często mrugała.

Tak samo w domu, kiedy leżała w łóżeczku i patrzyła w okno, przed oczami kołysała się wielka, podobna do księżycyca, uliczna latarnia.

Walerka przypomniała sobie dzwonki tramwajów, zachrypnięte, zagniewane sygnały samochodów i szybkie, świetliste pasy, które biegły przez okna, jak gdyby chciały się dogonić.

Zamknęła oczy.

Przez chwilę zdawało się jej, że leży u siebie w domu, w ciepłym łóżeczku, i słucha wesołego, ulicznego gwaru.

Drzwi do sąsiedniego pokoju są przymknięte, ale pod nimi prześwieca żółty pasek światła. W jadalni mama sprząta ze stołu. Brzęczą talerze i filiżanki, dzwonią łyżeczki.

Gdy naczynia są pozmywane, mama zgarnia ze stołu okruszki i kładzie czysty obrus.

Dziewczynka westchnęła. Przypomniały jej się okruszynki sera, które leżały rano po śniadaniu na stole, i przełknęła ślinę.

Ach, gdyby tak tutaj, do tej pieczary, trafiła bodaj jedna okruszynka takiego świeżego i smacznego sera! Tej odrobinki starczyłoby, oczywiście, na kolację i dla profesora, i dla Olka, i dla niej, a nawet trochę zostałoby na śniadanie.

Walerka znowu westchnęła.

A może oni już na zawsze pozostaną w tym strasznym świecie?

Czy powrócą kiedy do domu? Czy zobaczą jeszcze mamę?

— Mama na pewno płacze — cichuteńko szepnęła do brata.

— Tak, na pewno płacze.

Dzieci się zamyśliły.

Co teraz robi mama? Może leży w ubraniu na łóżku i przy każdym szmerze unosi głowę z poduszki, nasłuchując: a nuż dzieci wracają?

Na stole, nakrytym serwetą, stoi zostawiona dla nich kolacja. W jadalni cicho tyka zegar. W ciemnym kącie pokoju układa się do snu kot.

W oczach dziewczynki zakręciły się łzy. Cichutko obtarła je palcem i mocno zacisnęła powieki.

„Nie, nie będę beczeć!“

Za ścianami domku tęsknie zawodził północny wiatr.

Podróżnicy leżeli, każdy na swój sposób rozmyślając o „dużym“ świecie, w którym tak niedawno jeszcze przebywali.

— Zawracanie głowy — hałaśliwie westchnął profesor. — To niemożliwe, żebyśmy nie wrócili... Wrócimy, przyjaciele, nie ma co zwieszać nosów na kwintę.

Olek i Walerka nic nie odpowiedzieli. Spali już mocnym, zdrowym snem.

Wtedy profesor słodko ziewnął, odwrócił się na bok, zamiast poduszki podłożył pod głowę własną pięść i zachrapał rozgłośnie.

Podróżnicy spali tak mocno, że nawet nie słyszeli, jak w nocy lunął znowu gęsty, letni deszcz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NIEZWYKŁE POWIETRZE. PROFESOR CZĘSTUJE DZIECI JAJECZNICĄ. UCZONY ODKRYWA FABRYKĘ UBRAŃ. PSZCZOLINKA. ZNIKNIĘCIE PROFESORA I OLKA

Nad oziębioną ziemią gęstymi falami przewalała się biała mgła. Jak mlekiem zalała uspokojony las, wypełniła głębokie jary i parowy.

Wierzchołki drzew to zanurzały się w niej, to znów się wychylały.

Przez szpary w barykadzie wpełzał do domku poranny chłód i wilgoć. Niebawem zrobiło się tu tak zimno jak pod gołym niebem.

Dzieci niespokojnie wierciły się przez sen, podciągając kolana pod brodę, ale od tego było im niewiele ciepłej.

Wreszcie Olek nie wytrzymał, zerwał się, przetarł zaspane oczy. Skulił się z zimna i ze zdziwieniem popatrzył na pochyłe ściany. Były srebrzystobiałe, jak pokryte szronem. Dotknął ich ręką.

— Nie, to nie szron. To dywany. Srebrzyste dywany. Brrr, jaki ziąb!

Na podłodze, zwinięta w kłębuszek, leżała Walerka. Podciągnęła kolana, rękami zasłoniła twarz. Cichuteńko jęczała i pochlipywała przez sen.

Olek zaczął najpierw skakać w miejscu dla rozgrzewki, a potem przebiegł domek wzdłuż ściany z jednego końca na drugi.

Zrobiło mu się jak gdyby trochę cieplej.

Zawrócił i z rozpędu fiknął kozła, jednego, drugiego, trzeciego, i nagle zwałił się siostrze na nogi.

— Co? Co się stało? — wrzasnęła zrywając się Walerka. — Ktoś nas napadł?

Drżąc na całym ciele i kuląc się, patrzyła na brata zaspanymi, przerażonymi oczami.

— Zwariowałaś? Przecież to ja! Ocknij się! Zupełnie skostniałaś. Jesteś cała sina. Chodź, będziemy walczyć. Od razu się rozgrzejesz. Zaczynamy!

Zaczął skakać dookoła siostry i tarmosić ją.

— Odczep się! — odepchnęła go mocno. Ale padając, chłopiec uczepił się jej i oboje potoczyli się po miękkim, puszystym dywanie.

Walerka zaczęła popłakiwać:

— Idź sobie! Jak ciebie nikt nie zaczepia, to i ty nie zaczepiaj.

— Ech ty, niedotykałski ślimaku! Przecież chciałem cię rozgrzać!

— A ja chcę spać — burknęła i ułożyła się z powrotem.

— No to sobie śpij! — rozzłościł się Olek.

Za ścianą ktoś krzątał się, stukał, pokasływał i nagle zaśpiewał donośnie a wesoło:

Gdzieś obiadek jadł, wróbelku?

U przyjaciół moich wielkich!

Muszką dał mi lisek młody,

a foka przyniosła wody.

Był to okropny głos profesora.

— Widzisz! — zgromił siostrę Olek. — Wszyscy już wstali, śpiewają, a ty jeszcze się wylegujesz.

Podbiegł do otworu dywanowej pieczary i krzyknął:

- Panie profesorze! Gdzie pan jest?
- Tutaj! Tutaj! Wstawajcie, przyjaciele! Śniadanko gotowe!
- A co na śniadanie?
- Przepyszna jajecznica!
- Jajecznica?

O, to było znacznie lepsze niż dygotanie z zimna, toteż Walerka zerwała się na równe nogi.

— Chodźmy!

Dzieci rozsunęły gałązki i liście, którymi był zawalony otwór, i wydostały się na świeże powietrze. Walerka stanęła na ziemi i zaraz cofnęła się, wystraszona.

— Co to, Olku? Gdzie jesteśmy? — szepnęła, mocno ściskając rękę chłopca.

Nic nie było widać — ani nieba, ani lasu, ani ziemi.

W powietrzu płynęły chmary lśniących pęcherzyków, które krążyły, zderzały się, wolniutko się opuszczały i znowu unosiły do góry. Dookoła wirowała i szalała prawdziwa zamieć ze świecących pęcherzyków.

— Panie profesorze! — krzyknął Olek. — Co to jest? Co to tak wiruje?

— Mgła — usłyszały dzieci głos profesora.

Pan Jan był gdzieś zupełnie blizutko, tuż-tuż, ale dzieci go nie widziały.

— Albo to mgła tak wygląda? — z niedowierzaniem zapytała Walerka.

— Tak, dziecino, to mgła. Widzimy ją tak właśnie, jak ona wygląda pod mikroskopem.

Głos profesora brzmiał głucho jak z beczki.

Dzieci wyciągnęły ręce, usiłując złapać pęcherzyki, ale one pękały i spływały po palcach w postaci zimnej wody.

— No, gdzieście utonęli? — wydobył się z tej waty głos profesora. — Szybciej do mnie! Mam tu coś ciekawszego niż mgła!

Olek i Walerka, stąpając po omacku, poszli w kierunku, skąd dochodził głos profesora.

— A dużo tej jajecznicy? — nie wytrzymała Walerka.

— Jeżeli się pośpieszysz, to może i tobie troszkę skapnie. Chodź

szybciej, póki sam jeszcze nie zjadłem wszystkiego.

Z daleka, we mgle, zabłysnął niebieski płomyk.

— Ogień! — ucieszył się chłopiec.

Czyżby profesor rozpałił ognisko? Ale skąd wziął zapalki?

Walerka co tchu pomknęła do ognia.

— Ognisko! Ognisko! Mamy ognisko! — wrzeszczała na całe gardło.

Wysoki słup zielonych płomieni unosił się aż do czubków czarnego, mokrego lasu. Przy ognisku siedział w kucki profesor. Grubym kijem przewracał chrust, który skręcał się w ogniu z wesołym trzaskiem.

— Hura! — krzyknęły dzieci.

Wzięły się za ręce, podbiegły do ognia i zaczęły tańczyć jakiś dziki taniec.

— Hopla! — śpiewała Walerka w podskokach.

— Hopla! — wtórował jej rozczzerwieniony brat.

— No no, spokój — ofuknął ich profesor. — W ten sposób potłuczecie mi całą zastawę! Lepiej siadajcie i jedzcie.

Od ogniska buchał taki żar, że nie sposób było nawet ustać w pobliżu. A przecież chrustu nie było w nim znów tak wiele. Walerka złapała naręczę suchych gałązek i chciała dorzucić do ognia, ale profesor ją powstrzymał:

— Nie trzeba! Jajecznicza jest już gotowa.

— A ognisko? Przecież zgaśnie...

— Nie, nie zgaśnie... Siadajcie, będziemy jeść śniadanie — powiedział uczony i postawił przed dziećmi wprost na ziemi wielkie naczynie z postrzępionymi brzegami, pełne dymiącej jajeczniczy.

Nie czekając na powtórne zaproszenie, dzieci chciwie rzuciły się na nią. Parząc palce i dmuchając na nie z całych sił, pałaszowały z apetytem.

Policzki Wali nabrały rumieńców. Nos Olka pokrył się kropelkami potu. Tylko pan Jan jadł bez pośpiechu, statecznie, manipulując jak łyżką kawałkiem płatką złożonego we dwoje.

Nie dojadłszy jajeczniczy nawet do połowy, dzieci poczuły, że są syte.

— No — odezwał się Jenotow wycierając siwą brodę kawałkiem kwietnego płatką — mam nadzieję, żeście się najedli.

— Jeszcze jak! — uśmiechnął się chłopiec. — Aż brzuch mi napęczniał.

— I mnie też — dodała Walerka.

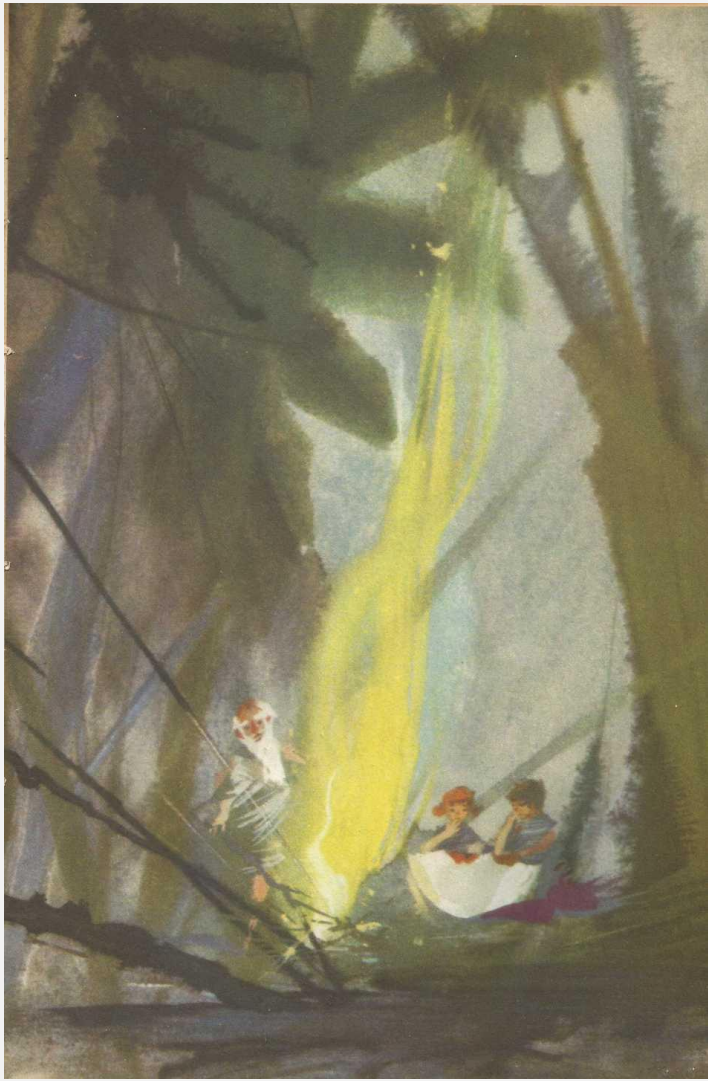
— Świetnie! Znakomicie! — radował się profesor. — Bardzo się cieszę, że jajecznicza wam smakowała.

— Z czego pan ją zrobił? — zainteresowała się Walerka.

— Wiadomo, z czego robi się jajecznicę. Z jajek — przerwał jej Olek. — To zupełnie proste. Ale jak pan rozpałił ognisko? Skąd pan wziął zapalki? I dlaczego ogień strzela słupem, dlaczego jest

zielony i dlaczego pali się bez dokładania chrustu?

— Co, nie podoba ci się ognisko bez gałęzi? Dobrze, to dorzucimy jedno naręcze.



Uczony dorzucił drew, poprawił ogień patykiem i wesoło mrugnął do dzieci.

— Myślicie może, że próżnowałem w nocy? Ani trochę! Całą noc wcinałem smażony boczek z zielonym groszkiem, pierożki na gorąco, befsztyki, barszcz, owoce i torty. Niestety, wszystkie te potrawy podawano mi we śnie. Obudziłem się głodny jak wilk. Zerwałem się więc i pobiegłem szukać czegoś na ząbek. Jednak bałem się oddalać zbyt daleko od naszego wspaniałego mieszkania. Przecież mgła jak mleko. O dwa kroki nic nie widać. Jeszcze, nie daj Boże, można zabłądzić albo zlecieć do jakiejś przepaści... Co robić? Czekać do świtu? Iść na chybił trafił? Pomyślałem sobie, podumałem i postanowiłem rozpałić ognisko. Na szczęście jeszcze wczoraj wieczorem znalazłem w lesie dwa kawałki krzemienia. One też mi pomogły... Nazbierałem suchych gałązek, złożyłem na kupkę i zabrałem się do roboty...

— Jak człowiek przedhistoryczny! — szepnęła Walerka.

— Właśnie — uśmiechnął się uczony. — Muszę wam się przyznać, że praca wcale nie była łatwa i nie mała się namęczyłem, zanim udało mi się zamienić iskrę w ogień... Dopiero teraz zrozumiałem, że nasi przedpotopowi przodkowie wcale nie mieli lekkiego życia.

— Ale dlaczego ogień jest zielony? — dopytywał się chłopiec.

— Dlaczego? No bo pali się gaz. Zwykły torfowy gaz — metan, który w wielu miejscach wydostaje się spod ziemi... Miałem szczęście. Przypadkiem rozpałiłem ognisko w takim miejscu, gdzie pod ziemią zebrało się dużo tego gazu... No, a jajecznicza sama przyszała do ogniska.

Walerka aż jęknęła.

— Sama przyszła?

Profesor popatrzył na nią, z ważną miną pogładził się po brodzie i powiedział:

— Jak tylko ognisko zapłonęło, obok mnie ktoś zaczął się awan-

tutować, krzątać i nagle silny podmuch wiatru zwałił mnie z nóg. Wszystko wokół tak zahuczało, jak gdybym niechcący wypuścił spod ziemi huragan. To był ptak. Huragan był spowodowany jego skrzydłami. Widocznie ogień wypłoszył go z gniazda.

— No i co, nie spalił się?

— Nie, odleciał, a ja zacząłem szukać gniazda. Przecież nie darmo siedział tak cicho.

— No i znalazł pan?

— Oczywiście... Właśnie z tego gniazda wzięłem jajko.

— Czy przypadkiem nie wronie?

— Nie. Według wszelkich oznak to jajko piegży, białe, nakrapiane. Widzieliście kiedy jajka piegży? Są trochę większe od dużych ziarenek grochu. Ale musiałem porządnie się z nim namęczyć. Turlałem je przed sobą jak beczkę i chyba z dziesięć razy musiałem po drodze odpoczywać. Ale jeszcze trudniej było rozbić skorupkę. Tłukłem w nią kamieniem najmniej z godzinę. Wreszcie rozbiłem ją i o mały włos nie utonąłem w białku... Całe szczęście, że zdążyłem odskoczyć na bok.

Profesor szelmowsko spojrzął na słuchaczy.

— No, reszta jest prosta. Białko wylało się samo, a żółtko usmażyłem w skorupce jak na patelni.

Olek nachylił się nad Walerką i coś jej szepnął do ucha. Ta przyzwalająco pokiwała głową.

— Powiedz koniecznie!

Olek wstał, obciągnął na sobie niezapominajkową koszulinę, stanął na baczność i zaraportował z uroczystą miną:

— W imieniu dwojga pionierów wyrażam podziękowanie za smaczną jajecnicę i za ognisko.

Profesor skłonił się.

— Mam nadzieję, że i w przyszłości na coś się przydam.

Dorzucił drewniak do ogniska i stwierdził:

— A w gruncie rzeczy, przyjaciele, nawet w tym świecie lili-putów można żyć wcale nie najgorzej! Czekać, jak tylko się oswoimy, to urządzimy się jakoś przytulniej.

— To pan myśli — powiedział Olek z trwogą w głosie — że my wcale nie wrócimy do domu i zostaniemy już na zawsze tacy jak teraz?

— Nie, wcale tak nie myślę — odparł profesor. — Ale musimy być przygotowani na najgorsze... Burza może zwalić naszą latarnię portową. Albo jakiś ciekawski może zabrać do domu skrzynkę, żeby zbadać jej zawartość... Mało to się zdarza w życiu?

— No i co wtedy?

— Nic szczególnego — uczyony wzruszył ramionami. — Będziemy Robinsonami w trawie... Zresztą, moi drodzy, o ileż nasza sytuacja jest lepsza niż prawdziwego Robinsona! Biedak musiał zakładać całe gospodarstwo, a my mamy wszystko pod ręką. Mleko, jajka, miód, wonny nektar, jagody, mięso. Lato przeżyjemy bez specjalnych kłopotów. A na zimę nasuszymy sobie czarnych jagód, poziomek, grzybów, zrobimy zapas miodu, konfitur, chleba...

— Chleba?

— No pewnie! Posadzimy jedno ziarenko, a plonów starczy

nam na całą zimę.

— A skąd weźmiemy mięso?

— Będziemy jedli owady.

— Owady do jedzenia?

— Wyobraźcie sobie, że tak. Nawet w „dużym“ świecie zjada się wiele owadów. Na przykład szarańczę. Jada się ją smażoną i wędzoną, i suszoną, i soloną, i marynowaną.

Profesor przypomniał sobie coś i uśmiechnął się:

— Kiedy zapytano arabskiego kalifa Omara ben-el-Kotala, co myśli na temat szarańczy, kalif odpowiedział: „Chciałbym jej mieć pełny kosz, wtedy popracowałbym zębami...“ W dawnych czasach, kiedy szarańcza całymi chmarami przylatywała na arabskie ziemie, w Bagdadzie spadały ceny mięsa. Musicie wiedzieć, że z szarańczy robi się mąkę i piecze z niej pyszne placki na oleju.

— Fe, paskudztwo! — z obrzydzeniem splunęła Walerka.

— Wcale nie paskudztwo! — zaprzeczył ze śmiechem profesor. — Po prostu nie jesteś przyzwyczajona do takiego jedzenia. Przecież jemy homary, krewetki, kraby i nawet raki, które żywią się padliną... Jemy, i bardzo sobie chwalimy... Arabowie za to patrzą na tych, co jedzą kraby i raki, ze szczerym wstrętem... Oprócz szarańczy ludzie jedzą także inne jeszcze owady. W Meksyku

tubyłcy zbierają jajka pasiastego wodnego pluskwiaka, którego nazywają „holt“, i uważają je za najlepszy przysmak. Zdaniem znawców, wcale niezła jest cykada *. Ta sama, którą sławił w swojej odzie poeta starożytnej Grecji, Anakreon.

*** Rodzina dużych owadów z rzędu pluskwiaków; samce cykady mają u nasady odwłoka narząd dźwiękowy i wydają**

donośne cykanie. Większość występuje w krajach tropikalnych.

Uczony kaszlnął, uniósł rękę nad głową i zadeklamował pół zwrotki wiersza o cykadzie, a potem, zamyślony, pogładził brodę.

— A zwykli prozaiczni Grecy smażyli tę samą cykadę na oleju i jedli ją z apetytem... Nawet takim owadom jak mrówki też zdarzało się wpadać w łapy kucharzy. Niegdyś we Francji robiono z mrówek sos do mięsnych i rybnych dań. Indianie na przykład bardzo lubią mrówki parasolowe. Smażą je, lekko posolone, na patelni, ale zdarza się, że zjadają surowe.

— A jedzą żuki? — zainteresowała się Walerka. — Według mnie, one są najobrzydliwsze.

— W Egipcie z pewnych żuków przygotowują specjalną potrawę, a jedzą ją kobiety, które chcą utyć.

— To świetnie! — wtrącił Olek. — Teraz widzę, że nie zginie. Uwędzimy szyneczki pasikoników, narobimy kiełbas z motyli, nasolimy beczkę ważek. Trzeba będzie wybudować cały spichrz. Pod sufitem powiesimy szynki i kiełbasy, a wzdłuż ścian poustawiamy beczki z marynowanymi mszycami.

— A co z mrówkami? — zapytała Walerka. — One są takie kwaśne.

— Z mrówek zrobimy pikle... Albo lepiej jakieś przyprawy.

— Wybornie! — profesor gładził się z zadowoleniem po brodzie. — Wprost znakomicie! Więc widzicie, przyjaciele, że wasza przyszłość rysuje się w różowych barwach. Jeżeli coś się nam przytrafi i nie będziemy mogli wrócić do domu, to będzie się nam tu żyło lepiej od wszystkich Robinsonów świata.

— To wszystko pięknie — powiedziała dziewczynka — ale zimą zamrozimy i nasze szynki razem z marynatami pójdą na marne.

— Nie martw się — pocieszył ją uczony — znajdziemy sobie pieczarę z gazowym ogrzewaniem. Zresztą rurami trzcinowymi można ten gaz doprowadzić, dokąd się chce.

— Oczywiście — przytaknął Olek — gaz torfowy da nam ciepło i światło, i... Panie profesorze, będziemy mogli wybudować tutaj całe fabryki i zakłady...

— Co to — to nie, przyjacielu — osadził go profesor — ale moglibyśmy się zająć oswojaniem owadów.

— Hura! — ucieszył się chłopiec. — Będziemy na nich latać, przepływać jeziora!

— Zmusimy je — podchwyciła Walerka — do rycia tuneli, zakładania kanałów i... w ogóle, niech pracują.

— Słusznie — zapalił się Olek — można orać w gąsienice, chrząszcze będą się trudniły wyrębem lasu, a na wążkach będziemy latać.

— A żeby nas nie pożarto — westchnęła Walerka — warto by wykombinować takie domki, jaki ma chruścik, żeby można je było nosić na sobie.

— Powiedziała co wiedziała! — oburzył się chłopiec. — Nie darmo mówię, że jesteś ślimak. Prawdziwy ślimak!

— No to jak będziemy się bronić?

— Pan profesor wymyśli proch — odparł Olek i odwrócił się w stronę uczonego. — Czy pan może wymyślić proch?

— Oj, nie... Prochu chyba nie wymyślę — roześmiał się Jenotów. — Ale mam nadzieję, że i tak nie zginiemy. Bez prochu.

Jestem przecież biologiem, moi kochani. Nieźle znam życie otaczającego nas świata, a ta wiedza jest silniejsza od wszystkich materiałów wybuchowych. No, a teraz, Olku, dorzuć drew do ognia. Przyjemniej siedzieć, kiedy słyszy się trzask płonących gałęzek.

Olek przyniósł naręcze chrustu, rzucił je w zielone płomienie i wyciągnął się na ziemi, w zamyśleniu spoglądając na ogień.

Zapadła cisza, wśród której słychać było tylko trzaskanie gałęzek. Dym sunął do nieba prosto jak słup.

Podróżnicy siedzieli wokół ognia, każdy pograżony w swoich myślach.

Nie mieli dokąd się spieszyć. Dopóki mgła nie zrzednie, posuwanie się naprzód było niemożliwe. Zresztą dokąd iść, w którą stronę? Gdzie jest latarnia? Z przodu? Z tyłu?

— No — zaproponował profesor — zamiast siedzieć beczynnie, może byśmy coś zaśpiewali.

Dzieci spojrzały po sobie ze strachem.

„Wszystko, tylko nie to“ — dało się wyraźnie wyczytać z ich twarzy. Spokojnie słuchać śpiewu Jenotowa mogliby tylko umarli. Na żywych głos profesora działał jak cios obuchem w głowę.

Mrużąc oczy od dymu i zakrywając twarz dłonią, Olek wykręcił się bokiem do ogniska i szybko zagadnął profesora, który już, już miał rozpocząć swój koncert:

— Niech pan nam opowie, w jaki sposób pan się domyślił, co się z nami stało, i jak pan nas odnalazł?

— Bardzo prosto. Przecież wypiliście mi blisko pół szklanki płynu... Oczywiście zauważyłem to od razu.

— Ale...

— Ja też miałem swoje „ale“ — roześmiał się profesor. — Wypić, toście wypili, ale dokąd udaliście się potem? Przez bitą godzinę łąziłem po podłodze z lupą w ręku i nic... Rozumiecie? Ani śladu! Znaczy, że...

— Znaczy, żeśmy wyfrunęli! — przerwała Walerka.

— To zbyt pochopny wniosek — powstrzymał jej zapał Jenotów.

— Przecież myśmy naprawdę wyfrunęli.

— Ale nie miałem podstaw do takiego przypuszczenia, dopóki pies szanownego fotografa Szmidta nie odnalazł waszych kąpielówek i nie wskoczył na parapet... Wtedy przypomniałem sobie, że jak wszedłem do gabinetu, to na parapecie siedziała ważka. I gotów byłem przysiąc, że słyszałem jakieś głosiki, cieniutkie jak komara, które piszczały: „Do nas! Tutaj!“

— Tak, to myśmy krzyczeli.

— Z początku pomyślałem, że się przesłyszałem, ale potem, zestawiając fakty, zrozumiałem: moich łobuziaków porwała ważka i jeżeli chcę ich uratować, to muszę biec do stawu zwanego „Zgniłe Błoto“.

— Ale dlaczego przyszedł pan akurat tu? Przecież ważka mogła nas zanieść do lasu, na pole...

— Nie, nie mogła — uśmiechnął się z wyższością biolog. — Ważki żyją w pobliżu wody. Do wody składają jajeczka, w wodzie się rodzą, w wodzie żyją i rosną ich larwy. Polują także zazwyczaj nie opodal wody. Wprawdzie niekiedy, goniąc swą zdobycz, ważka oddala się od miejsca stałych łowów...

— I to jeszcze jak daleko! — stwierdziła dziewczynka. — Przecież od nas do stawu jest więcej niż piętnaście kilometrów!

— To bagatelka dla ważki. Ona przelatuje nawet siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę i dlatego piętnaście kilometrów to dla niej drobny spacer.

— No więc poszedł pan do Zgniłego Błota...

— Tak — profesor pogładził się po brodzie. — Wiedząc, że wcześniej czy później ważka wróci na miejsce swoich stałych łowów, postanowiłem udać się do Zgniłego Błota. Na szczęście jest to jedyny staw w pobliżu naszego miasta. Znam co prawda jeszcze jeden, ale leży w odległości trzystu kilometrów, dlatego wiedziałem od razu, gdzie was szukać. To wszystko. A teraz — profesor odkaszlnął — zaśpiewamy coś!

— Chwileczkę! — krzyknęła Walerka.

— Co się stało? — profesor spojrział na dziewczynkę wystraszonego wzrokiem.

— A pan nie jest ciekaw, co się z nami działo?

— Ach tak, oczywiście... Bardzo bym chciał to usłyszeć... — bąknął profesor. — No, mówcie. To musi być niesłychanie ciekawe.

Objął dzieci za ramiona i wyciągnął nogi w stronę ogniska. Jedno przez drugie zaczęły opowiadać mu, co się z nimi działo po wypiciu cudownego płynu.

Słuchając opowiadania, profesor z miną pełną zrozumienia kiwał głową i wciąż powtarzał:

— Zupełnie słusznie... Rozumiem...

— I ja też rozumiem — powiedział Olek — tylko jednego nie mogę pojąć.

— O co chodzi?

— Dlaczego w gnieździe wodnego pajaka z początku oddychaliśmy swobodnie, a potem o mały figiel nie podusiliśmy się.

— Nic dziwnego. Sądząc z twego opowiadania, mój drogi, myślę, że dostaliście się w łapy topika, zwanego po łacinie argyronetą, co znaczy „srebrna przędza“ — który buduje swoje gniazdo pod wodą. To gniazdo podobne jest do dzwonu dla nurków. Kiedyś w takich dzwonach nurkowie opuszczali się pod wodę. Ale to gniazdo jest nie większe od włoskiego orzecha. Utrzymuje się pod wodą i nie wypływa tylko dzięki temu, że z boków przytrzymuje je pajęczyna, umocowana do roślin podwodnych.

— Oho! — przerwał Olek. — Ledwośmy się przedostali przez tę pajęczynę.

— Topik przynosi powietrze do dzwonu z powierzchni stawu. Wypływa do góry i wystawia na zewnątrz odwłok pokryty bardzo cienkimi włoskami. Właśnie te włoski chwytają powietrze. Kiedy przestrzeń między włoskami napełniona jest powietrzem, pająk niesie ten balon do siebie, do domku. Zresztą, z własnym powietrzem w walizce podróżują pod wodą rozliczne wodne chrząszcze.

— Na ile czasu starcza mu tego zapasu?

— Na krótko. Zostaje on szybko zużyty. W domku robi się duszno... Pamiętajcie, jakeście się dusili?

— Tak, tak!

— Zazwyczaj podwodny drapieżca po kilka razy wypływa na powierzchnię po świeże powietrze... Jeżeli posiedzieć cicho i cierpliwie na brzegu stawu, można zobaczyć, jak „srebrzysta przędza“ uzupełnia zapasy powietrza.

— A jak go się poznaje? — zapytała Walerka.

— Te pająki są podobne do rtęciowych kuleczek. Wypływają najczęściej w pobliżu szuwarów. Podnoszą się brzuchem do góry, głową w dół. Zostają parę sekund na powierzchni, a potem wolno

opuszczają się pod wodę. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ten pajęczek jest najniewinniejszym stworzeniem na świecie. A w rzeczywistości — to okrutny drapieżnik... Nikomu nie przepuści, ani na dnie, ani na wierzchu.

— To dlaczego nas nie pożarł, tylko przywiesił do sufitu? — zapytała dziewczynka.

— Tak, to bardzo ciekawe — podtrzymał ją brat.

— Mielście szczęście, że pająk był syty. Dlatego też schował was na czarną godzinę. Zresztą, tak samo postępują wiewiórki, lisy, człowiek, wiele ptaków i nic w tym dziwnego... Zjadłby was w jeden z tych dni, kiedy ziąb czy silny upał rozpędziłyby jego zdobycz.

— Teraz rozumiem — powiedziała Walerka. — Nasz pająk był syty, ale u jego sąsiada krucho było z żywnością, dlatego włazł, żeby nas pożreć.

— O nie! — zaprzeczył profesor. — Do waszego pająka przyszedł... wiecie kto?

— Wiem! — krzyknął Olek. — Jego wróg.

— Nie — uśmiechnął się profesor. — Przyszedł... jego narzeczony.

— Narzeczony? Skąd pan wie?

— Te pająki zawsze budują swoje podwodne domki obok siebie: do domku pajęczycy przytwierdza swój domek pająk. Potem przegryza ściankę i przychodzi z wizytą...

— Która nazywa się bójką — uzupełnił Olek.

— Tak, niekiedy rozżłoszczona czymś narzeczona rzuca się na oblubienca i go pożera. Bywa też, że narzeczony jest mocniejszy i wtedy on ją pożera. Ale najczęściej narzeczona przyjmuje kawa-

lera przychylnie i zaczynają żyć w przyjaźni.

Profesor wstał.

— Zdaje się, że czas już szykować się w drogę. Trzeba jeszcze pozbierać wszystkie nasze manatki.

Obmacał rękami pobliskie krzaki i wyciągnął stamtąd wspinały skórzany plecak.

— Oj! — Walerka wytrzeszczyła oczy — a gdzie pan to kupił?

— Nie kupilem — uśmiechnął się pan Jan — ale otrzymałem w charakterze prezentu od pewnego znajomego niesporczaka. Po łacinie *Macrobiotus macronyx*.

— Aha, rozumiem — skinął głową Olek. — Na pana napadł jakiś zwierz i pan go zabił, a potem ściągnął skórę.

— Nic podobnego, *Macrobiotus* nie mógł na mnie napaść w żaden sposób. To zupełnie malusieńkie stworzenie, ma nie więcej ponad milimetr. Ja go także nie napadłem.

— No a worek? A skóra?

— Worek... Widzicie, moi mili, *Macrobiotus* rozmnaża się przez jajeczka, a po to, żeby tych jajeczek ktoś nie pożarł, ściąga z siebie skórę i składa w nią jajka jak do walizki.

— A sam ginie? — zapytała Walerka.

— Nie.

— Jak węże — zauważył chłopiec. — One też zmieniają skórę.

— Tak — przytaknął profesor — tylko że węże zrzucają starą skórę, niesporczak zaś przystosował swoją skórę do obrony potomstwa przed zimnem, upałem i deszczem.

— Jajka pewnie pan wyrzucił?

— Oczywiście. Niestety, nie nadają się do jedzenia.

Profesor otworzył nowy plecak i schował do niego naczynie z jajecznej skorupki oraz resztki jajecznicy, którą starannie zawinął w płatek.

Powiało świeżym wiatrem. Mgła zaczęła się przersedzać. Wiatr pędził ją, jak dym, nad polami i zmiatał w dół, do jarów i parowów.

— No — powiedział profesor przysypując ognisko ziemią — zdaje się, że możemy ruszać. Zbierajcie się, przyjaciele.

— Już jesteśmy gotowi! — Walerka wyskoczyła pierwsza.

— Hm — profesor spojrział najpierw na nią, potem na chłopca, chwilę pomyślał i powiedział: — Chyba musicie się przebrać.

— A w co? — zapytała Walerka, oglądając swoją niezabudkową sukienkę, która zmięta się przez noc, porozdzierała i teraz wisiała w strzępach.

— W taki sam strój, jak ja noszę — odparł profesor. Zrzucił z ramion wymiętoszony, błękitny płaszcz i został w srebrnym ubraniu z pajęczyny.

Dzieci przypomniały sobie, że poprzedniego dnia rzeczywiście profesor ukazał się ich oczom w dziwnym, srebrzystym stroju, ale nie zwróciły wówczas na to specjalnej uwagi. Teraz oglądały ten ubiór, jak gdyby widziały go po raz pierwszy.

— Och, jaki piękny! Z czego on jest? — zapytała Walerka.

— Z pajęczyny!

— Ja też chcę mieć taki! — zawołał Olek.

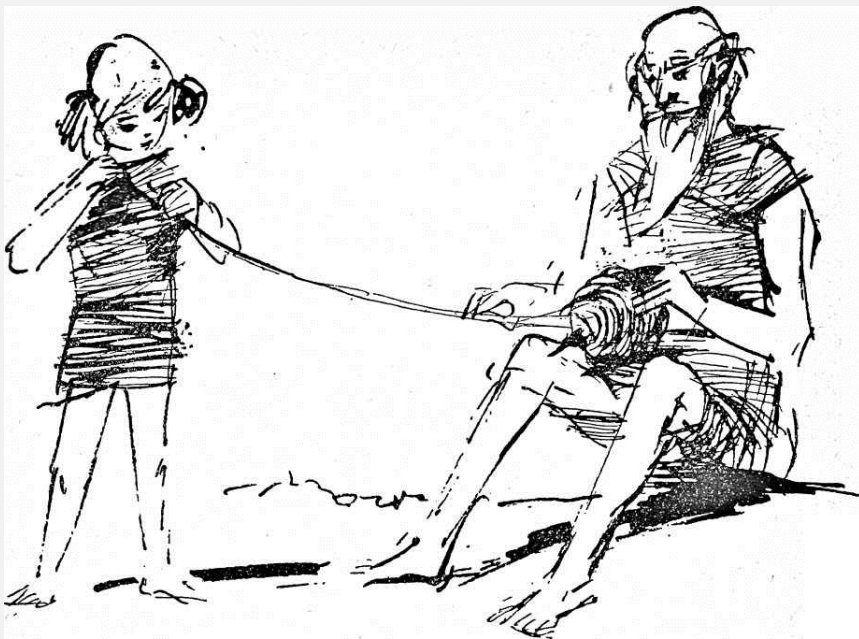
— I ja! — zawtórowała mu siostra.

— Chodźmy! Jeszcze wczoraj widziałem gdzieś niedaleko pajęczynę — zaproponował chłopiec.

— Co to to nie — zaśmiał się uczoney. — Za nic na świecie nie będę odbierał pająkowi pajęczyny i wam też nie radzę... Ubrania znajdziemy dla was w innym sklepie... Chodźcie za mną!

I skierował się w stronę domku chruścika.

Przymglone poranne słońce słabo jeszcze oświetlało domek, ale teraz można już było zobaczyć, że i ściany, i podłoga, i sufit pokryte były gęstą, mocną pajęczyną.



— O proszę, tu są wasze ubrania!

Podszedł do jednej ze ścian i uczepił się jej rękami.

— Hop, siup! — zawołał i szarpnął pajęczynę do siebie tak, że aż ściana zatrzeszczała.

— No, rrraz! — krzyknął jeszcze głośniej.

Pajęczyna odchodziła kawałkami jak zbutwiała tapeta.

Profesor rzucił kilka strzępów dzieciom.

— No, rozwijajcie ją i oczyszczajcie z kleju!

Dzieci wzięły się do ugniatania pajęczyny rękami. Zeschnięty klej kruszył się i odpadał. Olek znalazł koniec nitki i zaczął ją rozwijać.

Jedwabne sznury układały się w równe motki i niebawem u stóp dzieci wyrosła srebrzysta sterta rozplątanej pajęczyny.

— Ależ długachna! — dziwił się chłopiec, rozplätując nić, która zdała się nie mieć końca.

— Bywają jeszcze dłuższe — uśmiechnął się biolog. — Na przykład pajęczynę jedwabnika można rozciągnąć na cały kilometr.

Mówiąc to schylił się, ujął koniec srebrzystego sznura i podał go Walerce.

— Ubieraj się!

— W nitkę? Jak mam się w nią ubrać?

— O, tak!

Pan Jan zrobił na końcu sznura pętlę i zarzucił ją na Walerkę jak lasso, a potem chwycił dziewczynkę za ramiona i zaczął obracać wciąż w jedną stronę.

Nitka w motku drgała i snuła się szybko, nawijając się na Walerkę jak na szpulkę.

— Świetnie! Wybornie! — stwierdził Jenotow, obejrzawszy dziewczynkę. — Mocne, ciepłe i wygodne. Teraz kolej na ciebie, Olku!

Ale chłopiec sam już obwiązał się pajęczyną wokół pasa i zaczął krążyć jak bąk.

Nie minęło pięć minut, a już dzieci były ubrane w długie, srebrzyste bluzy.

— Skoro jesteście odziani — powiedział profesor — to pospacerujcie chwilkę, a ja przez ten czas też się przebiorę.

Dzieci wyszły. Mgła rozproszyła się już zupełnie. Dookoła stał mokry las. Olbrzymie krople wody spoczywały na trawiastych drzewach jak kryształowe kule.

Kiedy Olek z Walerką wyszli za próg, pierwsze promienie słońca prześliznęły się po wierzchołkach gór. Nagle wszystko się rozjarzyło, rozplómięło, zagrało tysiącami różnokolorowych ogni.

Stało się to tak nieoczekiwanie, że dzieci zmrużyły oczy i mimo woli cofnęły się o krok.

Przez parę minut stały w milczeniu i spod przymkniętych powiek oglądały ten dziwny las, obwieszony lśniącymi kulami.

— Żeby to tak można było pokazać naszej mamie! — powiedziała wreszcie dziewczynka.

Olek westchnął.

— Mama teraz parzy kawę...

— I mleczarka na pewno już była — ze smutkiem dodała Walerka.

— Nie, jeszcze za wcześnie. Mleczarka przychodzi o siódmej.

— A która jest teraz?

— Nie wiem.

— Zresztą, wszystko jedno... Wiesz co, Olku, chodź, wleziemy na drzewo i popatrzymy, czy nie ma tam zielonych krów.

— Chodź!

Dzieci podbiegły do drzewa podobnego do baobabu i zaczęły się szybko po nim wspinać, ale w tej samej chwili profesor wysunął głowę z domku i krzyknął:

— Daremny trud, przyjaciele!

— Dlaczego?

— Dzisiaj nawet ze świecą nie znajdziecie nigdzie zielonej krowy.

— A gdzie się podziały? — zdziwił się Olek. — Przecież sam pan mówił nam wczoraj, że mszyce pasą się na każdym drzewie.

— To było wczoraj. Wczoraj w dzień. Wieczorem zaczęło lać i deszcz zmył wszystkie mszyce co do jednej... No, ja już jestem gotów. Chodźmy!

Dzieci spojrzały na profesora i nagle wybuchnęły zgodnym śmiechem:

— Co takiego? — stropił się uczony.

— Och, jak pan... Jak pan się ustroił! — zaśmiewały się dzieci.

Jenotow stał omotany jedwabistym sznurem od stóp do głów. Całą pajęczynę, jaka była w domu chruścika, nawinął sobie na brzuch, na ramiona i na szyję.

— Pan jest podobny do kokonu! — dławiała się ze śmiechu Walerka.

Profesor też się uśmiechnął.

— A ty myślisz, że jesteś podobna do motylka? I ty, i Olek podobni teraz jesteście do małych gąsieniczek. No, ale chodźmy, moi drodzy!

— W którą stronę? — zapytał rozglądając się chłopiec.

Iść można było tylko w jedną stronę. Od domku chruścika ciągnął się wąski pas ziemi, pokryty gęstymi, zielonymi krzewami.

Profesor zarzucił sobie worek na plecy i powiedział:

— To chyba jasne, że trzeba przede wszystkim wydostać się z tego błota, a potem dopiero zastanowić się, co robić dalej. Naprzód!

Machnął ręką i zaśpiewał:

Naprzód marsz, już trębacz dmie

I do boju wzywa!

Wyżej głowy, nie bać się!

Kto mężny, wygrywa!

Gęste poszycie trawiastego lasu było milczące. Ciężkie kule wodne zwiślały nisko nad głowami podróżników — trzeba było iść bardzo uważnie, żeby spadające krople nie zwały się z nóg.

W wyludnionym, cichym lesie spadanie wodnych kul wywoływało taki huk jak wybuch bomby. Jedna z kropel spadła akurat na naszych podróżnych.

— Aj! — pisnęła dziewczynka i rozciągnęła się jak długa.

— Uch! — zawtórował jej Olek, odrzucony na bok.

— To nic, to nic! Poranny prysznic jest bardzo zdrowy — śmiał się profesor, dźwigając się także z ziemi.

Wreszcie słońce stanęło wysoko nad lasem. Gorące promienie jak gdyby podpaliły ziemię. Zaczęła dymić. Para spowinęła całą trawiastą dżunglę. Zrobiło się duszno jak w łaźni.

Koło południa podróżnicy wyszli na skraj lasu. Przed nimi, poprzez rzadkie już teraz drzewa, widać było jakieś żółte pagórki. Jeden z nich sterczał nad ziemią ostrym czubkiem jak głowa cukru,

którą ktoś grubo pozłocił.

— O, z tego wzgórza popatrzymy, gdzie jest nasza latarnia — oznajmił Jenotow.

— Naprzód! — krzyknęła Walerka i pierwsza pomknęła do przodu. — Nazwę ten szczyt „Złotym Wezuwiuszem“.

Profesor z Olkiem pobiegli za nią.

Jednak do Złotego Wezuwiusza wcale nie było tak blisko, jak się zdawało. Podróżnicy dopadli podnóża zasapani, ocierając spoczone twarze.

— Też mi Wezuwiusz! — parsknął Olek.

Była to najzwyczajniejsza w świecie sterta żółtych kamieni, a w dodatku te dziwne kamienie, które lśniły z daleka jak grudki szczerzego złota, okazały się najzwyczajniejszym w świecie piaskiem.

Chwyając się rękami kamieni-ziarenek piasku, podróżnicy zaczęli wspinać się na szczyt.

Słońce stało już wysoko na niebie. Gorące fale płynęły nad ziemią jak przezroczyste powietrzne rzeki.

Rozprażone żółte kamienie parzyły stopy.

Pan Jan potykał się prawie na każdym kroku. Góra pod jego nogami osuwała się, zamieniała się w huczącą lawinę rozżarzonych głazów. Wdrapywać się jego śladami było niebezpiecznie.

Dzieci dopędziły go i poszły obok. Wzgórze stawało się coraz bardziej strome. Mali alpińscy musieli iść na czworakach, czepiając się rękami kamiennych występów.

— Prawie jak zdobywanie Ewerestu — sapał profesor.

Ani Olek, ani Walerka niewiele wiedzieli o Ewercie, ale domyślili się od razu, że to pewnie taka sama góra jak ta, na którą

się teraz wdrapują.

No, nareszcie są na szczycie!

Zlani potem alpiniści wdrapali się na sam czubek. Profesor wyprostował się, osłonił oczy dłonią i zaczął się rozglądać dookoła.

— No, no — mruzczał pod nosem — teraz popatrzmy, gdzie jest nasza latarnia, gdzie...

Ale nie skończył. Ziemia pod jego nogami zaczęła się osuwać. Dzieci rzuciły się na pomoc. Ale wzgórze drgnęło i nagle rozdziawiło się jak paszcza.

Profesor, a za nim dzieci, polecili na złamanie karku wąskim, pochyłym korytarzem. Za nimi posypały się kamienie i ciężkie bryły ziemi.

Walerka pisnęła. Olek wpadł na profesora i wszyscy z wielką siłą wbili się w mokre, grzańskie dno.

Jenotow oprzytomniał pierwszy. Stękając i utyskując, wydostał się z gęstej, lepkiej mazi i rozcierając krzyże, posępnie zażartował:

— Opóźniony skok bez spadochronu. Składam gratulację z powodu pomyślnego lądowania. Wstawajcie, przyjaciele!

Wytarł dłonie o kostium, troskliwie obejrzał dzieci, które grzebały się jeszcze w błocie, i zapytał:

— No, jak tam? Wszystko w porządeczku? Jak ci, Walerko? Nie uderzyłaś się?

— Nie — odparła Walerka, wstając — tylko-, zdaje się, że starłam sobie skórę z łokcia.

— A ty, Olku?

— Rozbiłem sobie kolano.

Rozcierając bolące miejsca, dzieci ze strachem rozglądały się

po ciemnych ścianach wąskiej studni.

— To wszystko głupstwo — pocieszył ich profesor. — Go-rzej, że zgubiłem worek z naczyniami i prowiantem.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Walerka.

— Zaraz się dowiemy — mruknął uczoney, zadzierając brodę do góry.

Gdzieś hen! daleko nad głowami jaśniało niebo. Błade światło dzienne padało na wysokie, strome ściany, lecz na grzaskim dnie głębokiej, ponurej studni było prawie całkiem ciemno.

— Zdaje mi się — odezwał się Olek — żeśmy wpadli do nory pająka-omatnika. To bardzo groźne stworzenia. Czytałem o nich w książce.

— Co? — dziewczynka aż drgnęła. — Znowu pająki? I w powietrzu, i na ziemi, i pod wodą, i pod ziemią — wszędzie pająki?

— Uspokój się — pocieszył ją profesor — omatniki, o których mówi Olek, żyją we Włoszech i na południu Francji. U nas nie ma ich wcale.

— No to czyja to jest nora?

Profesor nic nie odpowiedział. Poskubując brodę obszedł studnię wkoło, postukał pięścią w ściany i mruknął zamyślony:

— Tak, tak... To ona... Pszczolinka-andrena.

— Jaka znów antena? — skrzywiła się Walerka.

— Tak, tak... tak mi się zdawało... Wszystko w porządeczku, przyjaciele! Nic nam nie grozi. Tym razem wpadliśmy bardzo korzystnie, bo trafiliśmy do cukierni.

Oczy Walerki zrobiły się zupełnie okrągłe ze zdumienia.

— To tutaj — powiedziała nieśmiało — można będzie dostać torty i ciastka?

- Tak! — uśmiechnął się profesor.
- Ale gdzie to wszystko jest? Widzę wyłącznie błoto.
- Chwilka cierpliwości!

Profesor uderzył pięścią w ścianę.

- Sezamie, otwórz się!

Ściana zahuczała, jak gdyby trzepnął w denko pustej beczki.

- Nie otwiera się — Walerka oblizła ukradkiem wargi.

— Nic dziwnego — znów uśmiechnął się profesor. — Przecież to tylko w bajkach wszystko się dzieje za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. My zaś musimy trochę się potrudzić. Kopcie ziemię o tu, w tym miejscu.

Pan Jan podszedł do ściany i zaczął w niej ryc jak turkuć podjadek, odrzucając rękami ciężkie, zlepione grudki.

Dzieci rzuciły się na pomoc. Szczególną gorliwością odznaczał się Olek. Spod jego rąk wprost fruwały kamienie i bryły ziemi.

— Pomału, pomału! — mitygował go profesor. — W ten sposób zupełnie nas zasypiesz. Ostrożniej! Nie ma co się tak śpieszyć!

Olek miał już odpowiedzieć, ale w tej chwili ściana drgnęła, do nóg podróżników posypały się kamienie i wszyscy zobaczyli głęboką niszę w ścianie.

W powietrzu zapachniało świeżo upieczonymi piernikami.

— Co to? — Walerka znów się oblizła. — Pachnie jak pod choinką.

— To właśnie jest cukiernia — wyjaśnił Jenotow, schylając się. — A teraz odsuńcie się trochę na bok. Tak, świetnie.

Wsadził w otwór obydwie ręce i, szeroko rozstawiwszy nogi, zaczął ciągnąć coś do siebie z całych sił.

— Mam cię, mam! — zatriumfował nagle.

Nateżył się jeszcze mocniej i wyciągnął z niszy wielką, szarą kulę posypaną jak pudrem mialkim, żółtym piaskiem.

— No, to już wszystko — powiedział i ostrożnie położył kulę na ziemi.

Oстрыm kamieniem zdrapał z niej drobny żwirek i z trudem oderwał z wierzchołka coś białego.

Było to jajko, podobne do gęsiego, tylko bardzo wielkie.

— Oho! — ucieszył się Olek. — Znów jajecznicą!

— Nie, z tego jajka nie zrobi się jajecznicę — roześmiał się profesor. — Lepiej zajmijmy się tym oto — i poklepał dłonią kulę, podobną do wielkiego bochna. — Tort kwiatowy — oznajmił.

Wytarł ręce o siebie, uskubał kawałek ciasta i wsadził je do ust. Uniósł wysoko brwi, a na twarzy ukazał mu się uśmiech pełen zadowolenia.

— Niezłe — powiedział po chwili — wcale niezłe. Częstujcie się, moi kochani!

Wonne, lekkie ciasto pachniało miodem i kwiatami, po prostu rozpływało się w ustach.

— Co za pycha! — wpadła w zachwyt Walerka. — O wiele lepsze od tortu z kremem.

— Tyś się zwyczajnie wygłodziła — odparł profesor. — Zresztą nic dziwnego... Przecież jedliśmy śniadanie, kiedy była prawie noc, a teraz dochodzi południe.

— Nie, to naprawdę przepyszne! — zapewniała go dziewczynka.

— Ale co to jest? — ledwo zdołał wymówić chłopiec, tak

miał usta zapchane pachnącym ciastem.

— Pylek kwiatowy z miodem — wyjaśnił profesor.

— A dlaczego znalazł się w studni?

Profesor podniósł z ziemi białe jajko pokryte elastyczną skórką i podrzucił je na dłoń.

— O, dlatego. Tort był przygotowany dla larwy, która wyjdzie z tego jajka, a ulokowała tutaj i jajko, i tort podziemna pszczoła, andrena.

— Jeżeli ona jest podziemna — oświadczyła Walerka — to musimy czym prędzej stąd zmykać.

Profesor ją uspokoił.

— Podziemną nazywa się ją dlatego tylko, że robi sobie gniazdo pod ziemią, ale dorosła pszczoła żyje tam, gdzie ważki, muchy i komary. Co prawda to można niekiedy znaleźć jej gniazdo także i na powierzchni ziemi, w spróchniałych pniach, w zwalonych drzewach, ale najczęściej jednak w ziemi. Dlatego też uczni nazywają ją pszczołą podziemną.

Profesor opowiedział dzieciom, jak z jajek wylęgają się larwy, jak się odżywiają przygotowanym dla nich smacznym tortem i jak się potem przemieniają w skrzydlatą pszczolinę-andrenę.

— W każdym gnieździe andreny leży po kilka takich tortów. Jeżeli macie ochotę, to zaraz wydobędę jeszcze jeden.

Dzieci nie mogły powstrzymać się od śmiechu.

— Czy to my słonie? Przecież i tego nie zjemy... Lepiej zmykajmy stąd, zanim ta antena wróci do domu.

— Po pierwsze nie antena, tylko andrena — poprawił pan Jan. — A po drugie, przecież już wam mówiłem, że jak pszczoła wykopie gniazdo, złoży jajka i przygotowuje dla swego potomstwa

pożywienie, to już tu więcej nie zagląda. Nie ma tu nic do roboty. Pewnie, że i my nie mamy po co tu pozostawać. Posililiśmy się — i do widzenia!

Profesor podszedł do pochyłej ściany i czepiając się korzeni, zaczął się wdrapywać do góry. Dzieci ruszyły tuż za nim, zwinnie jak małpy.

Z trudem, krok za krokiem wspinali się po ścianie studni ku wielkiemu, okrągłemu otworowi, nad którym widać było niebieskie niebo. Co pewien czas zatrzymywali się, chwilkę odpoczywali, a potem znowu pięli się do góry. Kamienie osuwały się spod nóg i z hukiem spadały na dno pszczelego gniazda.

Profesor pierwszy dobrnął do skraju studni. Było tu widno i gorąco.

— Uf! — westchnął zasapany. — Ale wspinaczka! No, dzieciarnia, nie pozostawać mi w tyle! Ja, staruszek, prędzej od was uporałem się z tym!

Pochylił się nad ciemną studnią i wyciągnął ramiona:

— Chodźcie, to wam pomogę.

Ale nim Olek zdążył chwycić go za rękę, pan Jan podskoczył jak piłka. Wysoko nad studnią mignęły jego pięty i błyskawicznie zniknął z oczu.

Przerażony Olek przywarł do ściany.

— Tsssss!

— Co się stało? — zapytała siostra.

— Porwał go ptak! — szepnął Olek. — Wielki, ogromny, ze skrzydłami.

Walerka zadrżała.

— Widziałeś?

— Tak, widziałem skrzydła... Wielkie... Jak żagle!

Dzieci spojrzały po sobie. W oczach dziewczynki zakręciły się łzy.

Olek powiedział:

— On i tak mu się wyrwie!

Walerka zaczęła cichutko płakać.

— Przestań beczeć! On się na pewno wydostanie — pocieszał siostrę Olek i ostrożnie wysunawszy głowę ze studni, krzyknął na cały głos:

— Panie profesorze!

Odpowiedzi nie było.

Walerka otarła łzy piąstką i powiedziała z nagłym postanowieniem:

— Musimy stąd wy leźć!

— Musimy! — zgodził się Olek.

Pomagając sobie wzajemnie, dzieci wydostały się na górę.

Stały teraz na szczycie Złotego Wezuwiusza. Nie opodał, na ziemi, leżał woreczek profesora z resztkami zapasów i skorupkowych naczyń. Przed nimi rozciągała się poorana wzgórzami, żółta pustynia. Z tyłu, niczym zielone morze, szumiała trawiasta dżungla, przez którą podróżnicy przedzierali się cały ranek. Po prawej i po lewej stronie błękitno połyskiwały wody o brzegach porośniętych wysokim lasem trzciniowym.

Ale profesora ani śladu.

— Panie profesorze, gdzie pan jest? — krzyknęła Walerka.

Nadstawiała uszu. Cisza.

— Panie profesorze!

Za całą odpowiedź tylko wiatr smętnie zaszumił nad szczytem góry, a okrzyk dziewczynki powtórzyło różnymi głosami echo, ginąc za wzgórzem.

— Krzykniemy razem — zaproponował Olek.

Dzieci wzięły się za ręce i wrzasnęły:

— Panie profesorze!

„O-0“0-0rze!“ — przedrzeźnia je echo i zamilkło.

Walerce pociekły ciurkiem łzy. Zasłoniła twarz rękami i zaczęła szlochać na cały głos. W tej samej chwili poczuła ostry podmuch powietrza... odrzucił ją na bok tak, że zatoczyła się po kamieniach.

Kiedy wreszcie stanęła na nogi i rozejrzała się dokoła, Olka nie było już na szczycie góry. A przecież dopiero co stał tutaj, przy tym okrągłym kamieniu...

— Olku! — w najwyższym przerażeniu krzyknęła dziewczynka. — Olku, gdzie jesteś? Po co mnie straszysz?

Wysoko, wysoko, jak gdyby gdzieś pod obłokami, odezwał się ktoś słabiutkim głosikiem:

— Walerko!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W ŁAPACH SKRZYDLATEGO POTWORA. PODRÓŻNICY SPOTYKAJĄ SIĘ W DZBANKU. DREWNIANY MONT BLANC. ŻYWE KONSERWY. OLEK I WALERKA ROZSTAJĄ SIĘ Z PROFESOREM

Zrozpaczona Walerka miotła się tu i tam po zboczach wzgórza. To zbiegała na dół, to znowu wracała na górę, zaglądając do ciemnej studni.

— Olku! — wołała. — Panie profesorze!

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Boże, gdzie oni mogą być? — szeptała bezradnie.

Biedaczka goniła resztkami sił. Wreszcie usiadła na gorącym kamieniu, ścisnęła głowę dłońmi i rozszlochała się w głos.

Poprzez łyzy, jak przez zmętniało od deszczu szyby, widziała, jak nad nią fruwały olbrzymie, skrzydlate stworzenia. Przelatywały blisko, tuż-tuż. Ich skrzydła wzniecały silne ruchy powietrza. Walerka wciągała głowę w ramiona, przyginała się do ziemi i z przerażeniem obserwowała loty skrzydlatych potworów.

A one to podrywały się wysoko, to znów ze świstem spadały na ziemię. Złożywszy przezroczyste, lśniące skrzydła i wygiąwszy pasiaste odwłoki, niezdarnie pęzły po piasku, a potem, porwawszy coś z ziemi, znów wzbijały się w powietrze.

Jedno z tych stworzeń przypełzło nawet zupełnie bliźutko do Walerki tak, że zaczęło o nią skrzydłem. Od mocnego pchnięcia spadła z kamienia. Pasiasty zwierz szybko obrócił się ku niej i za-

czął się jej przyglądać błyszczącymi, wylupiastymi oczyma.

Dziewczynka zamarła.

Zwierzę bez pośpiechu polazło dalej. Ale jak tylko Walerka poruszyła się, straszycie zaraz do niej skoczyło i zatrzymało się, kiwając nad samą jej głową wielkimi wąsiskami.

Walerka zlodowaciała ze strachu. Wstrzymując oddech, patrzyła na olbrzymie wąsiska szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Potem nie widziała już potwora, ale czuła, że znajduje się zupełnie blisko.

Nastąpiła chwila ciszy, przerywana tylko jej własnym oddechem. Wreszcie Walerce zdawało się, że potwór odpełza, ciężko przesuwając po ziemi swoje cielsko i oddalając się z każdą chwilą.

Skoczyła na równe nogi. Drżała na całym ciele, mokrym od potu. Machnęła rękami i z piskiem rzuciła się na dół ze wzgórza. W tej chwili wokół jej ciała zacisnęły się czepliwe, kosmate łapy. Ostra igła przekłuła pajęczynową bluzę i zdarła skórę na plecach. Bardzo to zabolalo, ale Walerka nawet nie zdążyła krzyknąć. Nad jej głową zahuczały, zatrzeszczały skrzydła i... znalazła się w powietrzu.

Mocne łapy przyciskały ją do włochatego brzuszyska, które to się kurczyło, to znów rozdymało jak miech kowalski. Walerka usiłowała wykręcić głowę i popatrzeć, co to za potwór ją złapał, ale gdy tylko zrobiła niedostrzegalny prawie ruch, kleszcze zacisnęły się wokół niej z żelazną siłą.

Jęknęła z bólu. Zaczęła wołać:

— Na pomoc!

Świst wiatru zagłuszył jej głos. Krzyczała, aż ochrypla, ale sama nawet nie słyszała swego krzyku.

W dole przepływały zielone łąki i lasy, ciągnęły się bez końca żółte piaski.

Coraz dalej odlatywała Walerka od studni, gdzie mógłby ją znaleźć Olek albo profesor.

Dokąd ją teraz porwie ten straszny, skrzydlaty zwierz? Co pocznie sama jedna wśród nieprzebytych, trawiastych dżungli? Jak znajdzie drogę do domu i czy w ogóle wróci kiedyś do wielkiego, przyjaznego świata?

Walerka zręcznie wykręciła głowę i z całej siły wbiła zęby w mocną, sprężystą łapę. Łapa była gładka jak polerowane drzewo. Zęby się po niej tylko ześliznęły.

W tej samej sekundzie chwytliwe kleszcze mocniej ścisnęły biedaczkę. Walka z potworem była bezcelowa. Mógł ją rozgnieść jak muchę.

— Umrę — biadała Walerka — umrę i nikt nawet nie dzie wiedział, że umarłam!

Zrobiło się jej tak żal samej siebie, że rozszlochała się w głos.

Niebawem łzy obeschły. Oczy stały się takie suche, jak gdyby wyciśnięto z nich wszystkie łezki, co do jednej. Walerka znów zaczęła się wyrywać i wrzeszczeć:

— Puść! Czegoś się przypiał? Co, może cię zaczepiam? Puść! Idź sobie! Odwal się!

Ale skrzydlaty stwór leciał ciągle naprzód, świszcząc twardymi, trzeszczącymi skrzydłami, które wydawały dźwięk jak piła tartaczna.

Nagle zwierzę lotem ślizgowym opuściło się, zatrzepotało w powietrzu skrzydłami i wyciągnawszy do przodu łapy ugniatające zdobycz, wsunęło ją, jak do pieca, do jakiegoś ciemnego

otworu.

Dziewczynka stuknęła głową o coś twardego i na złamanie karku potoczyła się w dół jak z oblodzonej góry.

„Zginęłam“ — zdążyła pomyśleć. Zamknęła oczy ze strachu i nagle poczuła, że znów porwały ją jakieś łapy.

— Aj! — wrzasnęła, broniąc się rękami i nogami.

Gdy przerażona otwarła oczy, zobaczyła, że łapy, które ją trzymają, to wcale nie łapy, tylko ręce starego profesora.

— Panie profesorze, to pan?

— Ja, Walerciu, ja — tkliwie odparł uczony, stawiając ją na pochyłej podłodze.

— Ja też tu jestem — usłyszała obok siebie głos Olka.

— Gdzieśmy wszyscy trafili? — jęknęła dziewczynka.

— Dobrze już, dobrze, zorientujemy się w tym później — powiedział Jenotow. — Najważniejsze, że jesteśmy znowu razem.

Walerka, oszołomiona, rozglądała się na wszystkie strony. Zobaczyła w półmroku gładkie ściany, stromo pnące się do góry. Sufitu wcale nie było. Z góry, przez szeroki, okrągły otwór, wpadały blade promienie słońca. W smugach światła krążyły cząsteczki pyłu.

Więzienie, w którym znaleźli się podróżnicy, było podobne do długiego dzbana. Tylko że ten dzban nie stał prosto, lecz pochyło, tak jak gdyby padając zaczepił o coś i zawisł w powietrzu.

Walerka patrzyła to na ciemne ściany, to na profesora, to na brata.

Jak tutaj trafili? Kto wsadził ich do tego olbrzymiego dzbana? Czyżby ten sam potwór, który i ją tutaj przy taszczył?

Zaczęła się wypytywać, ale profesor jej przerwał:

— Potem, potem — powiedział nachmurzony. — Teraz nie czas na paplanie. Jeżeli natychmiast nie wydostaniemy się na swobodę — jesteśmy zgubieni. No, dalej, dzieci! Spróbujmy!

I stanawszy na czworakach, zaczął powolutku piąć się po stromej ścianie. Za nim Olek i Walerka.

Wspinaczka była bardzo trudna. Ręce i nogi ślizgały się jak po lodzie. Profesor prawie już był dotarł do brzegu dzbana, ale nagle kolana mu drgnęły, dłonie obsunęły się i poleciał z hukiem na dno, pociągając za sobą dzieci.

— Nie udało się — powiedział, stając na nogi. — Spróbujemy od nowa.

Jeszcze parę razy próbowali się wydostać, ale wysiłki spełzały na niczym.

— Nie wyjdziemy stąd — orzekła ze smutkiem dziewczynka.

— Cicho bądź! — zirytował się profesor.

Zmierzył oczami odległość od skraju dzbana do podłogi, obejrzał Olka od stóp do głowy i powiedział stanowczo:

— Właż mi na ramiona!

Olek podskoczył jak piłka, objął profesora za szyję i szybko wdrapał mu się na ramiona.

— A teraz spróbuj sięgnąć do góry.

Chłopiec zaczął się ostrożnie rozprostowywać. Opierając się rękami o ścianę, wyprostował zgięte kolana i wreszcie stanął na całą wysokość.

— A teraz postaw nogi na moich dłoniach — powiedział profesor, podstawiając ręce.

Olek postawił jedną, a potem drugą nogę na dłoniach profesora.

— Nie zlecisz?

— Nie zlecę!

Profesor, stękając, zaczął wypychać Olka do góry jak ciężką sztangę.

— Dobra! — krzyknął Olek, chwytając się nierównych brzegów dzbana.

— Wspaniale! Podciągnij się jeszcze wyżej!

Wyginając się jak wąż, Olek zaczął podciągać się na rękach, mocno opierając się piętami o dłonie profesora.

— No, no, no! — zachęcał go pan Jan.

Wreszcie chłopiec podskoczył i zgrabnie usiadł okrakiem na brzegu dzbana.

— Cudownie! — powiedział profesor. — A teraz bierz Walerkę.

Chwyć dziewczynkę z podłogi i podaj ją bratu. Potem zaczął szybko rozkręcać pajęczynę, którą był owinięty. Gdy doszedł do połowy ubrania, zrobił pętlę na końcu pajęczynowej liny.

— Łapcie! — krzyknął, rzucając ją dzieciom.

Olek złapał linę i zarzucił pętlę na występ dzbana.

— Gotowe! — zawołał wesoło.

Uczony szarpnął pajęczyną, żeby się przekonać, czy jest dość mocna, po czym chwycił ją oburącz i wolno zaczął pełznąć do góry, przesuając się pomału wwyż. Ciężko dysząc i sapiąc, wdrapał się wreszcie na skraj dzbana.

Podróżnicy spojrzeli w dół.

Dzban, z którego się wydostali, był przymocowany do olbrzymiego kloca pokrytego rudawymi wypukłościami. Od tego kloca szły we wszystkie strony cieńsze beleczki, z których zielonymi

pęczkami sterczały długie lance. W prześwitach widać było bardzo daleką ziemię.

Profesor uśmiechnął się:

— Jesteśmy — powiedział — na najzwyklejszej w świecie gałęzi sosnowej.

— Naprawdę? — Walerka z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Tak, na sosnowej gałęzi, takiej, jakie widziałas w swoim życiu na pewno tysiące razy. Gałąź pozostała taką, jaka była, tylko ty jesteś o wiele mniejsza. Dlatego wszystko wydaje się takie zdumiewające.

— No dobrze, jak gałąź to gałąź — zgodził się Olek — ale jak zejdziemy z niej na ziemię? Bez spadochronu nie da rady.

— Obejdziemy się bez spadochronu — zapewnił go Jenotow. Poklepał się ręką po ubraniu i zmrużył szelmowsko oko.

— A wyście się wyśmiewali z mego stroju! Nie, moi drodzy, dla takich ubogich podróżników, jak my, każda nitka — to skarb.

Profesor znowu zaczął rozwijać srebrzystą pajęczynę, w którą był ubrany.

— Mamy się także rozbierać? — zapytała Walerka.

— No pewnie! Mego kostiumu będzie za mało.

Dzieci wzięły się do roboty. Odwijały pajęczynę i starannie układały ją przy sobie.

— Spieszcie się, spieszcie, przyjaciele — popędział Jenotow. — Ten zwierz, który nas tutaj przyciągnął, niebawem wróci, a wtedy koniec z nami.

— My już! — krzyknęła Walerka.

— To świetnie, spróbujcie teraz skrócić z nici grube powrozy.

— Jak to się robi?

— Bardzo prosto. O tak — i profesor pokazał im, jak trzeba skręcać liny.

Pomagając sobie wzajemnie, podróżnicy szybko skręcili z pajęczynowych nici sznurki, z tych zaś — gruby powróż.

Wreszcie wszystko było gotowe. Profesor zwinął linę, okręcił jeden jej koniec dookoła ostro zakończonego brzegu dzbana; a cały zwój zrzucił jednym kopnięciem na dół.

Ciężki zwój prześliznął się pomiędzy gałęziami i pomknął w dół, rozkręcając się w locie w długą, węzlastą linę.

— Pierwsza zjeżdża Walerka — zarządził Jenotow.

— Dlaczego ja?

— Nie czas teraz na sprzeczki — ofuknął ją pan Jan.

— No dobrze, już dobrze — śpiesznie zgodziła się dziewczynka. — Już zejdem pierwsza, tylko niech się pan nie gniewa!

Odważnie chwyciła się za linę i szybko zaczęła zjeżdżać w dół.

— Szczęśliwej drogi! — machnął ręką biolog. — Jak będziesz na dole, to przytrzymaj koniec.

— Przytrzymam! — odkrzyknęła Walerka, ślizgając się po linie.

Profesor i Olek pochylili się i bez słowa śledzili ruchy swej małej towarzyszki.

— Nie tchórz! — krzyknął brat.

— Ani mi się śni! — rozległ się z dołu cienki głosik.

Spokojnie ześlizgiwała się od węzła do węzła, gdy nagle dmuchnął wiatr. Dziewczynką zakołysało jak wahadłem. Kurczowo uczepliła się węzła i, zadarłszy głowę, rozpaczliwie szukała wzrokiem profesora.

— Zjeżdżaj dalej! — krzyknęli razem Jenotow i Olek.

Wiatr coraz mocniej targał sznurem. Walerka zataczała szerokie kręgi nad przepaścią.

— Dalej! Dalej!

Dziewczynka zmrużyła oczy i znów zaczęła się ślizgać od wężła do wężła. Wreszcie dotknęła stopami czegoś twardego. Był to najniższy konar sosny, który wydawał się szerszy i znacznie grubszy od innych gałęzi. Walerka mogła swobodnie po nim spacerować jak po szerokiej alei.

— Jestem na miejscu! — krzyknęła, patrząc w górę. Wysoko w górze wisiał olbrzymi dzban. Na samym jego skraju siedzieli profesor i Olek i coś tam wołali. Walerka nadstawiła uszu:

— Przytrzymaj linę! — wrzeszczał brat.

Walerka złapała koniec sznura. Lina drgnęła, potem się wyprężyła. Zjechali po niej najpierw Olek, a za nim profesor i stanęli obok Walerki.

— No, stąd na ziemię nie jest już tak daleko— oznajmił biolog, spoglądając w dół. — Popatrzmy teraz, z której strony jest nasza latarnia.

Rozejrzał się uważnie w prawo, w lewo, i zawołał:

— O tu!

— Gdzie? Gdzie? — Walerka z Olkiem, jak na komendę, wyciągnęli szyje.

Poprzez zarośla z sosnowych igieł zobaczyli hen! na horyzoncie tykę z czerwonym sztandarem.

Ale jak daleko! Wydawał się teraz taki maciupęński jak choraągiewki na dziecinnych stateczkach.

Wala zmrużonymi oczami popatrzyła na latarnię, na Olka, na

profesora i ciężko westchnęła.

— Nie dojdziemy tam! Nawet za rok. Teraz jesteśmy tacy małeńcy, a to tak daleko!

— Tak — wycedził przez zęby profesor — trzeba będzie iść ze dwa miesiące albo i ze trzy.

— Trzy miesiące? Przecież wkrótce nadejdzie zima! Trzeba będzie wybudować jakiś dom...

— Hm... Możliwe... Ale na co my czekamy? Chodźmy po tej gałęzi do pnia sosny.

Rozejrzał się raz jeszcze i pewnym krokiem poszedł naprzód. Za nim poczłapały dzieci. Podróżnicy wdrapywali się na ciemnoczerwone pagórki z kory sosnowej, skakali przez wąskie, ale głębokie rozpadliny.

Wreszcie dotarli do prostopadłej ściany. To był właśnie pień.

Czerwonobrunatne zwały kory piętrzyły się jeden nad drugim, pomiędzy nimi biegły głębokie wąwozy. W niektórych miejscach wąwozy obrosły gęstymi krzaczkami.

— Teraz odpoczniemy, dzieci — oświadczył biolog, sadowiąc się wygodnie — a potem zejdziemy po pniu sposobem mrówek.

Dzieci spojrzały w dół i cofnęły się mimo woli.

— Boję się! — szepnęła dziewczynka.

— A jednak będziemy musieli zejść — powiedział nieubłaganie profesor.

Walerka przytuliła się do czerwonego występu kory i pokręciła głową.

— Nie martw się, to nic strasznego — pocieszał ją profesor. — Alpiniści wążą jeszcze wyżej, na bardziej strome szczyty, no i oczywiście schodzą w dół. A jaka jest ta ich wspinaczka! Co rusz

lodowce, oczy łzawią od wiatru, łyzy zamarzają na policzkach. Brrr! Aż strach pomyśleć! No a z naszego drewnianego Mont Blanc wcale nie tak uciążliwie się schodzi!

— Trudno, jakoś trzeba zejść! — westchnęła Walerka.

— Pewnie że zejdziemy — podtrzymał ją brat. — Wszystko jedno, przecież nie ma innej drogi na ziemię. A więc schodzimy po pniu.

Profesor odwinął jeszcze kawałek swego ubrania, skręcił mocny sznurek i podał koniec Walerce.

— Znowu pójdziesz pierwsza — powiedział. — Owiń sobie sznurek wokół pasa i mocno się go trzymaj. Po tobie pójdzie Olek, a ja na ostatku.

Zrobił pętlę ze sznura i zarzucił ją na ramiona chłopca.

— Uwolnij teraz ręce! Ot tak!

Olek podniósł ręce, osunął pętlę do pasa, zaciągnął mocno.

— No, to jesteśmy gotowi — powiedział biolog.

Podróżnicy zaczęli schodzić.

Walerka, idąc pierwsza, obmacywała grunt nogami, a kiedy stawiała stopę na występie kory, wołała:

— Stoję! Można popuścić trochę sznura!

Linę luzowali. Po Walerce schodził jej brat. Profesor czekał stojąc na rozkraczonych nogach i przytrzymując linę. Bacznie śledził wzrokiem każdy ruch dzieci.

Jak tylko stawały mocno na jakimś płacie kory, Jenotow zrzucił im linę, a sam, chwytając się występów, ostrożnie zsuwał się do nich.

W ten sposób przebyli już prawie połowę niebezpiecznej drogi. Ziemia zbliżała się z każdym krokiem. Można już było dojrzeć

wężlaste pnie lasu.

— Jak jeszcze daleko! — burknął uczony. — Chyba nie do-
trżemy na ziemię wcześniej niż za jakie dwie godziny.

Wszyscy byli bardzo zmęczeni. Ramiona i dłonie mieli podra-
pane, w sińcach i rankach. Ręce i nogi im drżały. Trzeba było od-
począć.

Zatrzymali się na jednym z dość obszernych płatów kory.

— Popas! — skomenderował profesor, padając z wyczerpania.

Dzieci usadowiły się obok niego.

Uczony leżał, ciężko dysząc, i co chwila ocierał mokrą od potu
twarz. Olek i Walerka siedzieli z nogami zwieszonymi nad prze-
paścią. Wszyscy milczeli.

Nagle Walerka podskoczyła, machając rękami:

— Aj! Patrzcie tylko! Co to?

— Co? Gdzie? — zerwał się profesor.

W tej chwili zobaczył olbrzymi łeb pokryty lasem szczeciny.
Krótkie, ale chwytliwe łapy czepiały się krawędzi placyku, na któ-
rym odpoczywali. Wreszcie całe zwierzę wlaźło i wyginając kos-
mate, długie ciało, popęzło w górę, przebierając licznymi nogami.
Za nim zjawilo się następne, takie samo kosmate i długie, po nim
jeszcze jedno, i jeszcze.

— Nie bójcie się — uspokoił ich biolog, siadając na występie
kory. — To tylko gąsienice barczatki sosnowki. Nas one nie ruszą.

— Ja się ich mimo wszystko boję — szepnęła dziewczynka.

— Coś ty taki tchórz? — ofuknął ją brat. — Jak ci się mówi,
że nas nie ruszą, to nie ruszą... Czym one się żywią? — zapytał
profesora.

— Zielonym igliwem i młodymi pędami sosny.

— No, widzisz. To są gąsienice-jarosze. Możesz je nawet pogłaskać.

Ale Walerka odsunęła się na wszelki wypadek. Profesor podszedł do niej z uśmiechem, poklepał ją po ramieniu i powiedział:

— Nie bój się, nie bój, kochanie. Zaraz popelzną sobie dalej. My im nie jesteśmy potrzebni do szczęścia. Jarosze dobierają się do igliwia i do młodych pędów i dadzą im się ciężko we znaki. Znam je doskonale, kiedyś nawet o nich napisałem książkę.

— O gąsienicach?

— Nie ma w tym nic dziwnego. Te gąsienice — to prawdziwa leśna szarańcza. Zbierają się w niezliczone gromady i pożerają lasy iglaste jak szarańcza zboże. Kiedyś oglądałem las, po którym przeszły barczatki sosnowki. Był do cna ogryziony przez te żarłoki. Przejechałem dziesiątki kilometrów, ale nigdzie nie dostrzegłem ani jednej plamki zieleni, nic tylko nagie konary sterczące we wszystkie strony.

Profesor spojrział nagle do góry i rozpromienił się, jak gdyby zobaczył swego najlepszego przyjaciela.

— Oto jest i *Microgaster nemorum*! — powiedział. — Prosimy pięknie! Prosimy pięknie!

— Gdzie? Kogo pan zobaczył?

— Nie widzicie?

Na falach powietrza, prosto nad sosnówkami, bezszumnie krążyły duże zwierzęta o wysmukłych ciałach i długich przeźroczyстых skrzydłach.

— Komary! — zawołała dziewczynka.

— Barylkarze — przyjaciele lasów i pól. Patrzcie, dzieci, co teraz będzie się działo. Niejeden uczoney pozazdrościłby wam tego

widoku. Rrraz — jest jedna! Rrraz — druga! Rrraz — trzecia!
A to zuchy! Patrzcie tylko, patrzcie!

Skrzydłacy najeźdźcy spadali z góry na gąsienice jak sępy na swoją zdobycz i sadowali się im na plecach.

— Cwałują! Cwałują! — cieszyła się Walerka.

Widok przypominał zabawne przedstawienie cyrkowe, gdzie psy dosiadają koni, a na kotach galopują wystraszone myszy.

Dzieci zaklaskały w dłonie. Nagle Walerka opuściła ręce, spojrziała na profesora i zapytała spłoszona.

— Ale te... Micro... co one właściwie robią?

Zobaczyła bowiem, że owady szybko unoszą w górę odwłok zakończony szpadą, z rozmachu wbijają tę szpadę w plecy gąsienic i wzlatują natychmiast z powrotem do góry.

— Biją się — orzekła Walerka. — Wcale nie jeżdżą, tylko się biją!

— Ani się biją, ani jeżdżą — sprostował uczony. — Po prostu swoim ostrym pokładełkiem nakłuwają skórę gąsienicy i składają pod nią jajeczka. Po pewnym czasie z jajeczek wyklują się larwy i zabiorą się do niszczenia gąsienic. Przypuszczam, że pożrą je, zanim się z nich wylęgną barczatki sosnówki. Gdyby nie było tych wrogów, wówczas barczatka sosnówka pożarłaby wszystkie lasy. Na szczęście baryłkarz nie pozwala się jej rozmnażać. Dlatego też możemy go nazwać najlepszym stróżem naszych lasów.

— A nie można go rozmnażać sztucznie? — zapytał Olek.

— Można!

— No to dlaczego się tego nie robi?

— Uчени próbują, ale doświadczenia nie zawsze dają pomyslnie wyniki. Niestety, w larwach baryłkarza inne jeszcze owa-

dy składają jajeczka, wprowadzie zupełnie mikroskopijne, ale to one właśnie zabijają te larwy.

— A to pasożyty! A nie można tych małych rabusiów zniszczyć?

— Można! Ci mali mają z kolei swojego wroga — już całkiem maciupieńkiego.

— O właśnie — powiedział Olek. — Wobec tego trzeba rozmnażać tego najmniejszego.

— Tak, to zupełnie rozsądne, co mówisz — zgodził się profesor — ale jest jeszcze inna trudność: istnieją na świecie stworzenia, które składają jajeczka do larw najmniejszych!



Olek bezradnie rozłożył ręce.

— I tak dookoła Wojtek... Początek jest, ale koniec gdzieś się zgubił.

— Otóż to, mój drogi! Niekiedy wydaje nam się, że absolutnie wszystko wiemy o tym ozy innym stworzeniu, ale wystarczy wniknąć głębiej w istotę rzeczy, żeby się przekonać, że mamy w rękach bynajmniej nie koniec, ale dopiero początek nowego, niezmiernie ciekawego rozdziału do zbadania.

Profesor zapomniał, że siedzi na kawałku kory. Podniósł się i zaczął z zapalem mówić o tym, jak to uczeni, niczym Kolumbowie, codziennie udają się w nieznanne krainy i jak odkrywają coraz to nowe kontynenty.

Po konarze, jak po szerokim, zaludnionym trakcie, pęzwały w górę gąsienice barczatki sosnowki.

Na ich spotkanie podążały w dół olbrzymie -chrząszcze. Nad sosnową szosą fruwały jakieś uskrzydłone zwierzęta.

Profesora bezceremonialnie popychały gąsienice pełznące wolno, o mało nie zwałił go z nóg wielgachny, czarny chrząszcz — a uczoney wciąż mówił, mówił, mówił..

Jak długo stałby tak profesor na kawałku kory jak na katedrze — nie wiadomo. Możliwe, że jego wywody przeciągnęłyby się do wieczora, gdyby nagle nie wmieszał się w to jakiś skrzydlaty zwierz.

Spadł jak kamień obok Jenotowa i uderzeniem skrzydła odrzucił go na bok. Następnie, uniósłszy odwłok zakończony długą, ostrą piką, krótkim, silnym pchnięciem przebił korę tuż koło głowy profesora. Pika głęboko wraziła się w pień.

Dzieci nie zdążyły krzyknąć, a już zwierzę wyszarpnęło pikę

i zniknęło tak samo błyskawicznie, jak się zjawilo.

Olek z Walerką przywarli do kory ciężko dysząc z przestachu.

— Tak — Jenotow przerwał wykład. — Zdaje się, że trochę się z wami zagadałem... A przecież musimy przed nastaniem zmroku zejść na ziemię. — Popatrzył na dzieci i dodał: — To nic groźnego. Najzwyklejszy gąsienicznik, ale mówiąc szczerze — także rabuś.

— Składa jajeczka do kory?

— Dlaczego do kory? Złożył jajeczka do larwy trzpiennika.

— Do larwy? A gdzie ona jest? — obejrzał się Olek.

— Pod korą!

— No to jak pan ją widzi?

— Nie widzę jej, ale mogę się założyć o nie wiem co, że teraz pod nami, pod warstwą kory ruszają się larwy jakiegoś chrząszcza — wąsala.

— To znaczy, że rabusie widzą przez korę?

— Nie, on jej też nie widzi, tylko czuje... To nie jest jeszcze dla nas zrozumiałe. Zresztą wiele szczegółów z obyczajów i życia owadów pozostaje dla nas wielką niewiadomą. Na przykład, nie zgłębiliśmy dotąd całkowicie, do czego są owadom potrzebne czułki.

Wstał i bez pośpiechu namotał koniec sznura na dłoń.

— No, moi drodzy! — zakomenderował. — Trzeba się podnieść! Idziemy dalej!

Znów rozpoczęło się niebezpieczne i trudne schodzenie po zwalach kory. Od czasu do czasu profesor i dzieci, wybrawszy odpowiednie miejsce, kładli się w milczeniu na czerwonych skałach.

Rozcierając zdrętwiałe ręce i nogi oglądali, czy sznury są jeszcze całe, czy węzły się nie poprzecierały, potem wstawali i szli

w dalszą drogę, skacząc ze skały na skałę jak kozice.

Na jednym z biwaków musieli zatrzymać się dość długo. Było to już zupełnie niedaleko ziemi.

Kiedy po krótkim wypoczynku przygotowywali się do dalszej drogi, nad ich głowami nagle załopotwały skrzydła.

Jenotow spojrział w górę i pobladł. Chwyciwszy dzieci za ręce, błyskawicznie wskoczył z nimi w wąską szczelinę.

— Siedźcie cicho! — szepnął.

Obok nich przeleciało pasiaste zwierzę z wąską, długą talią. Jego odwłok był w żółte i czarne pręgi jak skóra tygrysa.

Tnąc powietrze przezroczystymi skrzydłami, zwierzę pędziło, przyciskając do odwłoka coś wijącego się, podobnego do żmii.

— Osa — szepnął profesor. — Osa kopułka.

Osa podleciała do dzbanka, z którego dopiero co wydostali się podróżnicy, wrzuciła tam nową zdobycz i wlaźła za nią.

— Tak — skinął głową profesor. — Myślę, moi drodzy, że wzięła nas po prostu za gąsienice. Ale popatrzcie, co ona wyczynia?

Kopułka wylazła z dzbanka, jak sęp runęła na ziemię i natychmiast wzbija się w powietrze.

Owionawszy podróżników chłodem, jak wichur przeleciała obok nich, zatoczywszy koło, znów opuściła się na dzban. Z zaafekowaniem pełzając dokoła otworu, szybko przebierała łapkami i z powagą postukiwała głową o brzeg dzbanka.

Wreszcie odleciała.

Wtedy profesor i dzieci zobaczyli, że otwór wejściowy do dzbanka został szczelnie zalepiony czymś szarym. W środku, jak korek, tkwił duży, ostry kamień.

— Widzicie — powiedział biolog — jak to osa замуrowała

swój dzban? No, moi kochani, gdybyśmy w samą porę nie dali stamtąd drapaka, zginęlibyśmy marnie z głodu.

— A nie można wyważyć ścianki?

— Nie! Kopułka przygotowuje z pyłu i śliny taki mocny cement, że nawet ludzie normalnej wielkości z trudem mogą go ukruszyć.

— Jednego nie rozumiem — zawahał się chłopiec. — No tak, przyciągnęła nas tutaj, wepchnęła do dzbana... Ale po co? Dlaczego nie pożarła nas od razu?

— Bo wcale nie miała zamiaru nas zjadać — odparł biolog. — Kopułka żywi się nektarem, a gąsienice znosi dla swego potomstwa, dla swoich przyszłych dzieci... Zauważcie przy tym, że nie zabija swojej zdobyczy. Ukłuciem żądła usypia ją tylko... Przygotowuje z niej żywe konserwy.

— No to dlaczego nas nie uśpiła? — zapytała Walerka.

— Nie mam pojęcia! — wzruszył ramionami Jenotow. — Zupełnie tego nie rozumiem. Może żądło nie mogło przebić naszych koszulek z pajęczyny, a może jej trucizna na nas nie podziałała? Nie wiem! W ogóle to wszystko jest zdumiewające... Doprawdy, nie pojmuję, jak mogła wziąć nas za gąsienice. Osy bywają nieomyłne w takich razach... Dla nauki to jest zupełnie zagadkowy przypadek.

— Kto jej zrobił ten dzban? — zainteresowała się Walerka.

— Sama go zmajstrowała. Ze swego cementu. Za tymi mocnymi murami larwa kopułka może rosnać bez obawy, że ją ktoś połknie czy rozdusi. Jedzenia ma naszykowane akurat tyle, co potrzeba... A jak larwa wykluje się z jajka, to zjedzie po pajęczynie na dno, spadnie na gąsienice i zacznie je pożerać. I to jak! Całymi

tygodniami ogryza swoją ofiarę, a jednak do ostatniego dnia gąsienica jest żywa, a mięso jej jest świeże. Potem larwa zamienia się w poczwarkę i po pewnym czasie z kokonu wylatuje samiec albo samiczka kopułki... Z naszego dzbana powinien był wylecieć samiec, ale teraz...

— Skąd pan wie, że właśnie samiec?

— Wiem! Osa wpuściła do dzbana nas troje, a potem przyniosła jeszcze jedną gąsienicę. Cztery gąsienice — to zapas dla przyszłego samca. Dla jajka, z którego ma się wylęgnąć samiczka, osa zostawia równo dziesięć gąsienic. Zresztą, to jest zupełnie zrozumiałe: przyszła samica kopułki jest dużo większa od samca, wobec czego trzeba dla niej zostawić znacznie więcej pokarmu.

— To osy umiejają liczyć do dziesięciu? — zapytała dziewczynka.

— Nie sądzę, żeby umiały liczyć nawet do dwóch — odparł z uśmiechem profesor. — Przypomnijcie sobie, przecież osa wlażyła do dzbana potem, jakśmy się z niego wygramolili, prawda?

— Rzeczywiście, wlażyła.

— A zrobiła to po to, żeby złożyć jajeczko. Więc musiała wiedzieć, że w dzbanie, zamiast czterech gąsienic, jest tylko jedna. A jednak nie domyśliła się, żeby przynieść jeszcze trzy gąsienice, i zamurowała dzban. Oczywiście, że larwa teraz zginie.

Profesor wyszedł z rozpadliny, obejrzał się na prawo, na lewo i oznajmił:

— Kopułka odleciała, teraz i my możemy spokojnie wyjść.

Do ziemi było już niedaleko i podróżnicy w krótkim czasie znaleźli się na dole.

Przed nimi roztaczała się kamienista pustynia. Nad lasem, jak

słomka, sterczała żerdź-latarnia z malusienką czerwoną chorągiewką.

Ruszyli w dalszą drogę. Szli przez piaski, lasy i góry. Przełazili przez jary i w bród przepawali się przez strumienie.

Pod wieczór zatrzymali się, zmordowani i głodni, nad brzegiem burzliwej rzeczulki. Ale dzieci nie miały sił, żeby przebrnąć jeszcze i przez tę przeszkodę.



Walerka wyciągnęła się na brzegu i oznajmiła:
— Dalej nie mogę.

Zaczynało się zmierzchać. Niebo pociemniało. Nad lasem kłębiły się purpurowe chmury. W górze przeciągały z krzykiem chmary ptaków.

— Co robić — powiedział Jenotow — trzeba będzie tutaj zatrzymać się na nocleg.

— Na brzegu?

— Spróbujemy znaleźć jakąś pieczarę czy norę.

Po krótkich poszukiwaniach Olek natrafił na olbrzymią, jak stóg siana, brunatną bryłę. W jednej z jej ścian czerniał okrągły otwór.

Olek zajrzał tam i zawołał:

— Chodźcie tu do mnie! Znalazłem miejsce na nocleg!

Profesor podszedł bliżej, obejrzał bryłę ze wszystkich stron i powiedział:

— Pusty orzech. Porzucone mieszkanie larwy chrząszcza słonika. Wchodźcie, dzieci. Zupełnie znośny hotel.

Było już prawie zupełnie ciemno. Dzieciom oczy kleiły się ze zmęczenia, nogi omdlewały. Szybko wskoczyli oboje w otworek orzecha, padli na chropowatą podłogę i od razu zasnęli kamiennym snem.

A tymczasem profesor, wzdychając, kręcił się wokół orzecha. Otwór wejściowy był tak wąski, że mógł wsunąć weń tylko głowę. Ramiona już się nie zmieściły.

— A to przykrość — mruczał zgnębiony.

Mamrocząc gniewnie, raz jeszcze zajrzał do orzecha, posłu-

chał, jak dzieci równiutko oddychają przez sen, i poczłapał szukać dla siebie czegoś innego.

Nie opodał znalazł w dołeczku muszlę ślimaka i obejrzał ją uważnie. Była pusta. Stękając wlaźł do środka.

Pochylona podłoga muszli była zimna i twarda, ale utrudzony długą drogą profesor tego nie zauważył.

Podłożył ręce pod głowę, wyciągnął się jak długi i zachrapał.

Około północy w powietrzu coś zawyło. Profesor usłyszał to przez sen i pomyślawszy sobie, że to wiatr, spał spokojnie dalej.

Zbudził go chłód. Otworzył oczy. Niebo zasłonięte było chmurami, w których nurkował księżyc. Jenotow skulił się, podkurczył nogi i zapadł w niespokojną drzemkę.

A tymczasem za ścianami muszli zerwał się wściekły, porywisty wicher. Nisko nad ziemią fruwały wirując pyłki, trawki i płatki kwiatów.

Orzech, w którym spały dzieci, zachwiał się od podmuchu, drgnął mocno, zakołysał się i, porwany wiatrem, zaczął powolutku staczać się ku wodzie.

Nowy silny podmuch zepchnął go do wody. Zatańczył więc na fali i popłynął w dół, z prądem.

Dzieci czuły przez sen, że coś je huśta jak w kołysce.

Przytuliły się do siebie i spały dalej, uśmiechając się przez sen. A tymczasem prąd niósł lupinę orzeszka, a w nim Olka i Walerkę coraz dalej od profesora.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

LĄDOWANIE W NIEZNANEJ PRYZSTANI. ZNOWU W NIEWOLI. JENOTOW IDZIE ŚWIEŻYM ŚLADEM. ZWIERZĘ, KTÓRE ODDYCHA OGONEM. NIEOCZEKIWANE ODKRYCIE

Okropny huragan zerwał się przed świtem. Orzech, kołysząc się na fali, to wyskakiwał na jej wysoki grzbiet, to znów chował się cały w białej, kipiącej pianie. Fale z szumem przewalały się przez niego, podrzucały go i ciskały nim na wszystkie strony. Z góry, przez szeroki luk *, zimne krople spadały na rodzeństwo, ale oni tylko niespokojnie przewracali się przez sen, zakrywali rękami twarz i szyję, odsuwali się jak najdalej od otworu. Tak się zmordowali, tak umęczyli, że nawet lodowaty prysznic nie był w stanie ich zbudzić.

Nagle silny prąd porwał orzeszek. Zakręciły nim wodne wiry. Łupinką mocno szarpnęło, aż przechyliła się na bok. Olek przeturlał się przez siostrę i boleśnie uderzył głową o ścianę.

— Co to jest? Co się stało?! — krzyknął przerażony.

Próbował się dźwignąć, ale statkiem znów zakołysało i chłopiec potoczył się po podłodze. Chwyciwszy się chropowatych ścian jakoś się podniósł i zawołał:

— Walerka! Coś się stało! Wstawaj! Ktoś ciągnie nasz orzech!

Przecierając zaspane oczy, Walerka spojrzała na brata nic nie

rozumiejąc.

— A może to jakieś zwierzę na nas napadło? Trzeba prędszej obudzić profesora! Panie profesorze!

*** Otwór w pokładzie statku, przez który ładuje się i wyladowuje towary.**

Krzyzcząc tak, zerwała się na równe nogi. Ale jak tylko stanęła, podłoga się pod nią zachybotwała i dziewczynkę cisnęło pod ścianę. Zwaliła z nóg brata i razem z nim poturlała się po chropowatym wnętrzu lupinki.

Dookoła było zupełnie ciemno i tylko z góry, przez okrągłe okienko, wpadało granatowe, nocne światło.

Trzymając się ścianek orzecha, Olek podpełził do otworu i wysadził głowę. W twarz chlusnęła mu woda.

Wicher ze świstem hulał dookoła, podnosząc strome, pieniaące się bałwany. Fale szalały. Wszystko kipiało jak w kotle.

Olek wrzasnął:

— Walerko! Prędszej! Patrz, co to? Przecież my płyniemy!

Walerka z trudem dotarła do otworu i uczepiła się jego brzegów.

— Płyniemy! — wyszeptwała przerażona. — Płyniemy nie wiadomo dokąd!

Kołysało tak, jak na prawdziwym oceanie.

Walerka obejrzała się, popatrzyła na brata, potem znowu dookoła.

— A gdzie jest profesor? — zapytała blednąc.

— Nie wiem... Może tu gdzieś, obok... — niepewnie odpowiedział Olek.

— Gdzie obok? Co ty pleciesz? — Walerkę ogarnęło przeżenie. — Przecież jesteśmy w orzechu, w orzechu, rozumiesz? A dookoła nas jest woda!

Silne pchnięcie odrzuciło ich od luku. Podłoga pod nogami zawirowała, zatańczyła. Oboje upadli.

A wicher z wściekłym gwizdem szalał dalej. Wszystko dookoła wyło, huczało. Woda chlusnęła przez otwór, zalała dzieci od głowy do stóp lodowatym strumieniem. Mokre i drżące, siedziały na podłodze, trzymając się mocno w uścisku i ze strachem spoglądając w okrągłe okienko.

Na pomętiałym niebie mknęły czarne chmury.

Orzech kładł się na bok, a wtedy tuż przed otworem skakały pniące się bałwany. Ale oto nowe szarpnięcie — w okienku widać pędzące chmury, w których nurkuje blade księżyc.

Za każdym szarpnięciem dzieci odrzucało w różne strony, ale Walerka natychmiast podpełzała do brata i chwyciła się go kurczowo. Biedactwa ani rusz nie mogły pojąć, gdzie jest profesor, jakim sposobem orzech wpadł do wody i dokąd ta rzeka ich niesie?...

A tymczasem orzech mknął wciąż naprzód, to skacząc po grzbietach fal, to znów wpadając w bruzdy.

Burza jak gdyby zaczęła się uspokajać. Orzech już nie podskakiwał szaleńczo na falach, ale kołysał się lekko jak hamak.

Dzieci wstały.

— No, zdaje się, że huśtanie się skończyło — odezwał się Olek.

Znów podszedł do luku i wyrzał. Bardzo blisko nich przesuwały się brzegi porośnięte lasem. W dole cichutko pluskały fale.

Orzech nagle się zatrzymał.

Przed samym otworem wznosiła się czarna ziemna ściana. Brzeg był zupełnie blisko, można było dosięgnąć go ręką. Orzech przybił do nieznanego wybrzeża.

— No, w każdym razie dokądś przy płynęliśmy — cichutko powiedziała Walerka.

— Wyłaż prędzej! — rozkazał Olek, czepiając się okienka.

Pomagając sobie wzajemnie, wydostali się na zewnątrz i skoczyli na ziemię.

Był wczesny ranek.

Ciche, smętne wzgórza blado majaczyły w szarej poświacie nadchodzącego dnia. Na dalekim widnokreśgu ledwo widocznie jaśniał różowy pas.

W zacisznej przystani, tuż przy brzegu, kołysał się na fali czarny, mokry orzech.

Woda z hukiem przetaczała swe nurty, niosąc przeróżne żerdzie, suche gałęzie i listki. Znosiło je do zatoki, przybijało do brzegu. Kręciły się, przepływając obok orzecha, lekko go popychały, jak gdyby usiłując zsunąć z miejsca.

Cała zatoka pokryta była suchymi patykami. Dzieci wdrapały się na pagórek i zatrzymały, niezdecydowane. Kuląc się z zimna, stały patrząc po sobie z zakłopotaniem.

Dokąd iść?

Co robić?

Ach, gdyby tu był z nimi profesor!

— Czyżby zginął? — westchnęła Walerka.

— Znajdziemy go — zdecydowanie powiedział chłopiec. — Jest tu gdzieś. Musi być...

Złożył dłonie przy ustach, wspiął się na czubki palców i krzyknął co sił:

— Panie profesorze! Panie profesorze!

Gdzieś za nimi, za ciemnymi pagórkami, szeleściło listowie. Dzieci nadstawiły uszu. Kroki? Nie, to wiatr szumi w liściach. Walerka znowu ciężko westchnęła.

— To nic, zobaczysz, że go znajdziemy. On nas nie opuści! Olek wziął siostrę za rękę i poprowadził wzdłuż brzegu. Co parę kroków przystawali i wołali na cały głos:

— Panie profesorzeeee!

Ale nikt się nie odzywał.

— Wiesz co? — zaproponował Olek. — Ja pójdę brzegiem rzeki, a ty troszeczkę dalej. Czy widzisz zagajnik za tymi wzgórzami? Idź w tamtym kierunku i wołaj! Tylko jak najgłośniej. Najpierw ja będę wołał, potem ty. Zgoda?

— Zgoda!

— Tylko nie oddalaj się za bardzo i nie gap się na boki. Uważaj! No, to idź już!

Olek ruszył samym brzegiem, a Walerka skierowała się w stronę zagajnika. Od czasu do czasu dzieci przystawały, wołały do siebie i szły dalej.

Walerka dotarła do zagajnika. Było tam ciemno i bardzo ponuro. Czarne, węzlaste pnie drzew wyciągały ku górze powyginane, powykrzywiane konary. Szerokie liście zwisały do samej ziemi.

— Hej, hej, Walerko! — rozległo się nad wodą.

— Hop, hop! — odezwała się dziewczynka. — Jestem tu!

Zbliżyła się do ciemnego, rozłożystego drzewa. Bił od niego przyjemny, smakowity zapach.

Aż dziwnie! Pachniało prawdziwymi ciasteczkami migdałowymi jak w domu przed świętami, kiedy mama wyciąga blachy z piekarnika.

Walerce przypomniało się od razu, że od wczoraj nie miała nic w ustach.

„Trzeba zobaczyć, co to tak pysznie pachnie — pomyślała i zdecydowanym krokiem podeszła do drzewa. — Wdrapię się, popatrzę”.

— Hej, hej! Olku! — krzyknęła. — Włażę na drzewo! Będę krzyczeć z góry! Słyszysz mnie?

— Właż i krzycz, tylko głośno! — odezwał się chłopiec. — Ja zaraz do ciebie przyjdę!

Walerka chwyciła mokre, śliskie gałęzie i zaczęła się wdrapywać zwinnie jak małpa.

Rozsuwając szerokie liście, które zwieszały się z pnia i zagrażały jej drodze, wspinała się coraz wyżej. Niekiedy spoglądała w górę.

Zupełnie blisko, tuż nad głową, zobaczyła coś w rodzaju olbrzymiej filizanki. Wdrapała się wyżej, uczepiła się wilgotnych, elastycznych jak gumowe ścianek i zajrzała do środka.

Tuż-tuż przy niej kołysały się puszyste kule. Wisiały na grubych, długich biczach, sterczących z dna filizanki.

Właśnie one wydzielaly ten mocny, kuszący zapach.

Walerka poczuła, że jeżeli zaraz, w tej samej chwili nie zje tej kuli, co się huśta przed jej nosem, to zwyczajnie skona z głodu.

Podciągnęła się na rękach i usiadła okrakiem na brzeżku płotka

jak na parkanie.

Nęcąca kula była obok niej. Walerka uczepliła się jej rękami i silnie szarpnęła do siebie. Ale kula trzymała się bardzo mocno.

Walerka szarpnęła jeszcze energiczniej. Płatek, na którym siedziała, zakołysał się tak, że o mały włos nie straciła równowagi. Żeby nie spaść, wypuściła z ręki kulę i mocno chwyciła się za brzeżek płatka.

Kula odskoczyła w bok, uderzyła o przeciwległy brzeg filizanki i natychmiast znów zatańczyła przed oczami Walerki.

Wtedy dziewczynka szarpnęła ją z taką siłą, że cała filizanka zadrżała. Kula urwała się z tyki i w tej samej chwili Walerka razem ze swoją zdobyczą runęła w dół, na dno filizanki.

Nie wypuszczając kuli z rąk, wstała i szybko się rozejrzała. Znajdowała się w kielichu olbrzymiego kwiatu. Wilgotne płatki sterczały wokół jak gładkie ściany okrągłej wieżycy. Przez szpary między płatkami sączyło się różowe światło poranka.

Gdzieś bardzo daleko zakwilił ptak. W dole, szeleszcząc listowiem, coś przebiegło, szybko przebierając lekkimi stopami.

„Muszę zejść“ — pomyślała dziewczynka.

Mocno tuląc do piersi wonną kulę, obeszła kwiatową filizankę i zatrzymała się przed wąską szparą pomiędzy płatkami. Chciała wcisnąć się w nią, ale szpara okazała się zbyt mała.

Wtedy Walerka spróbowała wdrapać się na górę po jednym z biczów, ale gdy tylko dotknęła go ręką — ściany filizanki poruszyły się jak żywe i powolutku zaczęły się do siebie zbliżać.

Wielki kwiat, do którego dostała się Walerka, złożył płatki nad jej głową. Zrobiło się ciemno.

Dziewczynka na próżno usiłowała rozsunąć je i wydostać się

na wolność. Płatki zwierzały się jeszcze mocniej i nie wypuszczały jej z wonnego więzienia.

— Olku! Olku! — zawołała przerażona. — Prędejj! Do mnie! Tutaj!

Wrzeszczała jak mogła najdonośniej, ale głos jej nie mógł się przebić przez grube, miękkie ściany. Wydawało się, że krzyczy wtuliwszy twarz w puchową poduszkę.

Ten przy duszony, ledwo słyszalny krzyk, jak odgłos dalekiego echa, dobiegł Olka. Chłopiec stanął. Wydało mu się, że gdzieś daleko za wzgórzami odzywa się profesor.

— To świetnie — ucieszył się Olek. — Idzie do nas! Jednak nas odnalazł!

Szybko wbiegł na wysokie wzgórze, złożył dłonie w tubę i wrzasnął:

— Hop, hop! Tutaj!

Za całą odpowiedź huknął jakiś ptak nocny.

U stóp wzgórza z hałasem płynęła rzeka. Fale uderzały o brzeg. Miętko szeleścił osypujący się piasek.

„Skąd on mógł krzyżeć? — zastanawiał się Olek. — Z prawej czy z lewej strony ?“

Chwilkę postał i znowu zawołał.

Tym razem nikt się nie odezwał. Chłopiec krzyknął jeszcze parę razy, obracając się w różne strony.



Daremny wysiłek. Nikt mu nie odpowiedział.

Olek ściągnął brwi.

— Nie. Musiałem się przesłyszeć!

Spojrzał na ciemny zagajnik, gdzie była siostra, i zawołał głośno:

— Czy słyszałaś, Walerko, coś jak gdyby głos profesora? Słyszałaś czy nie?

Ale tym razem nawet Walerka nie odpowiedziała.

„Tylko tego brakuje, żeby i ona zginęła” — pomyślał chłopiec i zawołał jeszcze głośniejsze:

— Waleerko!

Z urwiska spadł do wody kamień. Olek drgnął, obejrzał się, chwilę postął i znów krzyknął:

— Waleerko!

Milczenie.

„Mówiłem jej przecież, żeby siedziała na drzewie i czekała na mnie, a ta gdzieś polazła... To zawsze tak, jak się ma do czynienia z babami”.

Nie spiesząc się poszedł polem w kierunku lasu.

Nareszcie dotarł do zagajnika. Zadarł głowę, żeby przyjrzeć się gęstym wierzchołkom drzew.

Poranny wietrzyk muskał szerokie liście, z których wyzierały wielkie, żółte kule.

Walerki nie było widać.

— Gdzież mogła się podziać? — zmartwił się chłopiec.

Zawołał jeszcze raz i drugi, ale odpowiedział mu tylko szum wiatru.

Olek zagryzł wargi, rozmyślając:

„Nie mogła przecież odejść zbyt daleko. Cóż więc się stało, że nie widać jej nigdzie? Może ktoś ją schwytał, porwał, a nawet... pożarł”.

Przeszły go dreszcze.

„Ach, gdyby tu był profesor! Na pewno by coś wymyślił, żeby odnaleźć Walerkę”.

Rozejrzał się bezradnie.

Dookoła nie ma wzgórza. Nad martwym piachem zwisa zimne niebo. Smętnie szumi na sąsiednim pagórku nagi, wyschnięty las.

Nad głową przelatywały mu z gwizdem gigantyczne chrząszcze, zaczepiając skrzydłami o drzewa.

Wszystko wokół było jakieś obce, niesamowite, groźne. Olek zadrżał i z przeraźliwym krzykiem rzucił się na oślep przed siebie.

Nad ranem zbudził profesora przykry ziąb. Przysunął się do ściany, ale zaraz podskoczył jak oparzony. Ściana muszli była zimna jak lód. Niepodobieństwem było spać w tej lodowni. Profesor wyłaź z muszli i zaczął, dla rozgrzewki, biegać wokoło.

Na niebie świecił jeszcze księżyc.

Zimny wiatr dmuchał w plecy i w twarz, porywał chmury drobnych kamyków i boleśnie smagał nimi po nogach i rękach.

— Ale nocka! — mamrotał Jenotow. — Dobrze jeszcze, że dzieci znalazły ciepłe pomieszczenie.

Postanowił zajrzeć do nich, sprawdzić, jak im się śpi w orzeszku. Wygodnie? Spokojnie? Trzęsąc się z zimna, poszedł do nich.

Blady księżyc oświetlał nagi pagórek z samotnym, uschniętym drzewem na szczycie. Profesor wbiegł tam i zdębiał.

Wzgórze było puste!

Suche, powyginane drzewo skrzypiało na wietrze, przygnę-

biająco szeleszcząc zwiędłymi liśćmi. Czarne ich cienie ponuro pelzały po chłodnej ziemi.

— Dziwne! Bardzo to wszystko dziwne — mruknął zdetonowany.

Pamiętał doskonale, że tu, właśnie w tym miejscu, leżał duży orzech. Pozostało nawet niewielkie wgłębienie, wygniecione jego okrągłymi bokami. No oczywiście, to to samo miejsce. Nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Pochylił się nad ziemią i zaczął ją uważnie badać.

Od wgłębienia ciągnęła się ku rzece szeroka, czarna bruzda, jak gdyby dopiero co wleczono tędy coś ciężkiego.

Wyciągając szyję i schylając się co sekundę, profesor poszedł za śladem, który go doprowadził do wody.

Zatrzymał się nad urwiskiem i w zadumie popatrzył w dół, na czarne fale, które z szumem przepływały obok niego. Tu urywał się ślad.

Poskubując siwą brodę i marszcząc brew, uczony stał nad urwiskiem i rozmyślał na głos:

— Gdyby na nich ktoś napadł, toby krzyczeli, wołaliby mnie na ratunek. Mam bardzo lekki sen i na pewno bym ich usłyszał. Więc co mogło się stać? Ktoś ukradł orzech? Niemożliwe! Na co komu stary, zepsuty orzech! Bzdura! Wszystko jest znacznie prostsze: orzech został zdmuchnięty do wody.

Szybko zaczął schodzić w dół.

— Ale dokąd go poniosło? Na prawo? Na lewo?

Wziął kawałeczek suchego listka i rzucił na wodę.

Prąd porwał go, zakręcił i popędził, podrzucając na spienionych falach.

Profesor pobiegł wzdłuż brzegu w tę stronę, dokąd zносиło li-stek.

Woda podchodziła tu pod sam brzeg lasu. Jenotow albo prze-dzierał się przez gąszcz zarośli, albo też brodził po wodzie ciepłej jak przegotowane mleko.

Noc była widna, księżycowa. Jedyne przy brzegu, gdzie gęsto rosły wysokie, trawiaste drzewa, cienie kładły się szeroką, czarną smugą.

Środkiem, księżycową dróżką pędziły, przeganiając profesora, płatki różnych kwiatów, wielkie liście i pnie.

Nurkowały, to znikając, to znów się ukazując — z daleka się wydawało, że ktoś płynie, walcząc z falą.

Za każdym razem, kiedy środkiem rzeki, nurkując, przepływał jakiś pień, uczony zatrzymywał się i z niepokojem śledził, czy to nie dzieci?

Od czasu do czasu brnął po pas w wodzie, gotów w każdej chwili rzucić się im na pomoc. Ale oto pień przypływa bliżej. Widać już zupełnie wyraźnie sęczi.

— Uf! — z ulgą wzdychał profesor i szedł szybko dalej.

Rzeka długo kluczyła pośród ciemnych lasów i gór, aż wreszcie oczom profesora ukazał się szeroki, mieniący się w świetle księżycy zakręt.

Rozsunąwszy mokre gałązki, biolog wyszedł z lasu i stanął jak wryty.

— Dzieciaki!

W zalanych poświatał księżycyca nurtach płynęli Olek i Walerka.

— Tak, tak! To oni! — szepnął Jenotow.

O tam, pośrodku — Olek, a troszeczkę bardziej na prawo, bliżej brzegu — Walerka. Głowy ich to nikną pod wodą, to znów się wynurzają jak spławiki. Najprawdopodobniej dzieci płyną już ostatkiem sił. Tylko patrzeć, jak pójfgą na dno.

— Boże, żeby tylko zdążyć!

Profesor skoczył do wody. Prąd porwał go i poniósł wzdłuż brzegu.

— Trzymajcie się! — krzyknął.

Tnąc wodę ramionami, szybko płynął na ratunek.

Za każdym ruchem ramion odległość między nimi się zmniejszała.

Nareszcie! Profesor podpłynął zupełnie blisko i wyciągnął rękę... Ale co to?

Nad wodą dojrzał wyginające się w literę S, segmentowane twory.

— A niechże cię licha! — wyrwało się zirytowanemu profesorowi i jak najszybciej zawrócił do brzegu.

To, co w złudnym świetle księżycyca uważał za dzieci, było najzwyczajszymi larwami muchy zmrużki.

Trzymały się one na powierzchni, czepiając się wodnej błonki swymi zdumiewającymi ogonami, podobnymi do potarganych peruk.

Larwy płynęły główkami do dołu, co rusz chwytając zaga-pionych mieszkańców rzeki. Oddychały włoskowatymi ogonami.

Kiedyś, w młodości, profesor zbierał te larwy do akwarium. Z larw wylęgały się potem muchy w czarno-żółte pasy, podobne

do pszczołek, i nawet składały jajeczka na kwitnących roślinach wodnych.

Profesor był autorem książek o pasikoniku, który słucha nogami, i o zmrzuce, która oddycha ogonem.

Kiedy indziej biologa nawet siłą nikt by nie zdołał oderwać od larw tych nadzwyczajnych owadów, ale teraz nie było mu to w głowie.

Namacawszy dno nogami, wyszedł na brzeg i drżący z zimna, pobiegł, żeby się trochę rozgrzać.

Od czasu do czasu zatrzymywał się i nasłuchiwał. Ale słyszał tylko łomot swego serca i wycie wiatru nad głową.

Wreszcie zauważył z boku pagórek, więc przyspieszył kroku, wdrapał się nań szybko, złożył dłonie w tubę i jak mógł najdośnziej zawołał:

— Oleek! Waleerka!

Znów pobiegł w stronę brzegu.

„A może spuścić na wodę jakąś tratwę? — pomyślał. — Zepchnąć trzy czy cztery pnie, związać je i mamy tratwę gotową. Chyba w ten sposób prędzej dogonię dzieciaki”.

Ale nie musiał się trudzić zbijaniem pni.

Jak w bajce, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, tratwa sama podpłynęła do brzegu, zatrzymała się przy ciemnej, piaszczystej mieliźnie i zakreśliła się w miejscu.

— A to nadzwyczajne! — ucieszył się Jenotow. Wskoczył z rozpędu na tratwę i zaczął ją bujać, żeby zsunęła się z mielizny. Tratwa drgnęła, zakołysała się na fali i majestatycznie popłynęła z prądem. W tej samej chwili obok profesora przepłynęła jeszcze jedna taka tratwa, za nią znowu kilka.

„Dziwne! Skąd ich się tyle wzięło?” — zastanawiał się pan Jan.

Gdy wypłynęli na księżycową drózkę, profesor uważnie obejrzał swój niezwykły statek. Zobaczył, że składa się z grubych bali, po obu stronach zaostrzonych. Bale podobne były do olbrzymich cygar i leżały tak gęsto jeden obok drugiego, jak gdyby je ktoś posklejał. Profesor pochylił się, pomacał dłonią i wymruczał stro-piony:

— Kto by to pomyślał... też mi tratwa...

Nawet w świetle księżycy rozpoznał te straszliwe cygara.

Statek, którym płynął, wiozł niezwykły ładunek: komory miał napełnione zinica, każde cygaro bowiem kryło w sobie zarodek

— Nigdy bym nie przypuszczał, że wypadnie mi zostać kapi-tanem malarycznego okrętu — uśmiechnął się profesor pod wąsem.

Z obydwu stron, przeganiając go, płynęły takie same mala-ryczne statki. Widocznie gdzieś w górnym biegu wody widliszki składały jajeczka.

Od czasu do czasu na powierzchni widać było jajeczka zwy-klęgo komara. Te znów, zanurzone w wodzie jak spławiki, na oko bardzo przypominały łódeczki.

Na każdym zakręcie, na każdym kolanku rzeki, Jenotów wy-ciągał szyję i wyteżał wzrok, wpatrując się w ciemności, czy aby orzech nie przybił tu do brzegu, czy nie kołysze się w zacisznej zatoczce.

Lesiste brzegi dawno już pozostały w tyle. Teraz rzeka robiła ostry zakręt. Na łądzie widać było nie kończący się łańcuch nagich pagórków.

Świtało. Księżyc przybladł. Gwiazdy gasły jedna po drugiej,

jak gdyby je ktoś wyłączał, jedynie nad wzgórzami wisiała jeszcze samotna, zielona gwiazdka.

Mocny prąd znosił tratwę w kierunku brzegu. Pan Jan stał na skraju, rozcierając zziębnięte ramiona, pierś, boki.

Rzeka skręciła w prawo. Nagle profesor usłyszał w oddali, za górką, czyjś słabiutki głosik.

Drgnął cały. Serce załomotało mu w piersi.

— Hop, hop! — wołał ktoś z brzegu.

Profesor zaczął biegać po tratwie tam i z powrotem, wrzeszcząc na cały głos:

— Oleek! Waleerka!

— Panie profesorze! — doleciało zza wzgórza.

— Tutaj! Tutaj! Do mnie! — wołał rozdygotany profesor.

Zza pagórka wyłoniła się głowa chłopca, potem ramiona, potem cały Olek. Wskoczył na wzniesienie i w popłochu rozglądał się dookoła.

— Tutaj! Olku! Tutaj! — krzyczał profesor.

Dojrawszy go wreszcie, Olek jakoś dziwnie chlipnął i na złamanie karku pognał ku wodzie.

— Niech pan dobija! Niech pan prędzej dobija! — wołał, bezładnie wymachując ramionami.

Jenotow położył się na tratwie i zaczął śpiesznie zagarniać wodę rękami, ale tratwę jakby na złość znosiło w bok, kręciło nią i rzucało o głazy.

Przemknęła obok chłopca i szybko zaczęła oddalać się z prądem.

— Niech się pan zatrzyma! Błagam pana! — wołał Olek biegnąc brzegiem.

— Zaraz, zaraz, mój złoty! — profesor jeszcze energiczniej

wiosłował rękami.

Ale tratwa nikogo nie słuchała. Wtedy uczony stanął na samym jej skraju i rzucił się w wodę.

Olek rozplakał się i także wskoczył do rzeki.

— Dokąd? Po co? — pytał profesor, wysuwając głowę na powierzchnię.

Ale Olek bez zastanowienia brnął na jego spotkanie i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy woda sięgała mu już do pasa.

Profesor podpłynął do chłopca.

— Jesteś sam? A gdzie siostra? Czy coś się stało? — zapytał z trwogą, widząc zapłakaną twarz Olka.

— Stało się! — rozszlochał się Olek. — Walerka zginęła!

— Co ty wygadujesz! — profesor złapał go za rękę. — Jak to było? Kiedy? Gdzieś ją zgubił? No, czego milczysz?

— Pły... płynęliśmy początkowo w orzechu, potem dobiliśmy do brzegu i poszliśmy szukać pana, a potem...

Machnął ręką i zamilkł.

— No, i co dalej. Mówże! — ponaglał profesor. — Powiedz, gdzieś ją zostawił?

— Tam — Olek machnął ręką w nieokreślonym kierunku — za tymi wzgórzami!

— Pamiętasz gdzie?

— Tak, ale stąd nie trafię, a od orzecha trafię.

— A gdzie jest orzech?

— Tam w zatoce.

— Dobrze — zdecydował Jenotow. — Pójdziemy najpierw do zatoki, gdzie zatrzymał się orzech, i tam zobaczymy, co robić dalej. W drogę!

Wyszli na brzeg, na zimną, wilgotną ziemię.

— Prowadź! — powiedział Jenotow.

— Prowadzę — westchnął Olek. — Trzeba iść tędy.

— I, proszę cię bardzo, nie becz! Znajdziemy ją. Przecież to nie igła, tylko żywy człowiek... Może krzyczeć... Nas też usłyszysz. Znajdziemy ją na pewno.

Z daleka ukazała się zatoka. Na spokojnej wodzie kołysał się, jak barka, wielki, czarny orzech.

— O tu — cichutko odezwał się Olek.

— Widzę! — Profesor przystanął. — Pamiętasz, dokąd szliście z tego miejsca?

— Pamiętam. Ja szedłem wzdłuż brzegu, a Walerka na prawo. O tam!

— Dobrze! Prowadź tą drogą, którą szła Walerka.

Ruszyli dalej. Kiedy doszli do zagajnika, Olek powiedział:

— Stąd wołała na mnie po raz ostatni. A potem przepadła.

— A pamiętasz, co wołała?

— Zdaje się, że „hop, hop!“ — niepewnie odparł chłopiec.

Profesor się zamyślił.

— A rano szukałeś jej tutaj?

— Szukałem. Obszedłem cały zagajnik.

— Posłuchaj... Idź w prawo, a ja w lewo. Tylko nie trać z oka tego zagajnika. Tutaj się spotkamy. No, ruszaj!

Rozeszli się w różne strony. Szli uważnie badając każdą jamkę, zaglądając pod kamienie, podnosząc z ziemi grube liście: czy przypadkiem dziewczynka tam się nie dostała i nie zasnęła?

Olek wołał, aż zupełnie zachrypnął. Nadaremnie.

Walerki nigdzie nie było.

Po długich poszukiwaniach wrócili do zagajnika, zmordowani, ledwo powłócząc nogami. Nawet rozmawiać nie mieli ochoty.

Przycupnęli pod drzewem i tak siedzieli ze zwieszonymi głowami, starając się na siebie nie patrzeć.

Tuż nad głową profesora zwisała gałąź zakończona żółtymi kulami. Kule chwiały się, wlokąc po ziemi okrągłe cienie. Jedna z nich była jak żywa. Ścianki jej drgały, dziwnie ruszała się na lodydze, jak gdyby chciała się od niej oderwać i skoczyć na ziemię. Inne natomiast wisały spokojnie.

— Nie ma co! — westchnął profesor. — Przepatrzmy teren jeszcze raz. Teraz ty idź w tamtą stronę, a ja pójde brzegiem. Potem znów wrócimy tutaj. Zrozumiałeś?

— Tak — powiedział ze smutkiem Olek.

Jenotow wstał i szybkimi krokami poszedł w stronę wody. Olek udał się w przeciwnym kierunku.

Kiedy odchodził, wydało mu się, że słyszy słabiutki, przytłumiony głosik. Odwrócił się szybko.

— Idź, nie marudź! — zburczał go profesor. — Szkoda każdej chwili.

Znowu zaczęli poszukiwania, biegając po pagórkach i od czasu do czasu nawołując się.

Nagle profesor stanął.

W bok od zagajnika dojrzał bardzo dziwne ślady. Ziemia była poryta, porozrzucana. Na pulchnych pagórkach wyraźnie widać było odciski czyichś nóg. Musiał tu się bardzo niedawno odbyć zażarty bój.

Profesor nachylił się do samej ziemi. Świeży, szeroki ślad biegł w stronę piaskowych wzgórz.

— To ona! — wyprostował się uczony. — Musimy się śpieszyć! Olku, szybko do mnie! — wołał machając ręką.

— Znalazł pan? — zapytał chłopiec z daleka.

— Chodź tu!

Kiedy zziąjany Olek nadbiegł, profesor pokazał mu w milczeniu ślady walki na ziemi.

— Co to? — Olek zbladł jak chusta.

— Zdaje się — cicho odparł profesor — że tutaj ją schwycili. Widać, że się broniła, ale...

Zamilkł.

— Co, rozszarpali ją? — krzyknął Olek.

— Nie sądzę — odparł niepewnie Jenotow — ale zaciągnęli do nory.

— Po co?

— O tym potem, a teraz gońmy za śladem. Zdaje mi się, że się domyślam, kto ją porwał. Prędzej, może zdążymy.

Pognali świeżym tropem.

Pędzili tak, oddalając się coraz bardziej od zagajnika, gdzie w żółtym kwiatku została Walerka.

Wiatr podniósł na wzgórzach wysokie słupy pyłu, zakręcił nimi, zakotłował wokół profesora i Olka, zacierając na ziemi ich lekkie ślady.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SPOTKANIE Z OSĄ SZCZERKLINĄ. ROŚLINA-DRAPIEŻNIK. CIEKAWÉ ROZMOWY W ZAGAJNIKU WIESIOŁKOWYM. CUDOWNE KOSZYCZKI

Zagajnik dawno już zniknął za wzgórzami. Podróżnicy biegli teraz szeroką, nagą doliną. Na lewo i na prawo wznosiły się, niczym żółte mury, strome piaszczyste wzgórza.

Z rzadka napotykali cherlawe trawiaste drzewa o połamanych gałęziach i listkach zasypanych piaskiem.

— Żyje! — wołał biegnąc profesor. — Widzisz, Olku, chwyciła się krzaków! Walczyła! Musimy biec jak najszybciej. Jeszcze zdążymy. Naprzód, Olku, naprzód, chłopcze!

I dalej pędzili co sił w nogach.

— Widzę! Widzę! — wrzasnął nagle chłopiec. — Niech pan patrzy! Tam, przy drzewach! Są tam, walczą!

Nędzne drzewiny chwiały się, jak gdyby ktoś trząsł nimi silnie.

— To Walerka! Szamocze się! — ochryple wołał Olek. — Prę-dziej, panie profesorze, prędzej!

Pomknęli jak jelenie. Ale kiedy dopadli rzadkich drzewek — nie było tu już nikogo.

Drzewa przygięte do ziemi, gałęzie obłamane. Szeroki ślad prowadził gdzieś dalej, w gąszcz trawiastej dżungli.

Profesor przystanął. Olek o mało na niego nie wpadł z rozpędu.

— Stop! — ponuro rozkazał Jenotow.

— Bo co? — cichutko zapytał Olek.

Profesor popchnął go lekko, wskazując jednocześnie ręką do przodu.

Z daleka, na żółtym piasku, chłopiec zobaczył skrzydlate, długonogie stworzenie, bardzo podobne do osy. Wlokło ono po ziemi olbrzymią gąsienicę. Gąsienica była gruba i wielka, kilkakrotnie większa od osy. Walczyła zajadle, ale najpewniej nie mogła się wyrwać z chwytanych łap osy. Ta ciągnęła ją po ziemi, zostawiając szeroki ślad.

Właśnie za tym śladem pobiegli nasi podróżnicy.

— Osa szczerkлина — gniewnie burknął profesor — taszczy do swojej nory larwę rolnicy zbożowej, najstraszniejszego szkodnika zbóż i buraków cukrowych. To dobrze, że ciągnie zdobycz dla swego potomstwa, ale co to nas obchodzi? Po co za nią pędzimy?

Olek popatrzył na niego stropiony.

— A co będzie z Walerką?

— Musimy wracać. Daleko nie mogła odejść. Trzeba teraz szukać jej koło zatoki. A jeżeli nie znajdziemy do zmroku, to zapalimy błotny gaz. Zobaczy płomień i domyśli się, że to my. A nawet jeśli się nie domyśli, to i tak skieruje się na ogień.

Ale Olek nie bardzo już teraz wierzył, że znajdzie siostrę.

„Zginęła. Koniec. Nigdy jej nie zobaczymy” — myślał, wlokąc się za profesorem. Wszystko mu nagle zobojętniało. Chciał płakać, ale oczy miał suche. Westchnął z rozpaczą. I dopiero wtedy poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

Nogi pod nim drżały, potykał się na każdym kroku. W ustach

Ledwie kamień dotknął liścia — pręty się zwarły i okryły go szczelnie.

Kamień zniknął z oczu.

— Co to? — zdziwił się Olek.

— Rosiczka — spokojnie wyjaśnił profesor — owadożerna, drapieżna roślina.

— Co? — Olek zdziwił się ogromnie. — To u nas są takie rośliny? Przecież one rosną tylko w gorących krajach! Nawet czytałem o tym w jakiejś książce.

— To prawda, że w gorących krajach rośliny takie spotyka się o wiele częściej niż u nas, ale i tu jest ich niemało, zwłaszcza w okolicach, gdzie ziemia jest uboga w soki. Na takiej glebie zwykłe rośliny nie mogą się utrzymać. Natomiast rośliny-drapieżniki nawet na ubogiej glebie czują się nie najgorzej. Jeżeli ziemia ich nie może wyżywić, to trudnią się polowaniem. Chwytają owady i wysysają z nich soki. Tak oto żyją, tak rosną. Ani to zwierzę, ani roślina, a właściwie i jedno, i drugie razem. Zapamiętaj sobie dobrze: oprócz rosiczki na owady polują także niektóre gatunki pierwiosnkowatych, tłustosze, a w stawach często występuje drapieżny pływacz, który łowi nawet drobne rybki. A w ogóle jest tych drapieżników bardzo dużo, Olku. Mógłbym wymienić ponad pięćset, ale...

— Chwileczkę — przerwał mu chłopiec, zdenerwowany — teraz wszystko rozumiem! Walerka wpadła właśnie do takiej owadożernej rośliny.

— Co? — profesor rzucił zaniepokojone spojrzenie na Olka.

— Tak, teraz już wiem. Krzyknęła do mnie: „Włazę na drzewo!” To znaczy, że się na nie wdrapała, ale na ziemię już nie zeszła. Dlatego nie znalazłem jej w zagajniku!

Pobiegli, przesadzając żółte kępki.

— A jak one zjadają? — pytał Olek w biegu. — Od razu czy pomału?

— Najpierw rośliny polewają swoją zdobycz sokiem — sapał profesor — i trzymają, dopóki nie rozpuści się, a potem wysysają z niej krew i wszystkie substancje odżywcze.

— Ale Walerka chyba jeszcze się nie rozpuściła!

— Nie pleć głupstw!

Profesor mocno ścisnął Olka za rękę i ciągnął go za sobą.

Pędem minęli zarośla i wreszcie dopadli do zatoki, gdzie wciąż jeszcze trzymał się na wodzie czarny, mokry orzech.

— Tutaj! — wrzasnął chłopiec. — Stać, to tu!

Ledwo mogąc złapać dech, zatrzymali się na wysokim pagórku.

W dole leżała żółta pustynia. Na prawo zielenił się niewielki zagajnik.

— Gdzie są te drzewa? — zagadnął profesor. — Jak dotąd, to nie widzę ani jednej owadożernej rośliny.

— A jednak to tu — upierał się Olek. — Doskonale pamiętam, Walerka zginęła w tym zagajniku.

Olek machnął ręką w stronę, gdzie sterczały rozłożyste drzewa z żółtymi kulami.

— W zagajniku? — nie dowierzał profesor. — Tam, gdzieśmy już byli? Jesteś pewien, że wchodziła na te drzewa?

— Tak. Przecież innych tu nie ma!

Biolog przyjrzał się uważnie żółtym kulom i roześmiał się ra-

dośnie:

— Gdzie ja mam głowę? Jak mogłem nie wpaść od razu na ten pomysł? Przecież to... Oj!

Odwrócił się do towarzysza i śpiesznie zapytał:

— Kiedy to było? Rano? W nocy?

— Rano. Przed wschodem słońca.

Profesor podniecony zatarł ręce.

— No to wszystko jest jasne. Tak, teraz wszystko rozumiem. Bardzo dobrze. Po prostu świetnie!

Westchnął hałaśliwie, uśmiechnął się, chwycił Olka w ramiona i uścisnął z całych sił.

— Walerka żyje! Jest tam! Siedzi w kwiatku!

— W kwiatku?

— No tak. To wiesiołek. Walerka siedzi w kwiatku wiesiołka.

— I nic jej nie grozi?

— Nie, nie! Niebawem zobaczymy ją całą i zdrową.

— To jazda! — postanowił Olek, chwytając profesora za rękę. — Wdrapmy się szybciej i pomóżmy Walerce wydostać się z kwiatka.

Biolog pokręcił głową.

— Widzisz — powiedział jakoś dziwnie pokaszując — teraz nic nie zrobimy: przecież nawet nie wiemy, na które drzewo weszła. To po pierwsze. Ale przypuśćmy, że ją znajdziemy. Przypuśćmy nawet, że znajdziemy kwiatek, w którym Walerka siedzi. To jak ją oswobodzimy? Niestety, tego zrobić i tak nie zdołamy. Po prostu nie starczy nam sił, żeby rozsunąć płatki. To po drugie.

— A po trzecie, czy Walerka tam się nie udusi?

— Nie ma mowy. Kwiatek jest duży, przestronny. Zaczekajmy

do wieczora, a rozewrze się sam.

— Co za dziwny kwiatek. Inne otwierają się rano, a ten właśnie nad wieczorem.

— To zamorski gość. Cudzoziemiec. Przybył do nas z Ameryki i żyje według starych, amerykańskich obyczajów.

Na twarzy Olka ukazał się uśmiech pełen powątpiewania.

— Wcale nie żartuję — poważnie powiedział profesor. — Wiesiołka przywieziono z Wirginii. Jakies trzysta lat temu przysłano jego nasiona dla botanika Kacpra Bogena. I przez te trzysta lat wiesiołek przeszedł przez całą Italię, Francję, Niemcy, Polskę, aż w końcu zjawił się u nas... A teraz, na piaszczystych brzegach naszych rzek, tego cudzoziemca spotyka się o wiele częściej niż inne, krajowe rośliny.

— A wieczorem na pewno się otworzy?

— Bezwarunkowo. Każdego wieczora kwiaty jego muszą się otworzyć, całą noc stoją rozwarłe i dopiero nad ranem znowu się zamykają. Nie na próżno przezwano go „Nocną Świecą“! Co teraz będziemy robić, Olku? Mamy do dyspozycji kilka godzin.

— Proponuję coś zjeść i trochę się przespać.

— Świetna myśl — zgodził się profesor. — Przyjęta jedno-
głośnie.

Przeciągając się i ziewając wstał i wolno poszedł wzdłuż brzegu.

— Chodźmy, mój drogi, wprost do kwiatów. Na pewno znajdziemy tam coś do jedzenia.

— Gdzie pan zobaczył kwiaty?

— Jeszcze ich nie widzę, ale za to świetnie słyszę, jak tam, w pobliżu zatoczki, bzykają pszczoły. To znaczy, że i kwiaty muszą być gdzieś niedaleko.

Profesor miał rację. Gdy przebrnęli przez szczyt pagórka, zaraz dostrzegli w dolinie olbrzymie, rzadko rozsiane drzewa. Ich wierzchołki ugiwały się pod ciężarem liliowych kwiatów.

Jenotow podszedł do samotnego drzewa, obsypanego kwiatami, szybko wdrapał się na nie i krzyknął z góry:

— Stój w miejscu!

Wlazł do kwiatka i zabrał się do jakiejś skomplikowanej pracy.

Olek cierpliwie czekał na dole.

Widział poprzez listowie czerwone, przypieczone słońcem plecy profesora. Biolog pracował z szeroko rozstawionymi łokciami, które to się unosiły, to opuszczały jak tłoki silnika.

Olkowi stanęła w pamięci mama. Tak samo wyrabiała w kuchni ciasto.

— Hop, hop! — zawołał Jenotow, obracając się twarzą do Olka. — Łap świeże bułeczki!

Okrągłe bocheneczki zastukotały po liściach. Podskakując, potoczyły się po ziemi.

Olek podniósł bochenek i odgryzł maleńki kęs.

— No, jak? — zapytał z góry profesor.

Bułeczka była aromatyczna i tak samo wyborna w smaku jak ciasto pszczoły-samotnicy.

— To z pyłku i miodu? — zapytał chłopiec.

— Tak, z pyłku i z nektaru. Smakuje?

— Bardzo! Pycha! Jak pan je tam robi?

— Zwyczajnie, wsypuję do nektaru trochę pyłku i wyrabiam jak ciasto.

Bochenki posypały się na ziemię jak jabłka z jabłoni.

Olek zbierał je i składał na kupki.

Wreszcie profesor zszedł z drzewa, usiadł na ziemi, wybrał sobie okazałą bułkę i odgryzł od razu połowę.

— Tak naprawdę to wcale nam się nie najgorzej powodzi — mruknął szelmowsko do Olka.

— Aha — zgodził się chłopiec — żyć tutaj można, jednak... — westchnął i zamilkł.

— No, no! — uspokoił go profesor. — Nie martw się! Wrócimy do domu. Wszystko będzie w porządeczku! — I dodał wstając: — Chociaż do wieczora jeszcze kawał czasu, to nie powinniśmy się oddalać zbyt daleko od wesołkowego zagajnika. Chodźmy tam, usiądziemy i zaczekamy na Walerkę. Bierz no bułeczki z sobą. Sądzę, że będą jej smakowały.

— Ja też tak myślę — skinął głową Olek. — Biedactwo przez cały dzień nic w ustach nie miało. Teraz wszystko wyda jej się przepyszne.

— No tak — w zamyśleniu powiedział profesor — ale jak będziemy je nieśli? Bez koszyczka niewiele da się zabrać... Wiesz co? Posiedź tu chwilę, przyjacielu, a ja poszukam jakiegoś koszyczka.

Rozejrzał się w prawo, w lewo i poszedł w kierunku sporych kopczyków leżących nad brzegiem rzeki. Pochylił się nad jednym z nich i zaczął dłubać patykiem.

— Znakomicie! Zdaje się, że to coś w sam raz dla nas.

Profesor dalej rozgrzebywał kopczyk.

— Weź no, mój drogi, i przepłucz tę sztukę — wyciągnął do Olka dużą grudkę błota.

Olek wziął ją ostrożnie i trzymając jak najdalej od siebie, że-

by się nie powalać, pobiegł nad wodę.

Wszedł w nią po kolana i zanurzył znaleziony przez profesora przedmiot.

Woda zmętniała. Błoto topniało jak masło na rozpalonej patelni. Nagle pod warstwą brudu błysnęło coś białego. Olek zeskrobując gęste, lepkie błoto niespodziewanie namacał twarde, choć bardzo cienki pałaczek.

— Zdaje się, że to naprawdę koszyczek — zdziwił się wielce.

Kiedy silny prąd spłukał błoto do czysta, w rękach Olka znalazł się niezwykle piękny koszyczek.

Ujął go za rączkę, podniósł do samych oczu i stał tak chwilę, z przyjemnością wpatrując się we wzorzyste krataczki, zda się wyrzeźbione z kości słoniowej.

— No jak? Podoba ci się? — usłyszał za sobą głos profesora.

— Zupełnie jak z koronki — odparł z zachwytem chłopiec. — Kto to tak pięknie zrobił?

— O tym potem — powiedział Jenotow — a teraz przepłucz jeszcze i te.

Rzucił na ziemię dwie ciężkie błotne kule i wrócił do rozkopanych kopczyków. Olek wziął się do dzieła.

Starannie obmywał brud z niezwykle koszyczków i ustawiał je na brzegu rządkiem, profesor zaś przynosił coraz to nowe.

Jeden koszyczek był piękniejszy od drugiego.

Cienkie srebrzyste strzałki spletały się w wymyślną kratę. Na kracie spoczywały tarcze ozdobione gwiazdami, listkami i wieńcami. Wyglądały na robotę jakiegoś pierwszorzędnego mistrza.

Jeden koszyczek przypominał nawet maciupeńki zamek z ażurowymi basztami i strzelistymi oknami. Ściany były ozdobione

kwiatkami, jelenimi rogami i gwiazdami. Inne znów zupełnie nie były podobne do koszyczków. Olek ich nie wyrzucał, lecz ustawił rządkiem.

Były to jakby wyrzeźbione ze srebrzystej kości półmiski, wazy, szyszaki, kule, gwiazdy, kubki i korony.

— Każdy inny! — zdumiewał się chłopiec.

— Tak, są bardzo urozmaicone. Można studiować je przez całe życie, a i tak codziennie będzie się odkrywać nowe kształty tych roślin.

— Jak pan powiedział? — Olek szybko obrócił się w stronę profesora. — To mają być rośliny?

— Tak, to są rośliny jednokomórkowe, okrzemki! Ściślej mówiąc, to jest otoczka rośliny. W tych wspaniałych koszyczkach-otoczkach żyje pospolita roślina wodna — glon. I to w najróżniejszych odmianach. Same wodorosty zginęły, pozostały tylko ich twarde otoczki. Miną dziesiątki i setki lat, a te niezwykle koszyczki nie rozsypią się pod wpływem czasu.

— Tak, rzeczywiście są szalenie mocne. Niech pan popatrzy, ani rusz nie mogą ich złamać.

— Bo otoczki glonów zbudowane są z krzemionki, a to jest bardzo mocne tworzywo.

— Pan powiedział o nich „wodorosty”. To znaczy, że one żyją w wodzie. No to jak...

— Chcesz zapytać, jak znalazły się na ziemi? Zapewne zostały wyrzucone na ląd w czasie burzy czy powodzi. A może kiedyś, dawno, było tu jezioro, które okrzemki zasypały całkowicie?

— Takie malutkie i mogłyby zasypać jezioro?

— One są małe, ale jest ich bardzo dużo. Tak jak pył w pro-

mieniach słońca, utrzymują się w warstwie wody. Miliardy miliardów. Ich życie jest krótkie. Rodzą się, żyją krótko i umierają. W dzień i w nocy na dno morskie spada deszcz martwych okrzemek, które tam się odkładają. Na nie spadają wciąż nowe. Warstwa po warstwie narastają do góry miliardy nieżyjących okrzemek. Mijają tysiące lat. Okrzemki wynurzają się z dna rzek jako wyspy czy mielizny. Rzeka dzieli się na odnogi, tworzy delty. Zmienia się jej koryto. Zmienia się też topografia terenu. Olbrzymie jeziora przekształcają się w bagna, znikają z map.

Nie opodal Leningradu, na wyspie, leży miasto Kronsztadt. Trzeba do niego jechać trzydzieści kilometrów po tak zwanym Zalewie Markiza. Ale za dwa i pół tysiąca lat z Leningradu do Kronsztadtu można będzie przejść suchą nogą. Zmartwiałe okrzemki stworzą tam stały, mocny ład.

Jak widzisz, te maleństwa, w sposób niewidoczny dla człowieka, zmieniają wygląd ziemi.

Profesor pogładził brodę i dodał:

— No a teraz otoczki glonów otrzymują nowe przeznaczenie. Wybierz odpowiednie opakowanie dla naszych bułeczek.

Olek w zamyśleniu napełnił dwa koszyczki bułkami i poszedł za profesorem.

Podróżnicy wrócili do zagajnika. Ustawili koszyczki pod drzewem, a sami wyciągnęli się w chłodnym cieniu. Podłożyli ręce pod głowy i tak leżeli na wznak, rozmawiając półgłosem, aż obaj zaczęli ziewać.

— Może pośpimy— zaproponował profesor.

— Niech pan śpi, a ja będę czuwał.

Profesor zasnął, Olek, leżąc obok niego, wsłuchiwał się w jego równomierny oddech i myślał o tym, jak mama się ucieszy, kiedy oboje z Walerką przyjdą do domu i jak będzie się dziwić, kiedy on, Olek, będzie jej opowiadał o ich niezwykłej podróży.

Oczy zaczęły mu się kleić. Odwrócił się na bok i zasnął kamien-
nym snem, tak jak profesor.

Przez sen słyszał jakieś niejasne odgłosy i czyjeś ciche kroki, jak gdyby skradał się ku nim dziki zwierz. Potem wszystko ucichło. I nagle najprawdziwszy ludzki głos donośnie zawołał:

— Ach, to wy tutaj! Co to ma znaczyć?

Profesor i Olek otworzyli oczy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OLEK ZAWIERA ZNAJOMOŚĆ Z MRÓWKOLWEM. NOCLEG W PIECZARZE. TRZMIELOWY SPICHLERZ. TAJEMNICZE OGNIE. NIEZWYKŁY KON. NAJAZD MUCH

W różowym świetle wieczornej zorzy stała przed nimi Walerka. Żywa Walerka z krwi i kości.

Trzymała w rękach koszyczek-okrzemkę i uważnie przyglądała się jego srebrzystym wzorom. Podnosiła go to do twarzy, to jeszcze wyżej, ponad głowę, i badawczo przypatrywała się, mrużąc jedno oko.

— Patrzcie państwo! — roześmiał się Olek. — Mamy przed sobą dalszy ciąg filmu „Dziewczę z Kamczatki“. Zaginione dziewczę w tajemniczy sposób zjawia się na zachodnim wybrzeżu.

Profesor nie powiedział ani słowa. Mocno przytulił dziewczynkę do piersi i w milczeniu pogłaskał ją po głowie.

Walerka wydarła się z jego objęć i, przesuwając przed oczami koszyczek, zapytała:

— Czyżbyście to sami zrobili? Z czego? I czym tak pięknie pachnie? Można to zjeść?

— Koszyczka nie można, ale bułeczki, które w nim leżą — i owszem — powiedział profesor.

— Ile chcesz? Dwie? Trzy? — zapytał Olek, wyciągając bułeczki.

— Pięć! Proszę o pięć! — szybko zdecydowała się Walerka. Profesor i Olek przyjęli to ze śmiechem.

— To się nazywa nabrać apetytu! — zakpił brat.

— To nic, to nic, niech się naje przyzwoicie. My zresztą też coś

przegryziemy. Chcesz?

— Proszę.

Podróżnicy usiedli w cieniu rozłożystego drzewa.

Profesor postawił przed dziećmi po koszyczku bułeczek i szerokim gestem zaprosił je na kolację.

Walerka odgryzła kawałek, posmakowała i stwierdziwszy: — Bardzo dobre! — zaczęła pałaszować, aż jej się uszy trzęsły.

Profesor i Olek spoglądali na nią z uśmiechem.

Olek mrugał na profesora i zapytał z niewinną miną:

— Czy pan coś słyszał, panie profesorze, o tym obzartuchu, którego pokazywali w cyrku?

— Nie słyszałem — odparł profesor.

— A ja słyszałem. Podobno zjadał na jedno posiedzenie dzieść talerzy zupy.

— Ja bym też zjadła — wymamrotała Walerka z pełnymi ustami.

Olek trącił profesora łokciem i ciągnął dalej:

— A na drugie — piętnaście schaboszczaków.

— Też mi coś! — wykrztusiła dziewczynka.

— A na deser wbijał jeszcze dwadzieścia kompotów.

— Mogłabym nawet trzydzieści.

Olek odsunął od siebie koszyczek i wytarł palce w płatek kwiatka.

— A potem zawiązywał na nowo serwetkę pod szyję i powiadał: „No, zdaje się, że pierwszy głód zaspokoilem, już można by się zabrać do porządnego obiadu“.

— I ja...

Walerka sięgnęła po ósmą bułeczkę, ale zreflektowała się i po-

wiedziała z ciężkim westchnieniem:

— Nie, dziękuję, już więcej nie chcę.

— A teraz — profesor poklepał ją po ramieniu — opowiedz nam, jak wpadłaś na pomysł, żeby wleźć do kwiatka wiesiołka?

— Myśmy z Olkiem szukali pana, prawda, Olku?

Olek przytaknął skinieniem.

— Chodziłam i chodziłam, aż mi się okropnie zachciało jeść, a tu w lesie pachnie jak w cukierni. Myślę sobie — wdrapię się na drzewo. No i tak zrobiłam. Nagle, jak się ten kwiatek nie zatrząśnie! I nie puszcza! Wrzeszczałam, aż mi samej uszy spuchły.

— I na pewno płakałaś?

— Trochę. A potem zasnęłam, i to tak mocno, że mi się nawet nic nie śniło. Później słyszę, że ktoś krzyczy: „Walerka! Walerka!“ chcę się zbudzić i nie mogę!

— No, najważniejsze, że się wszystko dobrze skończyło — powiedział profesor. — Ale żebyśmy się znowu nie pogubili, musicie mi dać słowo, że nie będziecie się oddalać ode mnie ani na krok.

— Słowo honoru! — zawołał Olek.

— Słowo honoru! — zawtórowała mu dziewczynka.

— No, to naprzód! Marsz! — wesoło rozkazała Jenotow. —

W drogę, moi drodzy, w drogę!

Zabrali z sobą koszyczki z bułkami i poszli wzdłuż rzeki.

Przed nocą dotarli do dużych wzgórz. Przenocowali w jakiejś jamce i rano, posiliwszy się wonnymi bułeczkami, ruszyli w dalszą drogę.

Szli tak przez parę dni, nocując w kwiatkach, w muszelkach, w pustych gniazdach os i nawet pod kamieniami, w ponurych

i wilgotnych norach.

Żywili się nektarem, miodem pszczelim, jajkami motyli i zielonym mlekiem.

W dolinie Trzech Rzek profesor znalazł martwą, widać niedawno poszarpaną przez drapieżnika, piegzę. Podróżnicy delektowali się przez trzy dni pieczoną i wędzoną dziczyzną i na pewno starczyłoby im mięsa jeszcze na dwa tygodnie, ale napadły ich chrząszcze-skórniki, które odebrały im prowiant i w dodatku mało nie pokaleczyły profesora i Olka.

Podróżnicy z każdym dniem zbliżali się coraz bardziej do stawu. Na przeciwległym jego brzegu sterczał drąg — latarnia morska.

Według obliczeń uczonego, powinni byli nazajutrz pod wieczór dotrzeć nad wodę, przepłynąć ją w ciągu nocy, no a stamtąd mieliby już zupełnie blisko do skrzynki.

— Mniej więcej za dwa-trzy dni będziemy w domu — zapewniał towarzyszy.

Niestety, jego obliczenia się nie sprawdziły.

Kiedy byli już zupełnie blisko wody, wydarzył się pewien przykry wypadek. A stało się to nad ranem.

Profesor z dziećmi wyszli z pieczary, gdzie spędzali noc, i ruszyli w dalszą drogę, krocząc po zimnej, porannej rosie.

— Ale ziąb! — kulił się profesor.

Drżąc z zimna tak, że aż zęby dzwoniły, szli wytrwale przez wzgórze i doliny. Wydawało się, że stąpają bosymi nogami po lodzie, lekko tylko przysypanym ziemią. Mieli ochotę zatrzymać się i podkulić nogi pod siebie, jak to robią zimą gęsi.

Wreszcie dzieci nie wytrzymały i, żeby choć trochę się rozgrzać, szybko pognały do przodu.

— Nie odchodźcie daleko! — zdążył jeszcze krzyknąć za nimi profesor

Ale dzieci biegły już ku wysokiemu łańcuchowi pagórków, przeganiając się i skacząc z rozpędu przez szerokie rowy i małe strumyki.

— Wróćcie! — wołał profesor. — Wróć, Olku! Walerko, chodź z powrotem!

Ale chłopiec tylko machnął ręką, wbiegł na szczyt piaskowego pagórka i zniknął za nim.

Walerka zatrzymała się, jakby rozmyślając, czy ma wracać, czy towarzyszyć Olkowi. Chwilę postąła, ale potem podążyła za bratem i także skryła się za wzgórzem.

Zaniepokojony profesor przyśpieszył kroku. Nagle zza wzniesienia rozległ się rozpaczliwy krzyk i w następnej chwili na jego szczycie ukazała się Walerka. Wymachiwała rękami i wołała profesora.

— Prędeż! Prędeż! Na ratunek!

Profesor pomknął co sił w nogach i za chwilę znalazł się przy niej.

— Gdzie jest Olek? Gdzie? — pytał, nie mogąc złapać tchu.

— Tam! O, tam! — Walerka wskazała palcem głęboki lej.

Na samym dnie leja, zagrzebane w piasku po gardło, ruszało się jakieś straszliwe stworzenie. Wielkim, czarnym łbem z długimi, wygiętymi haczykami szybciotko podrzucało do góry kamienie i piasek. Na skraju leja stał wystraszony chłopiec. Bezradnie nakrywał głowę rękami i wykrzykiwał coś bez ładu i składu. Kamienie trafiały go z taką siłą, że co chwila padał, podnosił się i znów padał. Potwór bombardował go bez przerwy, starając się oślepić

i zwalić z nóg.

Piaskowe ściany leja osypywały się i osiadały pod stopami chłopca, który spełzał coraz niżej, zbliżał się z każdą chwilą prosto do legowiska potwora.

— Odwróć się plecami! Plecami! Odwróć się od niego! — wrzeszczał profesor.

Ale chłopiec nic już nie rozumiał i, zdawało się, nie słyszał. Wówczas Jenotow szybko zbiegł na dół, chwycił go na ręce i wy dostał się z leja po osypującej się ścianie, mocno tuląc biedaka do siebie.

W ślad za nim poleciał ze świstem istny grad kamieni. Ale Jenotow zacisnął zęby i nie wypuszczając chłopca z objęć dalej gramolił się do góry, chowając głowę w ramiona i przyginając się do samej ziemi.

Wreszcie wy dostał się z leja. Złożył ostrożnie Olka na ziemi, nie przestając mamrotać w zakłopotaniu:

— Widzisz, jaki ty jesteś... Jak można było mnie tak nastraszyć?...

Olek leżał na ziemi blady, oczy miał zamknięte. Po policzkach cienką strużką spływała mu krew. Głowę, jak zresztą i całe ciało pokrywała gruba warstwa szarego pyłu i piasku.

Walerka patrzyła na brata szeroko otwartymi oczami.

— Żyje? — wyszeptła wreszcie, osuwając się obok niego na kolana.

— Żyje! — chmurnie odpowiedział profesor, podkładając pod głowę chłopca złożony płatek niezapominajki.

— Oj, ja się boję! — szepnęła Walerka, spoglądając w stronę leja. — Ale co będzie, jak to straszycie wylezie i znów się na nas

rzuci?

— Nie wylezie, jeżeli sami do niego nie pójdziecie — burknął zniecierpliwiony profesor. — Nie trzeba wsadzać nosa gdzie was nie proszą, jeżeli nie chcecie postradać głowy.

Pochylił się nad chłopcem, przyłożył ucho do jego piersi, namacał tętno na przegubie i bezdźwięcznie poruszył wargami.

Olek westchnął.

— Słyszysz mnie? — głośno zapytał profesor.

Chłopiec usiadł, spojrział na niego nieprzytomnie. Wargi ledwo ledwo mu się poruszyły.

— Tamten... poszedł? — zapytał słabiutkim głosem.

— Poszedł, poszedł — uspokoił go profesor. — Jak się czujesz? Możesz wstać?

— Zdaje się, że mogę.

Słaniając się stanął i powiedział, zaciskając zęby:

— Chodźmy!

Przez pewien czas podróżnicy szli w milczeniu, ale profesor nie umiał długo się gniewać. Kiedy przysiedli, żeby odpocząć, spojrział na chłopca z uśmiechem:

— Patrzcie go, bohater! Nie widzieli takiego! Dobrowolnie polazł do jaskini lwa!

— Ja niechący — tłumaczył się chłopiec. — Biegłem, biegłem, a tu nagle ten lej. No, to sturlałem się na dół..

— Lepiej patrzyłbyś pod nogi i nie liczył gap na niebie. Mało brakowało, a trafiłbyś na obiad do mrówkolwa.

— Jak pan powiedział? Mrówkolew? — zapytała Walerka.

— Tak się właśnie nazywa — skinął głową profesor. — Ale to nie był dorosły mrówkolew, tylko jego larwa. Dorosły owad

nie siedzi w jamie, lecz lata, a jeszcze częściej łązi po drzewach. Myślę, żeście go już musieli kiedyś spotkać.

— A jak on wygląda? Do czego podobny?

— Trochę do ważki. Tylko że okropny nieruchawiec i leń. Siądzie na drzewie, opuści cztery długie skrzydła i tak wisi cały dzień, jak przybity szpilką. A ten zabijaka, co siedzi w jamie i ciska kamieniami — to jego larwa. Poluje tutaj. Widzieliście, jaką sprytną pułapkę zastawiła na gapiów?

— Na mrówki?

— Nie tylko na mrówki. Innym owadom też nie przepuści. A najbardziej przykre jest to — uśmiechnął się biolog — że ciebie chciało zjeść zwierzę, które wcale nie ma paszczy.

— No to czym by mnie zżarło? Nogami?

— Coś w tym rodzaju. Widzisz, przyjacielu, mrówkolew w ogóle nie ma otworu pyszczkowego, ale za to ma na głowie dwa ogromne rurkowate haki, którymi przysysa się do ofiary i wyciąga z niej krew. Jeszcze dwie-trzy minuty, a zawarłbyś bliższą znajomość z tymi haczykami.

Profesor dźwignął się z ziemi i powiedział:

— No dosyć tego, ruszamy dalej.

Walerka pobiegła za nim, a Olek człapał ostatni, starając się nie pozostawać zbyt daleko w tyle.

Od czasu do czasu ostry ból w stopie tak dawał mu się we znaki, że chłopiec aż podskakiwał, a następnie przystawał. Zdawało mu się, że stąpa po ostrych, długich igłach.

A jednak szedł wytrwale. Marszczył się, wykrzywił, gryzł wargi, ale szedł, dotrzymując pozostałym kroku.

Jenotow oglądał się co chwila i ukradkiem obserwował chłop-

ca. Kiedy ten się potykał, profesor przystawał i pytał zatroskany:

— No, jak tam? Może oprzesz się o mnie? Co?

— Nie, nie, to przejdzie — spiesznie odpowiadał Olek. — To tylko tak... Nadepnąłem na ostry kamień.

Wreszcie Olek zaczął ustawać. Teraz już nie szedł, ale skakał na jednej nodze, wlokąc drugą po ziemi.

Jenotow się zatrzymał.

— No, widzę, żeś się zupełnie rozkleił!

— Nie, nie! — zaprotestował chłopiec. — Mogę przejść jeszcze i sto kilometrów.

Wyprostował się i szybko poszedł naprzód. Ale zrobiwszy parę kroków upadł i chwytając się za chorą nogę, zajęczał. Wówczas profesor, nie mówiąc ani słowa, wziął go na barana.

— Ja dojdę! Niech pan puści... ja sam! — wrywał się Olek.

— Siedz spokojnie! — ofuknął go profesor. — Dojdzie!... Pomyślałby kto, szybkobiegacz!

Niosąc chłopca, Jenotow szedł nachmurzony, patrząc uważnie pod nogi. Obok niego kroczyła, z miną winowajcy, Walerka.

Olek położył głowę na ramię profesora i zaczął drzemać. Niebawem powieki mu się przymknęły i zapadł w mocny sen.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że leży nad brzegiem wielkiego jeziora. Profesor stał na kamieniu i, osłoniwszy oczy dłonią, wpatrywał się w przeciwny brzeg, gdzie sterczała samotna żerdź.

Olek usłyszał, że Walerka o coś zapytała, ale nie pojął, o co.

Chłopiec uniósł głowę z ziemi i zaczął się wsłuchiwać. Teraz mówił profesor:

— Zbudujemy okręt i popłyniemy. Ale naprzód poszukamy dogodnego schronienia. Przecież będziemy musieli pomieszkać na

tym brzegu jaki tydzień albo i ze dwa.

— Dlaczego?

— Jak to: dlaczego? Nie widzisz, że nam się Olek rozchorował?

— Nie trzeba... — odezwał się chłopiec, unosząc się na łokciu.

— Co nie trzeba?

— Nie trzeba mieszkać na brzegu. Potrafię dopełznąć na statek i nawet będę wiosłował.

— Bzdury! — machnął ręką uczony. — A co będzie, jeżeli nagle zerwie się burza? Przecież pójdiesz na dno jak kamień!

Pochylił się nad chłopcem i ostrożnie dotknął ręką jego napuchniętego kolana.

— Patrz! Jak zsiniało! I na pewno boli?

— Boli! — skrzywił się Olek — i pali, jakby kto gorącym żelazkiem prasował.

Profesor zamyślił się, nagle stuknął się w czoło i popędził do jeziora.

— Uch, ale spuchło! — Walerka dotknęła koniuszkami palców chorej nogi brata.

— Tak, gdyby ciebie tak ostrzelali, to cała byś spuchła! — odciął się chłopiec, gładząc bolącą nogę.

— Ale nie stąpaj na nią, to ci prędzej przejdzie. Chcesz, to ci poszukam kuli?

Tymczasem wrócił profesor. Trzymał przed sobą na wyciągniętej dłoni niewielki listek, z którego woda kapiała na piasek.

— Obróć no się — powiedział do Olka — i dawaj nogę.

Na rozpalone, spuchnięte kolano położył mokry, chłodny listek i zręcznie owinął nim chore miejsce.

— No, jak?

— Dobrze, coś w rodzaju okładu. Od razu zrobiło się lżej.

— Wspaniale. Leż spokojnie, a my z Walerką pójdziemy poszukać miejsca na nocleg.

Na szczęście tym razem nie musieli długo szukać. Cały brzeg jeziora był poorany głębokimi jaskiniami. Profesor z Walerką zajrzeli do paru z nich i wreszcie wybrali suchą pieczarę piaskową z niskim sklepieniem i wąskim wejściem.

— Zostańmy tutaj — zaproponowała dziewczynka.

Profesor się zgodził. Wrócił na brzeg, wziął chłopca na ręce i przeniósł go do pieczary.

— Leż tutaj! — powiedział, układając go pod ścianą. — Wygodnie?

Chłopiec nic nie odpowiedział. Spał już ciężkim snem chorego. Pan Jan z Walerką usiedli przy wejściu i zjedli na kolację resztki miodowego ciasta.

— A teraz spać! — rozkazał Jenotow.

Założywszy wejście kamieniami, podróżnicy wyciągnęli się na suchym piasku i niebawem mocno zasnęli.

Nad ranem profesorowi przyśnił się mrówkolew. Jak w kleszczach trzymał Olka wygiętymi haczykami i uporczywie wpatrywał się w niego wylupiastymi, wielkimi ślepiami.

Olek bił potwora po łbie rękami i nogami i cicho jęczał.

Profesor otworzył oczy.

„Ale paskudny sen“ — pomyślał.

Jednak jęki rozlegały się dalej. A więc to nie sen?

— Olku, co ci jest? — zapytał.

Chłopiec nie odpowiedział.

W pieczarze było ciemno. Jenotow wstał i trzymając się ściany,

po omacku posunął się do wejścia.

Namacał po ciemku barykadę z kamieni, zdjął z niej dwa duże głązy i ostrożnie, żeby nie wystraszyć dzieci, odłożył je na ziemię.

Od razu pojaśniało. Szare światło prześwitu padło na piaskową polanę, na śpiące dzieci.

Na środku pieczary leżała, zwinięta w kłębuszek, Walerka. Pod ścianą, rozrzucawszy szeroko ramiona — Olek. Cały płonął. Na czole wystąpiły mu kropelki potu. Drgał i jęczał przez sen.

Profesor podszedł, schylił się i leciutko dotknął spuchniętego kolana, owiniętego listkiem.

Nie budząc się, Olek podkulił nogę i głośniej zajęczał.

— Olku, chcesz pić?— zapytał Jenotow.

Olek otworzył oczy. Nic nie rozumiejąc, długo wpatrywał się w stojącą postać, potem bez słowa odwrócił się do ściany.

— Przynieść ci wody?

— N-nie — mruknął przez zęby chory.

— Chcesz, to ci zmienię kompres?

— Tak, kompres, proszę!

Profesor przyniósł świeży, mokry listek i położył na opuchnięte kolano.

— No, jak? Czujesz ulgę?

— Tak! — westchnął chory.

— No to dobrze. Teraz sobie pośpij! A ja pójdę i poszukam czegoś do zjedzenia. Jak Walerka się obudzi, to nie wypuszczaj jej z pieczary. Ja prędko wrócę.

Olek bez słowa skinął głową.

Pan Jan zawałił kamieniami wejście i, oglądając się co chwila, żeby dobrze zapamiętać miejsce, gdzie pozostawił dzieci, udał

się na poszukiwanie śniadania.

Nie opodal wznosiła się góra pokryta gęstym chruśniakiem. Biolog podszedł do jej podnóża, obejrzał uważnie i pomacał miękkie, puszyste gałązki zielonych krzewów.

— Zdaje się, że to mech! Tak, tak, najprawdziwszy mech! Cóż, popatrzmy, czy nie ma tu czegoś jadalnego.

Śmiało zapuścił się w gęste zarośla. Ledwie uszedł parę kroków, gdy nagle zapadł się po pas. Na szczęście, padając, zdążył jeszcze uchwycić się gałązek.

Machając nogami nad czarną jamą, spojrzął w dół i w półmroku dostrzegł ziemne stropy i gładko ubitą podłogę. Słabiutkie światło sączyło się z góry, poprzez zarośla, skąpo oświetlając ciemne podziemie.

W głębi piwnicy, wzdłuż ściany, stały równiutkimi rzędami białe beczułki.

— Zdaje się, że to trzmielowy spichlerz — mruknął sam do siebie.

Zmierzył oczami przestrzeń dzielącą go od klepiska, wypuścił z rąk gałązki i skoczył.

Ziemia pod nogami była sucha i ciepła.

Rozglądając się z zaciekawieniem dookoła profesor podszedł do baryłek. Wszystkie były szczelnie zamknięte białymi, okrągłymi denkami. Uniósł jedno z denek, pochylił się nad beczułką i powąchał.

— No tak!

Baryłka wypełniona była po brzegi aromatycznym miodem. Obok niej stały takie same beczułki, wszystkie napełnione miodem po wręby. Przypominało to spiżarnię, w której przechowuje się za-

pasy na czarną godzinę.

I rzeczywiście był to spichlerz trzmieli.

Matka-trzmiel składa w gnieździe jajeczko i obok niego zostawia grudkę miodu z pyłkiem kwiatowym. Z jajeczka wykluwa się larwa, zjada grudkę miodu i pyłek i przepoczwarcza się w kokonie podobnym do baryłki. Po pewnym czasie młody trzmiel otwiera denko w górnym końcu beczułki i wylatuje. Ale kokon nie ginie. Latem trzmiel napędzają go miodem i w zimne, deszczowe dni, kiedy nie można wyfrunąć z gniazda, mają gotowe pożywienie.

Pan Jan bez pośpiechu zjadł śniadanie, potem wybrał mocniej zamkniętą baryłkę i zaczął ją wyciągać ze spichlerza.

Praca bynajmniej nie była łatwa.

Baryłka jak żywa wrywała się z rąk, pchała, zwałała z nóg, a jednak profesor nie ustępował i wyciągnął ją na wierzch.

Kolana mu drżały, ręce mdlały, a serce tak łomotało, że czuł je aż w skroniach.

„Ale jak teraz doturlać ją do pieczary?” — rozmyślał.

Położyć ją bokiem na ziemi i toczyć, jak się to robi ze zwykłymi beczkami? Miał pewne obawy. Denko mogło odpaść i cały miód wylałby się na ziemię.

— Co robić?! Spróbujemy jakoś inaczej!

Złapał za brzeg beczułki i silnie potrząsnął. Beczka się zachybotwała.

— Aha! Dobra nasza! — ucieszył się Jenotow.

Pochylił ją na bok i, trzymając za brzegi, zaczął posuwać, obracając z boku na bok.

Wolniutko, krok za krokiem, popychając rękami i napierając

całym ciałem, w końcu przyturlał ją do pieczary.

Zaspana Walerka na widok beczki klasnęła radośnie i zawołała.

— Czy to duży tort? Tak?

— No, niezupełnie tort, ale myślę, że ci będzie smakował.

— Oj, a co to?

— Miód!

— Cała beczka?

— I to nie jedna, Walerciu! Znalazłem tu cały skład takich beczek. Chyba przez rok nie dalibyśmy rady zjeść nawet połowy tego słodkiego skarbu.

— Jak świetnie! — ucieszyła się dziewczynka.

Uczepiła się rękami brzegów beczki i zaczęła pomagać profesorowi z takim zapałem, że nim minęła minuta, wspólnym wysiłkiem wciągnęli baryłkę z miodem do pieczary i postawili w rogu.

— No, znakomicie! — pan Jan otarł spocony kark. — Teraz możesz sobie zjeść na śniadanie miodu. A ja tymczasem poszukam posłania dla Olka. Tylko pamiętaj, żebyś mi się nie ważyła wychodzić! Dookoła łążą takie straszne potwory, że nie zdążysz krzyknąć, a już cię pożrą.

Profesor poszedł, a Walerka, odprowadziwszy go do wyjścia, zaraz wróciła, podeszła do beczki i zaczęła się koło niej krzątać. Bez specjalnego wysiłku odrzuciła denko, powąchała miód, oblizała się i po prostu zapaściła weń ręce.

— Jak dużo! — szepnęła z zachwytem.

Palce jej zanurzyły się w lepki, wonny przysmak.

Podjadła go tak gorliwie, że niebawem cała twarz, szyja i ręce aż do łokci pokryte były, niczym klejem, bursztynowożółtym miodem. Dziewczynka była taka umazana, że przylepiła się do barył-

ki, do ścian pieczary, a i do niej przyklejały się ziarnka piasku, kawałeczki liści i suchych płatków.

Z rozczapierzonymi palcami snuła się po pieczarze, obrastając jak bałwan śniegowy różnymi różnościami: starą pajęczyną, włóknami roślin, pyłkiem kwiatowym i jeszcze jakimś paskudztwem, podobnym do kłaków kurzu.

— Pójdę się obmyć! — westchnęła.

Ostrożnie wysunęła głowę na zewnątrz i rozejrzała się dookoła, czy nie ma jakichś strasznych zwierząt — a potem przypadając do ziemi pomknęła do jeziora i tam pluskała się chyba z godzinę. Niekiedy nad jej głową, z wyciem i świstem sztywnych skrzydeł, przelatywały sześcionogie, wylupiastookie straszydła. Walerka szybko dawała nurka pod wodę. Nagle przypomniała sobie wodnego pajaka, zapiszczała ze strachu, wyskoczyła na brzeg i co tchu pomknęła z powrotem do pieczary.

Przed samym wejściem wpadła na profesora i mało go nie zwała z nóg.

— Dlaczego odchodzisz od pieczary? — zapytał surowo Jenotów. — Chcesz wpaść w łapy kopułki?

— Ja... ja poszłam się obmyć.

Profesor pokręcił głową.

— Coś widzę, że ty nie bardzo chcesz wrócić do domu... Jeżeli ty i Olek będziecie ode mnie uciekać i na własną rękę zawierać znajomości z potworami tego świata, to obawiam się, że wasza mama nigdy was już więcej nie zobaczy.

— Ale ja się cała umazałam miodem — Walerka nisko spuściła głowę.

— Tym bardziej. Przecież mogła cię porwać mucha, pszczoła,

osa — a bo to mało amatorów na takie pachnące miodem stworzenie? Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Słyszysz?

— Tak — szepnęła dziewczynka, jeszcze niżej opuszczając głowę.

— A teraz pomóż mi zrobić posłanie dla Olka!

Walerka zobaczyła opartą o ścianę pieczary całą stertę puszystego wlosia.

— Prawdziwy materac — pochwaliła, dotykając. — To pan przyniósł? Skąd pan to wziął?

— Podarunek od brudnicy nieparki — uśmiechnął się profesor.

— Prezent? — Walerka spojrzała z niedowierzaniem.

— No tak! Przecież jutro kończę sześćdziesiąt lat. Dlaczego brudnica nieparka nie miałaby mi zrobić prezentu w dniu urodzin?

— I... to ona podarowała?

— Skądże znowu, to taka niedomyślna istota... — uśmiechnął się biolog. — I taka niewdzięcznica! Sam wziąłem. Obserwowałem ją przez dwa lata, napisałem o niej trzy artykuły, więc uważam, że mam pełne prawo do tego materaca.

— Brudnica śpi na materacu?

— O, nie! Ale swoje potomstwo troskliwie okrywa puszką. Pod taką szczelną, puszystą kołdrą ani deszcz, ani chłód nie zagraża jajeczkom, z których się wyklują nowe brudnice nieparki. No, a teraz chodź, zrobimy puchowy piernat dla Olka.

— Ja sama pościelę.

Ułożyła stertę miękkiego puchu w samym rogu pieczary, wbiła go rękami tak, jak się wzbija poduszki, rzuciła na wezglowie dodatkowe naręcze puchu i odeszła na bok.

— Zdaje się, że tak będzie dobrze — powiedziała, patrząc z zachwytem na swoją robotę.

— Wspaniale! Nadzwyczajnie! — pochwalił ją profesor.

Wziął na ręce śpiącego chłopca i przeniósł na puchowe, miękkie posłanie. Walerka nakryła brata, jak kołdrą, wyblakłym płatkim jakiegoś żółtego kwiatka.

— Myślę, że teraz mu jest wygodnie. Popilnuj go, a ja wyjdę na pół godzinki — powiedział profesor Jenotow. — Mam coś do załatwienia... Jak się Olek obudzi, to daj mu jeść.

— Dobrze, niech pan idzie, ja też mam coś do zrobienia.

Kiedy profesor wyszedł, Walerka uszykowała jeszcze dwa posłania, przyniosła dwie niebieskie kołdry z płatków, potem strzępkiem kwiatka zamiotła podłogę, przyciągnęła do pieczary cztery duże kamienie, na nich położyła piąty płaski, a na wierzchu rozesała, jak obrus, biały płatek rumianku.

Mieli teraz wspaniały stół.

Dookoła stołu poustawiała mniejsze kamienie, obłożyła je resztkami włosia i nakryła żółtymi płatkami.

— To będą fotele!

Gdy skończyła, obesza pieczarę dookoła i stwierdziła z zadowoleniem, że zrobiło się w niej bardzo przytulnie.

Teraz można tu mieszkać nawet cały miesiąc, zanim Olek nie wyzdrowieje.

Podeszła na palcach do posłania brata, pochyliła się nad nim i troskliwie otuliła go kołderką.

— Spij, śpij! — szepnęła czule.

Niebawem zjawił się profesor. Głośno sapiąc, wtoczył drugą beczkę miodu i postawił pod ścianą.

— Proszę zobaczyć, co ja tu zrobiłam — nie wytrzymała i pochwaliła się dziewczynka.

— Co takiego? — przestraszył się profesor, ale kiedy obejrzał pieczarę, pokiwał z uznaniem głową. — Brawo, brawo! Zuch z ciebie! Jesteś świetną gospośią. Zresztą i ja mogę czymś przyozdobić nasze mieszkanie. Gdy wracałem, znalazłem niedaleko nas bardzo ciekawy drobiazg.

Położywszy palec na wargach, wyszedł i za jakieś dziesięć minut wrócił z listkiem w ręku.

Na listku, jak na tacy, leżał stos jajeczek.

— Co to? Nadają się do jedzenia? — zapytała Walerka.

— Nie, są niejadalne, ale przydadzą się nam. I to jeszcze jak!

— Do czego?

— Poczekaj, to zobaczysz!

Postawił tacę z jajkami na beczce i powiedział:

— A więc tak. Nasz chory poleży sobie na pewno jeszcze parę dni. Żeby na próżno nie marnować czasu, przetoczmy razem beczki z miodem tutaj, a potem... No, a potem będziemy pewnie musieli zbudować krążownik.

— Jaki krążownik?

— Jaki wyjdzie, taki zbudujemy! A gdy tylko Olek wyzdrowieje, wyruszymy w daleki rejs! Przecież nasza latarnia morska jest na drugim brzegu, a zatem musimy do niej dopłynąć na okręcie.

Podjadłszy trochę miodu, profesor z Walerką wzięli się do przenoszenia beczek z trzmielowego spichlerza do pieczary. Za każdym powrotem profesor podchodził do Olka, sprawdzał tętno, słuchał jego urywanego oddechu.

Chłopiec spał jak zabity.

Kiedy już kąt pieczary był zastawiony beczkami, profesor oznajmił:

— No, a teraz, Walerciu, idziemy budować okręt.

— Ojej, jakie to ciekawe! — pisnęła dziewczynka.

— Nie wiem, czy to będzie takie ciekawe, ale ręczę, że solidnie się nad nim namęczymy.

Założywszy otwór kamieniami, żeby do Olka nie zakradł się jakiś nowy owad drapieżny, profesor z Walerką poszli nad jezioro.

— Z czego zbudujemy okręt? — dopytywała się dziewczynka.

— Coś tam chyba znajdziemy. Czy to mało na brzegu leży suchych liści? Właśnie zbudujemy go z liścia. Dziś rano widziałem za pagórkami prawdziwy las. Nie trawiastrą dżunglę, lecz prawdziwą zieloną dąbrowę. Myślę, że wiatry aż tutaj przynoszą dębowe liście.

Profesor z Walerką poszli wzdłuż brzegu, z uwagą obserwując wszystko, co znajdowali po drodze. Nagle Walerka krzyknęła:

— Znalazłam! Już mam!

— Gdzie? Co?

— O tu! — dziewczynka uniosła oburącz brzeg ogromnego, żółtego liścia, który leżał nad samą wodą. Był to solidny, mocny liść z głęboko wyciętymi brzegami. Grube żyły rozchodziły się pierzasto w różnych kierunkach.

Profesor obszedł liść, obejrzał go ze wszystkich stron, uchylił brzeżek i zajrzawszy pod spód, powiedział:

— Tak, to dębowy, lecz niestety nie da się z niego zbudować okrętu.

— Dlaczego?

— Na liściu są galasy. Widzisz? Cały jest nimi osypany.

— Galasy? Gdzie?

Dziewczynka kucnęła i też zaczęła oglądać liść. Cały jego spód pokryty był ciemnymi, jak gdyby przylutowanymi kulami. Dotknęła rękami — były twarde jak kamień.

— Nie ruszymy go w ogóle z miejsca — powiedział profesor.

— Co to właściwie jest?

— To są kolebki owadów. Widzisz, pewne owady składają jajeczka wprost na liściu. Ale liściom to się bynajmniej nie podoba i wszystkimi siłami starają się uwolnić od nieproszonych gości. Komórki rośliny gromadzą się wokół jajeczek i starają się je wypchnąć precz, tak jak białe krwinki wypychają zadrę, która się wbiła w palec. Na palcu tworzy się wówczas ropień, na liściach zaś występują guzy — właśnie owe galasy. Nazywa się je najczęściej atramentowymi orzeszkami, chociaż bynajmniej nie wszystkie zawierają atrament.

— Które owady składają jajeczka na liściu?

Profesor wzruszył ramionami.

— Różne. Składa je sześćdziesiąt rodzajów motyli, ze sto dwadzieścia gatunków chrząszczy, ze czterysta osiemdziesiąt odmian much i blisko trzysta innych owadów.

— Musimy więc szukać lepszego liścia?

— Chyba tak.

Zapadał już zmrok, kiedy Walerka z profesorem znaleźli wreszcie nadający się do podróży wodnej, suchy dębowy liść. Leżał jednak tak daleko od brzegu, że nie sposób było zepchnąć go na wodę.

— Nie damy rady — pokręciła głową dziewczynka.

Biolog się zamyślił. Gładząc brodę, stał na liściu i przyglądał mu się badawczo.

— A gdyby tak... No, oczywiście — mruknął i nagle uśmiech zadowolenia ukazał się na jego twarzy.

— Co się stało? — zdziwiła się Walerka.

— Ot co! Wracamy do domu! Jutro zaprzęgniemy do roboty parę koni.

— Jakich znowu koni? — dziewczynka była coraz bardziej zdumiona.

Ale uczony nic nie odpowiedział. Mamrocząc coś tam pod nosem, szybko skierował się w stronę pieczary. Walerka biegła za nim w podskokach.

— Panie profesorze kochany, niech pan powie, co to za konie? Skąd pan je weźmie?

— Nie powiem!

— Niech pan powie... — nudziła dalej.

— Nie bądź taka ciekawska, jutro zobaczysz na własne oczy.

— Ale panie profesorze... — nie dawała za wygraną; nagle zamilkła.

Przed nimi błysnął ogień. Dziewczynka chwyciła profesora za rękę, z krzykiem:

— Pali się! Pali się nasza pieczara!

Przez kamienie, którymi zawalone było wejście, przeświecał ogień.

— Pożar! W naszym domu pożar! — denerwowała się Walerka. — Biegnijmy prędzej! Olek nam się spali!

— Nie denerwuj się, nie spali się twój braciszek.

Ale Walerka, nie słuchając go, jak strzała pomknęła ku pieczarze.

— Olku! — darła się wniebogłosy. — Czy ty się palisz? Palisz się, Olku?

— Nie, to nie ja — usłyszała nagle spokojny głos brata.

Spiesznie odwaliła kamień. Wskoczyła do wnętrza pieczary i stanęła jak wryta.

— A to co?

Miejsce, gdzie na tacy leżał stos jajeczek, przyniesionych przez Jenotowa, było oświetlone migającym, niebieskim światłem, jak gdyby się tam paliły świeczki choinkowe. Tyle że jajeczka płonęły płomieniem jaskrawszym. Przy takim oświetleniu można było bez wysiłku czytać, pisać i rysować.

— No, co? — profesor położył rękę na ramieniu Walerki.

— Jak pięknie! — powiedziała w zachwycie. — To przecież one... te jajeczka tak się świecą.

— Tak — uśmiechnął się biolog — jajeczka świetlika.

— Ach, już wiem! — ucieszyła się mała. — To taki robaczek. Robaczek-światlik. Świętojański.

— Tak! Tak go nazywają, ale w rzeczywistości to nie robaczek, lecz chrząszcz. Łatwo można się o tym przekonać, gdy się zaobserwuje, czym się odżywia i jaki prowadzi tryb życia. Robaki żyją pod ziemią i połykają ziemię, by z niej wyciągnąć odpowiednie cząstki pokarmowe dla siebie, ten natomiast żyje w trawie i żywi się ślimaczkami.

— Tak! Tak! Już sobie przypomniałam. Te chrząszcze świecą w trawie.

— Zupełnie słusznie. Świecą się same, świecą się ich larwy,

świecą się ich jajeczka... Prawda, że ładnie?

— Bardzo ładnie — odezwał się Olek ze swego kącika. — To dobrze, że pan je znalazł.

— No, a jak się czujemy? Lepiej? Gorzej? — profesor podszedł do chorego. — Nie zjadłbyś czego?

— Już zjadłem. Kiedy was nie było, wszystko tu sobie obejrzałem, znalazłem miód i przekąsiłem niełicho.

— Niepotrzebnie wstajesz — zachmurzył się profesor. — Jeszcze za wcześnie. Grubo za wcześnie, mój drogi. Może ci się pogorszyć...

— Bo wie pan co? Kiedy się zbudziłem, patrzę — stół, fotele, pali się światło. Więc sobie pomyślałem, że jestem w domu, że już rano i że trzeba wstawać.

— Podoba ci się nasze nowe mieszkanie? — zapytała Walerka.

— Bardzo! A szczególnie podobają mi się lampeczki świetlika. Jakie silne dają światło!

— To jeszcze nic! — wtrącił się profesor. — O, gdyby tak przynieść parkę sprężyków Pyrophorus — toby dopiero było światło!

— A co to za zwierzę, ten Py... Pyrophorus?

— To są takie chrząszcze! Żyją w Gujanie, w Brazylii i Meksyku. I kiedy jakiś Brazylijczyk czy Meksykanin musi iść wieczorem przez las, wówczas łowi te chrząszcze i przywiązuje do swego kapelusza. Światło, które promieniuje z tych sprężyków, jest tak jaskrawe, że można iść przez najciemniejsze tropikalne zarośla, nie gubiąc drogi. A meksykańskie damy wsadzają te chrząszcze we fryzury, obok brylantów, albo też robią z nich jarzące się naszyjniki lub też okręcają nimi talię jak pasem ognistym.

Po balu miejscowe modnisie kąpią zmęczonego owada w wannie i wkładają do kryształowej wazy, a wówczas sprężyk przez całą noc łagodnie i przyjemnie oświetla sypialnię Meksykanki.

— A u nas świeci się tylko robaczek świętojański? — zapytała Walerka.

— Nie tylko on — odparł profesor. — Mógłbym ci zrobić iluminację ze świecących bakterii... Kiedy byłem jeszcze studentem, zmajstrowałem prawdziwą lampę z takich bakterii. Można było przy niej czytać i pisać.

— Z bakterii? To przecież są małe, niewidzialne gołym okiem stworzenia! Jak mogą się świecić, skoro ich nie widać?

— Jeżeli ich jest bardzo dużo, to można widzieć światło, chociaż, oczywiście, samych bakterii się nie dojrzy. Niekiedy w lesie świecą się zielonym albo niebieskim ogniem zgniłe pnie. Wydaje się, że to świeci samo drewno, a w rzeczywistości światło wydzielają bakterie. Tak samo świecą gnijące ryby, wyrzucone na brzeg. Dość często można też i na zdechłych zwierzętach zauważyć takie niebieskawe promieniowanie.

Nagle profesor przypomniał sobie, że jest późno, podbiegł do baryłki i hałaśliwie odmykając wieczko, krzyknął wesoło:

— Kolacja! Proszę na kolację, dzieci! Kolacja i spać!

Rano profesor udał się na zwiady.

Wrócił dopiero wieczorem i przydzwigał z sobą kupę sznurków z pajęczyny.

Do późnej nocy siedział potem na progu pieczary i splatał grube liny, a kiedy wszyscy kładli się spać, powiedział do Walerki:

— Jutro pójdziemy do naszego okrętu. Czas spuścić go na wodę... Olkowi jest coraz lepiej i wkrótce będziemy mogli ruszyć

w dalszą drogę...

Nazajutrz profesor zbudził Walerkę jeszcze przed świtem. Na śniadanie zjedli miodu i, zarzuciwszy sobie liny na plecy, poszli do roboty.

Dębowy liść leżał na swoim dawnym miejscu.

— No, teraz — odezwał się biolog ciskając linę koło liścia — chodźmy do stajni po naszą chabetę.

Poszedł wzdłuż brzegu, co chwila schylając się nisko i zaglądnąwszy pod kamienie. Zatrzymał się wreszcie przy wielkim, szarym głazie. Obejrzał uważnie ciemny właz pod kamieniem, potem wrzucił tam garść piasku.

Pod kamieniami zaczęło się coś ruszać.

— Dobry ogier! — powiedział profesor wstając. — Jeżeli tylko nie będzie brykał, to raz-dwa spuścimy okręt na wodę.

— Kto tam siedzi pod tym kamieniem? — szeptem zapytała dziewczynka.

— Dziki mustang! — zażartował profesor. — Koń na sześciu nogach! Pomóż no, Walerciu!

Profesor podciągnął pajęczynową linę do ogonka liścia i mocno szarpnąwszy do siebie, zawiązał pętlę.

— Wspaniale! — mruknął pod nosem.

Włokąc drugi koniec liny po ziemi, odszedł z nim na bok i kiedy lina się naciągnęła, zawiązał na końcu drugą pętlę. Potem przystaszczył cztery króciutkie kloce i postawił je sztorcem na ziemi. Lekko stukając po nich kamieniem, powbijał je niegłęboko w ziemię, następnie, łagodnie popychając nogą to jeden, to drugi, tak je uregulował, że się kołysały w swych ziemnych umocnieniach.

Walerka przyglądała się temu z zainteresowaniem, ale nic nie

mogła zrozumieć.

— Pomóc panu? — nie wytrzymała wreszcie.

— Nie, dziękuję!

Wziął z ziemi pętlę, podciągnął do klocków i ostrożnie ułożył na wierzchu. Pętla zawisała w powietrzu, spoczywając na chwiejących się klocach.

— No, chomąto jest gotowe — odezwał się Jenotow — teraz pójdziemy po konie. Czy zaprzęgałaś kiedy konie? — zwrócił się żartem do małej towarzyszki.

— Nie! — otwarcie przyznała się Walerka. — Nigdy!

Wówczas Jenotow podskoczył i znowu uderzył tak, że larwa drgnęła i zakreśliła się w miejscu.

— Walerko, popędzaj, nie żałuj!

Dziewczynka pchnęła ją tyką pod bok.

— No, ruszaj się, ruszaj!

Tak krok za krokiem szli w stronę liścia, popędzając larwę kijami.

Wreszcie głowa szczypicy zrównała się z pętlą. Profesor obalił żerdzią kloce i pętla spadła na łeb mustanga. Jenotow rzucił żerdź, chwycił linę i szarpnął z całej siły. Pętla zaciągnęła się. Wtedy znowu chwycił żerdź i pobiegł w kierunku głowy larwy.

— Jazda! — wrzasnął na cały głos.

Liść drgnął. Wzbijając chmurę kurzu, wolniutko zaczął sunąć ku wodzie.

Larwa miotłała się to w jedną stronę, to w drugą, ale za każdym razem natrafiała na ostre żerdzie. Profesor z Walerką nie pozwalali jej skrócić ani w prawo, ani w lewo.

Wreszcie larwa uspokoiła się i pociągnęła ciężki liść do jeziora.

Pełzała spoglądając ze zdziwieniem na profesora i na Walerkę wielkimi ślepiami i nie rozumiejąc, czego chcą od niej te dziwne, dwunożne owady z długimi tykami w łapach.

— Wio, siwku, zuch z ciebie! — zachwycła się Walerka.

— Nie siwek, lecz *Carabus cancellatus* — surowo zmitygował ją profesor. — *Carabus* — to nazwisko, a *cancellatus* — imię.

Larwa szczypicy podciągnęła dębowy liść prawie do samej wody, ale tutaj nagle jakby diabeł w nią wstąpił. Najpierw pomknęła wzdłuż brzegu, potem ostro zawróciła i pognęła z powrotem, w stronę pieczary.

Profesor i Walerka biegali za nią z krzykiem, okładali ją żerdziami po głowie, po bokach, po plecach.

Trudno powiedzieć, jak długo trwałyby te zapasy. Skończyły się całkiem niespodziewanie. Przebiegając obok dużej skały, szczypica zatrzymała się na chwilę i dała nura pod głąz.

— Uff! — westchnął profesor. — To ci *Carabus*! Umęczył nas zupełnie.

— Ale jak się teraz od niego odczepimy? — zapytała Walerka.

— Bardzo prosto — odparł Jenotow, odparł wiążąc linę od ogonka liścia. — Wprawdzie szkoda dobrej liny, ale nie ma rady! Chodź! Na dzisiaj starczy. Musimy trochę odsapnąć.

Zostawiwszy liść na brzegu, podróżnicy poszli do domu.

Przy obiedzie Walerka opowiadała bratu, jak zręcznie przewieźli dębowy liść na brzeg jeziora larwą szczypicy. Olek słuchał że źle ukrywaną zazdrością.

— Ech, szkoda, że mnie tam nie było! Zapędziłbym ją prosto do wody! Trzeba było szarpać za pętlę.

— Tak, łatwo jest radzić — osadził go profesor — a spróbo-

wałbyś popracować tak jak my z Walerką. W każdym razie naha-rowaliśmy się z nią nie gorzej od Carabusa.

Przeciągnął dłonią po wąsach, obtarł miód z brody i wstał.

— Jutro zaczniemy pomaleńku zbierać się do ekspedycji. A dziś do wieczora spróbujemy przetaszczyć na brzeg beczki z miodem, znaleźć dla siebie jakieś odzienie, przygotować maszty, żagle i liny. Słowem, trzeba będzie dobrze przyłożyć się do pracy i dziś, i jutro.

Pan Jan zarzucił sobie na ramiona naręczce przedzy brudnicy nieparki.

— Chodź, Walerciu — powiedział, idąc ku wyjściu.

Cały dzień profesor z Walerką spędzili na brzegu jeziora. Dziewczynka skręcała sznury z przedzy brudnicy. Profesor z początku jej pomagał, ale potem poszedł szukać masztów do okrętu.

Wrócił z długim masztem na ramieniu. Było to źdźbło trawy.

Pod wieczór statek został spuszczonej na wodę.

Pan Jan przebił ostrym kamieniem dziurę pośrodku liścia, wbił w nią maszt, potem oblepił pokład wokół masztu grubą warstwą gliny i oznajmił:

— Jutro słońce wypali glinę i nasz maszt będzie przymoco-wany do okrętu na mur.

Obejrzał statek jeszcze raz uważnie, potem wziął z rąk Walerki długi sznur i podszedł do wąskiego końca liścia. Pochylił się, narzucił pętlę na ogonek liścia i mocno ją zacisnął.

Liść drgnął. Koniec jego uderzył parę razy o wodę i uniół się do góry. Teraz dębowy liść był naprawdę bardzo podobny do okrętu.

Kołysał się, z dziobem wysoko uniesionym nad wodą.

— Wyciągnął szyję jak gąsior — roześmiała się Walerka. —

A gdyby tak jeszcze postawić żagiel!

— Będzie i żagiel — pewnym tonem odparł profesor. — Zrobimy z jakiegoś płatka. Tylko że teraz chyba go nie warto stawiać. To już potem. W dzień odjazdu. Bo jeszcze wyschnie na słońcu, popęka i będą z niego strzępy.

Pan Jan mocno wbił w ziemię tęgi kołek i przycumował do niego statek.

— No — powiedział, z zadowoleniem pocierając ręce — na takim wspianym statku nie będzie nam trudno dokonać podróży nawet dookoła świata.

Tymczasem Walerka wdrapała się na dziób i odłamkiem muszli coś tam kreśliła.

— Co jeszcze robisz? — zapytał profesor, mrużąc oczy.

— Zapomnieliśmy nazwać nasz statek — odparła dziewczynka — ale teraz będzie miał piękne imię.

— Jakaś go nazwała?

— Niech pan sam zobaczy!

Zeskoczyła z dzioba. Profesor podszedł bliżej, zrobił z dłoni daszek nad oczyma.

— Hm... No cóż... Nieźle! — pochwalił.

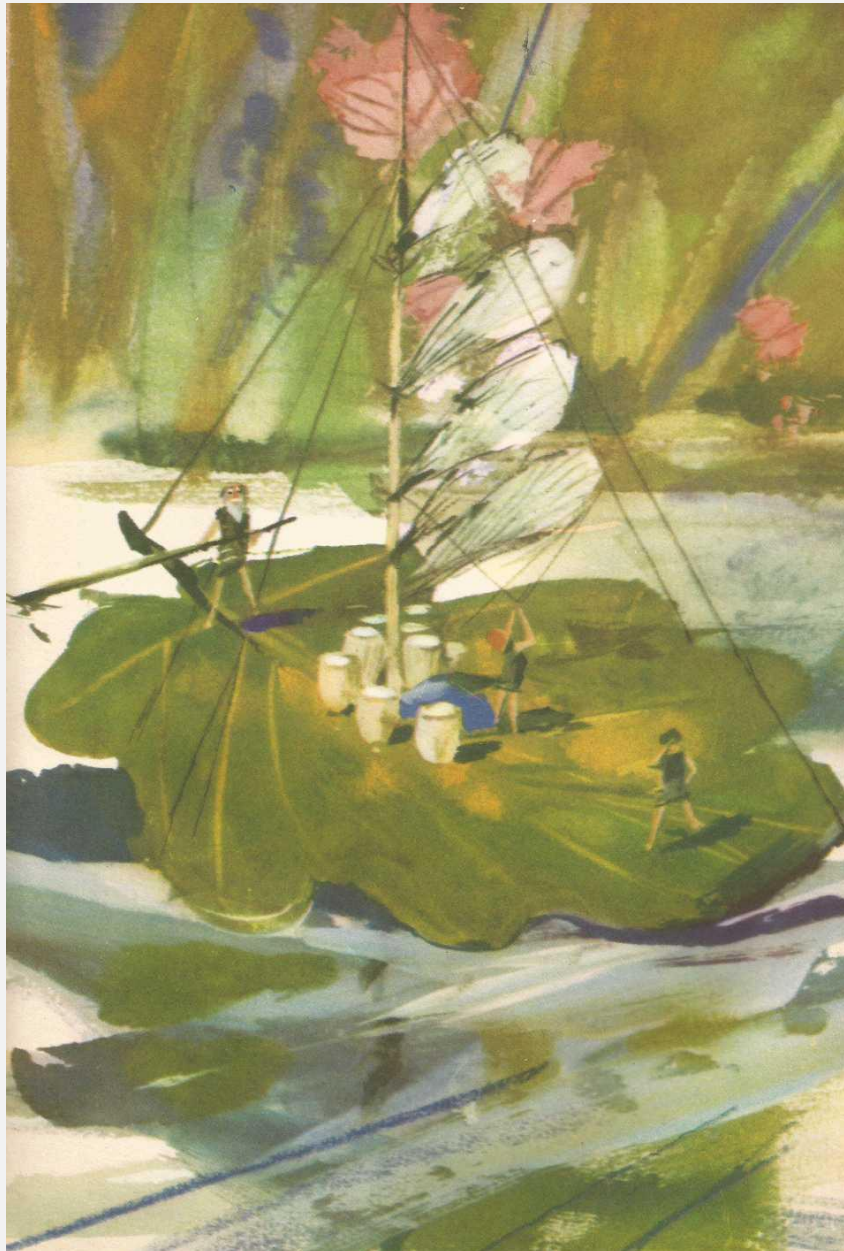
Na dziobie widać było wy drapane dużymi literami jedno tylko słowo „KARABUS“

Nazajutrz podróżnicy zaczęli robić z płatków kwiatowych odzież podróżną, a kiedy wszystko było gotowe, profesor z Walerką wzięli się do przetaczania na statek beczek z miodem. Na takich zajęciach gospodarskich upłynął im cały dzień.

Opuchlizna na nodze Olka zesza prawie zupełnie, chłopiec próbował już wstawać i chciał nawet pomagać przetaczać baryłki

miodu, ale profesor nie pozwalał mu na to i za każdym razem, kiedy chłopiec się zrywał, fukał na niego ze złością.

— Co, znowu wstałeś? Och, coś mi się zdaje, że będę musiał przywiązać cię do łóżka sznurami, jeżeli będziesz wyskakiwał co chwila!



Tak też było i tego dnia, który przyniósł podróżnikom tak wiele kłopotów. Rano, kiedy profesor z Walerką zaczęli wytaczać baryłki, Olek zerwał się i zabrał do pomagania, ale profesor huknął na niego i zmusił go do położenia się z powrotem.

Pewnie, że to było bardzo przykre, ale Olek się nie upierał. Potulnie wlaźł do łóżka, odwrócił się do ściany, udając, że śpi, ale ukradkiem coraz to zerkał na Jenotowa i siostrę.

„Dobrze już, dobrze — myślał sobie — jeszcze zobaczycie, jak mogę pracować. Już wróciłem do sił. Jeszcze dzisiaj się o tym przekonacie”.

Jak tylko Jenotow z Walerką wyszli z pieczary, Olek wyskoczył, chwycił pierwszą z brzegu beczkę i zaczął ją popychać do wyjścia.

Już byłoby mu się to udało, gdyby nie przykra okoliczność: pod nogi nawinął mu się okrągły kamień. Olek potknął się, zamachał rękami i upadł na beczkę. Od silnego pchnięcia baryłka się przechyliła. Olek złapał za jej brzeg, ale stracił równowagę i rozciągnął się jak długi na ziemi, a baryłka przeturlała się przez próg, jakoś dziwnie podskoczyła i zatrzymała się. Denko wypadło i gęsta miodowa maź popęzła po ziemi.

Olek wstał. Otrzepując się z kurzu, patrzył stropiony na przewróconą baryłkę.

„Pomogłem! Nie ma co“.

Miodowa kałuża rozlała się po ziemi jak rzadkie ciasto. Olek odsunął się, obejrzał, a potem beznadziejnie machnąwszy ręką, poskakał na jednej nodze do pieczary.

...Było już zupełnie ciemno, kiedy wrócili profesor i Walerka. Olek z daleka usłyszał ich głosy. Szybko zakopał się we włosiany

materac i udawał, że śpi.

— Oj, co to? — krzyknęła przestraszona Walerka, zatrzymując się przy wejściu.

Olek zatkał uszy palcami i mocno ścisnął powieki.

— Ojej, nie mogę iść — piszczala Walerka. — Nogi przylepiły mi się do ziemi!

Profesor rzucił się na pomoc, ale jak tylko podbiegł do niej, zaraz i jego nogi uwięzły w lepkiej, miodowej mazi.

— Co to może być? — zdziwił się ogromnie.

Więznąc po kostki, z wielkim trudem dobrnął do Walerki, żeby podać jej rękę.

— Trzymaj się!

Walerka wyciągnęła dłoń. Profesor zrobił krok do tyłu i szarpnął ją do siebie. Walerka zachwiała się i... nogi jej jeszcze głębiej ugrzęzły w miodzie.

— Chwileczkę! — krzyknęła. — Już się zupełnie oblepiłam! Jak mucha w konfiturach!

— To nic, to nic — pocieszał ją profesor, sapiąc.

Jakoś wreszcie udało mu się wyciągnąć Walerkę z miodowego klajstru. Ruszył do pieczary, niosąc ją na rękach.

Miód pod nogami chlupotał, mlaskał i wzdychał jak żywy. Przylepiał się do stóp jak ciężkie, lepkie błoto.

Nareszcie profesor wylazł z kałuży. Postawił Walerkę na ziemi i sam, przy pomocy grubego kija, oczyścił sobie nogi, a potem pomógł to samo zrobić dziewczynce.

— Hej, Olku! — zawołał. — Co tu takiego się stało?

Olek jeszcze głębiej zakopał się w materac.

Profesor z Walerką w milczeniu spojrzeli po sobie.

— No, oczywiście — powiedział profesor wchodząc do domu — to na pewno nasz Oleczek tak się postarał. W dodatku nie śpi! Wszystko słyszy! Tylko że się wstydzi spojrzeć nam w oczy! Hej, Olku!

Chłopiec ostrożnie odwrócił głowę i otworzył jedno oko. Zobaczył, że Walerka przypatruje mu się badawczo. Więc czym prędzej je zamknął i zachrapał jak mógł najgłośniejsze.

— Śpi! — roześmiała się Walerka.

Profesor pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

Podróżnicy położyli się spać.

Krótko przed świtaniem Olek usłyszał przez sen jakiś bardzo dziwny szum.

Podniósł się z wygniecionego materaca i poszedł do wyjścia.

Przez szczelinę w kamieniach zobaczył placyk cały zalany delikatnym światłem letniego poranka.

Na placyku przed pieczarą pełzały olbrzymie, skrzydlate owady.

Olek poznał je. To były muchy. Uwijały się przy kałuży miodu, popychały się, z brzęczeniem ulatywały do góry i znowu siadały na miód.

Z każdą chwilą przybywało ich coraz więcej.

Głośny hałas zbudził profesora i Walerkę. Profesor coś powiedział, ale dzieci nie dosłyszały ani jednego słowa. Muchy brzęczały i bzykały tak głośno, jak gdyby gdzieś w pobliżu warczały potężne silniki. Oczywiście, nie było teraz mowy o tym, żeby przenosić na statek pozostałe beczki z miodem. Muchy mogły zwalić podróżników z nóg, a nawet, kto wie, czy ich nie zabić. Tłoczyły się przy

samym wejściu, bezczelnie zaglądały do środka, usiłując wsunąć przez szpary swoje długie ryjki. Pełzały po zasłaniających wejście kamieniach, a te pod ich ciężarem aż się chwiały.

Podróżnicy spoglądali ze strachem na swoją barykadę. Tylko patrzeć, jak się zawali, jak do pieczary wtargną hordy much, a wtedy koniec. Ale pod wieczór muchy zniknęły.

— Poszły sobie — ucieszyła się Walerka.

— Wcale nie poszły — smętnie odparł Olek. — Jutro wrócą i znowu będą chciały tu wleźć. Ja je znam! Czują beczki z miodem. A teraz zwyczajnie odleciały spać.

— Zastawmy wejście szczelniej — zaproponowała dziewczynka.

— Bzdury! — uciął profesor. — Siedzieć i trząść się jeszcze jeden dzień? Pięknie dziękuję!

— No to co robić?

— Atakować! Atak, a nie obrona! — odparł wojowniczo.

Wziął z podłogi koszyczek okrzemka, w drugą garść jajeczko świetlika i uniósłszy je wysoko nad głową jak pochodnię, wybiegł na dwór.

— Dokąd, panie profesorze? — chórem krzyknęły dzieci.

— Zaraz, zaraz! Już ja je poczęstuję, podłe!

Błękitny ogieniek mignął parę razy w ciemnościach i zginął z oczu.

— Dokąd on pobiegł?

— Nie mam pojęcia. Coś chyba wymyśli.

Późną nocą profesor wrócił do pieczary wesół i bardzo z siebie zadowolony. Postawił koszyczek na ziemi i głośno sapiąc ze zmęczenia powiedział:

— O! Przyniosłem bomby! Jutro rano otworzymy ogień artyleryjski.

Dzieci rzuciły się na niego.

— Bomby?

— A to sprytnie!

Olek ostrożnie wsadził rękę do koszyczka i wyciągnął stamtąd jakąś szarą grudkę. Twarz mu się wydłużyła.

— Też mi bomby! Jakieś głupie grudki, po prostu zeschnięte błoto. A bo to bywają takie bomby?

Profesor roześmiał się.

— Co, nie podoba ci się? Nie masz racji. Zobaczysz je jutro w akcji. Nie gorsze od piroksyliny.*

Wytrząsnął grudki z koszyczka, rozdzielił je na dwie kupki i przysunąwszy mniejszą do Walerki, powiedział:

— Weź no to, Walerciu, i chodźmy.

Obladowani bombami, wyszli z pieczary.

— Rozrzucaj bomby naokolusieńko — dobiegł Olka głos profesora.

*** Materiał wybuchowy otrzymywany przez działanie kwasu azotowego na bawelnę.**

ROZDZIAŁ SZESNASTY

WOJNA Z MUCHAMI. NIEZWYKŁE ŻAGLE. OCZY NA NOGACH. PLUSKWIAK GRA NA SKRZYPCACH. WIERZCHEM NA TRZMIELU

Trzask! Trzask!

Dzieci zerwały się przerażone ze swoich legowisk. Przecierając oczy, rozglądały się ze strachem po pieczarze.

— Olku, co to?

— Nie wiem.

— Może to nasze baterie grają?

W pieczarze po dawnemu migotał błękitny ogieniek. Ciemne sklepienia zwisały nisko nad głowami. W kącie, pod ścianą, stały rządkiem brzuchate, białe baryłki.

Ba-bach! Ba-bach! Ba-bach! — rozległo się za ścianą.

Pan Jan wstał ze swego włosianego materaca, ziewnął szeroko i także przecierając oczy, wymamrotał:

— Aha!... Działa... Moja artyleria... nie próżnuje.

Podszedł razem z dziećmi do barykady.

Poprzez szpary między kamieniami prześwitywał poranny brzask. Placyk przed pieczarą błyskał oślepiającym żółtym piaskiem. Kałuża rozlanego miodu połyskiwała jak płynne złoto. Nieco dalej leżała wywrócona biała beczka.

Podróżnicy przytknęli oczy od rażącego blasku porannego

słońca.

— Piękny będziemy mieli dzionek — odezwał się profesor, patrząc na czyste, jak wyszorowane, bezchmurne niebo.

— Ale za to ile much przyleci! — westchnęła Walerka. — Na pewno więcej niż wczoraj!

— To nic! — odrzekł profesor i wesoło zacierając ręce dodał: — Niebawem będzie ich mniej. O wiele mniej!... I w ogóle, teraz nie są już one dla nas groźne.

— Dlaczego?

— Nie słyszysz, jak trzaskają bomby? — zdziwił się Jenotow.

— Słyszę — odparła Walerka. — Ale muchy, zdaje się, wcale się ich nie boją. Widzę, jak bomby wybuchają pośród nich, a one nic sobie z tego nie robią.

— Poczekaj chwilkę — uspokoił ją profesor, gładząc się po brodzie. — Nie bądź taka chybka. Muchy nie od razu giną od moich bomb. Jak dostaną odłamkiem, potrafią pełzać jeszcze pięć-sześć godzin i dopiero następuje śmierć. To jest bardzo ciekawe, warto zobaczyć...

— To te muchy są już trafione?

— Niewątpliwie. Przecież strzelanina rozlega się, jeśli się nie mylę, od samego świtu.

Walerka zrobiła sobie okienko w barykadzie i zaczęła przez nie obserwować placyk.

Po kamieniach łąziły olbrzymie, kosmate muchy. Podchodziły do miodowej kałuży, wsadzały ryjki, popychały się wzajemnie. Jedna z nich gruba, z białym brzuszyskiem, siadła na przewróconej beczce. Beczka się zachwiała. Mucha ze strachem poderwała się i zaczęła krążyć w powietrzu, przypatrując się z góry beczce wiel-

kimi, wyłupiastymi oczami. Potem opuściła się ostrożnie i siadła obok baryłki.

Nagle wstała i zatoczyła się jak pijana. Nogi się pod nią ugięły. Padła na ziemię, parę razy przesunęła po piasku ociężałą głowę i zamarła. Tylko jej rozczapierzone skrzydła lekko drgały.

— Jest jedna! — zawołał Olek.

— To mało — odparł profesor. — Poczekajcie, zobaczycie jeszcze nie takie dziwy!

Po pewnym czasie profesor z dziećmi znowu zbliżyli się do barykady.

Na placyku leżało już kilka much. Jedne były jeszcze żywe i ruszały się, inne leżały z rozpostartymi skrzydłami, z głową w piasku.

Pokryte były, jak szronem, czymś białym. Musze, która padła przy samej beczce, wyrósł z brzucha długi, cienki bicz jajowato zakończony.

— Co ona tam ma? — zapytała Walerka.

— To jest grzybek empuza.

W tym momencie zakończenie grzybka odleciało na ziemię.

— Dojrzała nowa empuza — oznajmił biolog.

— Jakie to śmieszne słowo „empuza“ — parsknęła Walerka.

— Czyżby takie śmieszne? A mnie się nigdy jakoś nie wydawało śmieszne. Ja się empuzą dawno zajmuję. To moja stara znajoma. Grzybek-pasożyt. Jeden z pożyteczniejszych dla człowieka grzybków... Zabija muchy... Na przykład ta nowa empuza, która dopiero co spadła na ziemię, wystrzeli i trafi muchę, która się do niej zbliży. Grzybek wykiełkuje, zabije muchę i wyrzuci na zgubę innych much nową bombę, nowy grzybek.

- A co będzie, jeżeli zbliży się nie mucha, lecz pszczoła?
 - Nic.
 - To pszczołom one nie szkodzą, tylko muchom?
 - Empuzy nie. Ale pszczoła też ma swój pasożytny grzybek. Trafia do uli i niszczy woszczynę plastrów. Oczywiście, takie grzybki nie są pożyteczne, wręcz odwrotnie, bardzo szkodliwe. Trzask! — rozległo się znowu na placyku.
- Profesor wysunął głowę i powiedział:
- Znowu pięć much trafionych. Wkrótce i one wyciągną nogi.

Rzeczywiście, niebawem cały placyk pokrył się muszymi trupami. Droga do jeziora była wolna.

Po obiedzie profesor postanowił przejść się nad wodę, żeby popatrzeć na swój statek. Czy stoi na miejscu? Czy nie zerwał go wiatr? Nie położył na bok?

Zebrał naręczę pajęczynowych powrozów, zarzucił je sobie na ramiona i wsadziwszy za pas ostry kamień, ruszył do wyjścia.

- Chodź, Walerciu! Mam nadzieję, że mi pomożesz.
 - Pewnie, że pomogę, jeżeli tylko...
 - Jeżeli co?
 - Jeżeli na placyku nie ma już ani jednej muchy...
 - Nie ma i nie będzie — zapewnił ją profesor.
 - A nowe? Nie przylecą?
 - W żadnym wypadku. A jeżeli nawet przylecą, to natychmiast zgina. Przecież nasz placyk jest teraz zaminowany empuzą.
- Uspokojona Walerka ruszyła do wyjścia.
- A ja?! — zerwał się Olek.
 - Poleż jeszcze! Wy dobrze! Dzisiaj obejdziemy się bez cie-

bie.

— Beze mnie? — oburzył się chłopiec. — A czy pan wie, co to jest grot-żagiel? A co bezan? A kliwer? A szoty? Albo marsie?

— Popatrz, popatrz — uśmiechnął się profesor — jaki z niego wilk morski.

— Wcale nie wilk i nie morski, ale na statkach trochę się znam — oświadczył z dumą Olek, który słyszał te wszystkie terminy od znajomego marynarza.

Profesor machnął ręką.

— No, jeśli tak, to idziemy! Nie ma rady! Tylko stąpaj ostrożnie, żebyś nie nadwerężył chorej nogi.

Podróżnicy wyszli z pieczary.

— Prawdziwe pobojuwisko — powiedział profesor, przedzierając się pomiędzy zdechłymi muchami.

Walerka omijała trupy, zerkając na nie nieufnie. Chociaż muchy już nie żyły, ale na wszelki wypadek... wołała trzymać się z daleka.

— Czekaście! — zawołał nagle Olek.

Profesor i Walerka obejrzeni się szybko.

Olek zatrzymał się obok wielkiej muchy, która leżała z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

— Co, Olku?

— Proszę spojrzeć — chłopiec uniósł oburącz przezroczyście skrzydło. — Żagiel! Rozumiecie?

— Rozumiem! Pewnie że rozumiem! — ucieszył się Jenotow.

Podszedł do muchy, poruszył brzęczącym skrzydłem i orzekł:

— Wyjdzie wspaniały żagiel! Trzeba go zabrać!

Wyciągnąwszy zza pasa ostry kamień, włożył na muchę i silnym

ciosem odrąbał skrzydło, które spadło do stóp Olka.

— Jedno to za mało — stwierdził chłopiec, podnosząc je i oglądając. — Tego starczy tylko na kliwer. A my przecież musimy mieć żagiel i grotmaszt.

— No cóż, można i na grot.

Zaczął zręcznie odrąbywać trzeszczące skrzydła i zrzucać na dół. Dzieci składały je na kupkę. Wreszcie Olek uznał, że chyba wystarczy.

Ułożyli skrzydła w stosik jedno na drugie, tak jak się układa arkusze blachy. Profesor przywiązał do leżącego na spodzie skrzydła linkę, zarzucił ją sobie na ramię i potaszczył ciężki ładunek na brzeg jeziora.

— Widzicie — cieszył się Olek, przytrzymując stos — ja dobrze wiem, jakie żagle są potrzebne. Jak tylko zobaczyłem skrzydła, od razu wiedziałem, na co się mogą przydać.

— Dobrze już, dobrze — podrwiwał z niego pan Jan. — Chwalipięta! Lepiej przytrzymaj skrzydła, bo inaczej pogubimy połowę, nim dojdziemy na miejsce.

Z wielkim trudem podróżnicy dociągnęli żagle na brzeg.

W cichej przystani kołysał się ich wspianały statek „Karabus“. Jego wygięty dziób odbijał się w spokojnej, błękitnej fali. Niskie burty były na jednym poziomie z lustrem wody. Wokół wysokiego masztu stały białe baryłki miodu.

— Prawdziwy okręt — pochwalił Olek — tylko żagli brakuje.

— Zaraz będą — odezwał się profesor.

Przeciągnąwszy musze skrzydła na okręt, podróżnicy zabrali się do osprzętowania statku.

Olek wdrapał się na maszt.

— Podajcie no mi tutaj skrzydła! — krzyknął z góry.

Praca zawrzała na całego. Profesor podawał Olkowi skrzydła, ten zaś przywiązywał je do masztu jedno nad drugim, tak że wkrótce cały grot pokrył się przezroczystymi żaglami.

W skrzydłach zahuczał wiatr. „Karabus“ zadrżał. Nagle kolek, do którego był przycumowany statek, trzasnął na dwoje.

— Oj! — zdążył krzyknąć chłopiec.

Pan Jan, nie mówiąc słowa, skoczył do wody.

— Co się stało? — zapytał z góry Olek.

Ale nikt mu nie odpowiedział. Przesunąwszy głowę pomiędzy żaglami zobaczył, że profesor stoi po pas w wodzie i cały czerwony z wysiłku podciąga statek do brzegu.

— Urwał się?

— Nie, to osa przegryzła kolek.

Olek niesłuchanie zdumiony zlął z masztu na pokład.

— Osa? — zapytał. — Co ona, zwariowała? Zjada patyki?

— Wcale nie — odparł profesor, okręcając linę wokół grubego pnia. — Osa nie je patyków, ale są one jej potrzebne do produkcji papieru, papier zaś — do budowy gniazd.

Walerka szeroko otworzyła oczy.

— To osy umieją robić papier?

— Tak... Zresztą one właśnie nauczyły człowieka wyrabiać papier z drewna.

Tutaj uczony zrobił dzieciom dłuższy wykład o osach, o drewnie, o starożytnych, już zapomnianych odkryciach.

— W dawnych czasach — opowiadał — papier wyrabiano tylko ze szmat. Ale Jakub Krystian Schefer, szwedzki uczony,

który żył w osiemnastym wieku, badając życie owadów nauczył się od nich robić papier z drewna. Oglądając pewnego razu gniazdo os zauważył, że jest ono zbudowane z tworzywa przypominającego brystol. Zaczął śledzić pracę tych owadów i wtedy wykrył, że osy przeżuwają kawałki drewna i robią z niego znakomity papier.

Ale współcześni nie zwrócili na to odkrycie najmniejszej uwagi.

Minęło pięćdziesiąt lat. Inny uczony, Keller, przypomniał światu o odkryciu Schefera, i to w samą porę. W tym okresie odczuwano wielki niedobór papieru, a szmat nie starczało... Spróbowano więc robić papier systemem os, z drzewnika... Na początku nic z tego nie wychodziło, ale potem zaczęło się udawać. Odtąd prawie cały papier produkowany jest z drzewnika.

— Och — odezwała się Walerka po wysłuchaniu prelekcji — więc tutaj gdzieś muszą być osy? Może byśmy poszli do domu...

— Masz rację — zgodził się profesor — rzeczywiście czas do domu.

Podróżnicy wrócili do pieczary.

Nazajutrz, skoro świt, przetoczyli na statek ostatnie beczki miodu, przenieśli tam swoje materace i zabrali nawet jajka świetlików.

Jedno jajeczko Olek przyczepił do czubka masztu jako latarnię sygnałową.

Teraz chłopiec krzątał się więcej od wszystkich. Biegał po statku i wołał kapitańskim głosem:

— Hej tam, na kasztelu! Luzuj szoty!

— Co to znaczy „na kasztelu”? — nieśmiało pytała Walerka.

— No, tam gdzie stoisz, to właśnie jest kasztel tylny!... To znaczy rufa. Hej tam, jungo, luzuj szoty!

— A co to są te szoty?

— Linki!

— A czy nie można — nieśmiało zapytał profesor — nazywać rufy — rufą, a linek — linkami?

Olek uśmiechnął się z wyższością.

— Proszę bardzo, można. Ale ja wtedy będę nazywał mrówcze kokony — mrówczymi jajkami.

— Oj, co to, to nie! — Profesor aż się złapał za głowę. — Już ja się postaram otrzaskać z tym twoim marynarskim słownikiem, tylko proszę cię bardzo, nie nazywaj kokonów jajkami!

Olek znów zaczął się uganiać po statku.

— Cumę oddaj! — krzyczał grzmiącym głosem. — Wszyscy na miejsca! Bandera na maszt!

Profesor wyciągnął linę cumowniczą i starannie złożył ją na rufie. Walerka ściągała „szoty”.

Teraz „Karabus” gotów był do dalekiego rejsu.

„Przydałoby się — pomyślał sobie Olek — palnąć z armaty przed wyjściem z portu”.

Niestety, armaty nie było.

Olek przespacerował się po pokładzie, kołysząc się z boku na bok jak stary wilk morski, zlustrował załogę i splunął za burtę.

Chwila była niesłychanie uroczysta.

Olek podniósł rękę:

— Uwaga!

Załoga nie spuszczała oczu ze swego kapitana, chciwie łykając każde jego słowo.

— Kurs na południowy zachód! Pełną naprzód, do stu diabłów i jednej wiedźmy...

— Jest, panie kapitanie! — służbiście wrzasnął profesor, filuternie mrugając do Walerki.

Walerka zluzowała linki. Żagle złapały wiatr.

„Karabus“ drgnął, zakołysał się, jakby rozmyślając, czy ma płynąć, czy może zostać w porcie, i pomaleńku oddalił się od brzegu.

— Pełną naprzód! — ryknął dzielny kapitan.

...Dał wiatr. Po wodzie sunęły białe baranki. Statkiem huśtało, podrzucało na fali. Ciepłe bryzgi leciały w twarze załogi. Dumny okręt pędził, czerpiąc burtami wodę.

Wokół „Karabusa“ uwijały się jakieś dziwne stworzenia. Przeganiały statek, wyskakiwały z wody, baraszkowały jak delfiny.

Jedno zwierzę, podobne do królika z rogami jelenia, ale zupełnie przezroczyste, długo towarzyszyło okrętowi, nie opuszczając go ani na chwilę.

U tego dziwnego towarzysza można było zobaczyć przez przejrzystą otoczkę wszystkie wnętrzności.

— Co to jest? — zapytała Walerka.

— Najzwyklejsza wioślarka, Sida — odparł profesor — jedna z setek tak zwanych pcheł wodnych.

Walerka stuknęła ją kijem po głowie. Wioślarka znikła.

Prześcigając statek, przemknęło obok coś bardzo podobnego do łodzi podwodnej. Zwierzę płynęło pod wodą, zostawiając na powierzchni ślad. O mały włos, a wpadłoby na statek, ale w ostatniej chwili ostro skręciło w prawo i zniknęło.

— A to co? — zapytała wystraszona Walerka.

— To jest — spokojnie odpowiedział biolog — pospolity ślimak stawowy.

— Wodny?

— Aha!

— A jak on się porusza?

— To właśnie pytanie — uśmiechnął się Jenotow — było najtrudniejszą zagadką dla wszystkich uczonych. Ale została już pomyślnie rozwiązana. Może się wydać dziwne, ale ślimak stawowy podróżuje głową w dół. Wyciągnąwszy swoją jedyną nogę, wydziela śluz, przyczepia się tym śluzem do powierzchni wody i ślizga się jak na tratwie.

— W takim razie on nic nie widzi!

— Widzi wspaniale. Przecież oczy ma właśnie na nodze!

— A to ci heca! — zdumiał się chłopiec.

— Taak — mruknął biolog. — Co tu dziwnego? Spotykaliśmy już drapieżne zwierzęta nie posiadające gęby, stworzenia słuchające nogami, no a teraz samiście zobaczyli stworzenie, które patrzy nogą. Ale to wszystko nic wobec tego, co mógłbym wam jeszcze opowiedzieć o innych, stokroć dziwniejszych zwierzętach. ...A wszystkie te potwory żyją obok nas i nie są to jakieś straszdyła z bajek Andersena i Grimma. Nie, one istnieją w najlepszej, najwspanialszej bajce, która się nazywa życiem. Zresztą, tak często robię wam wykłady, że w końcu gotowi jesteście pomyśleć, iż przybyłem tu nie po to, ażeby was zaprowadzić do domu, ale po to, żeby wam tu wygłaszać prelekcje. Lepiej zaśpiawajmy coś, moi drodzy.

Ta propozycja, jak zwykle, przeraziła dzieci. Opowiadań profesora, choć niekiedy nudnawych, można było jednak słuchać, na-

tomiast śpiewu jego mógł słuchać tylko... głuchoniemy. Dlatego też Olek i Walerka, w obawie, żeby profesor nie zaśpiewał (a on wciąż się do tego palił), zaczęli wypytywać o wszystko, co im się tylko nasunęło na myśl.

— No — profesor chrząknął — zaśpiewajmy... kche... kche... coś w rodzaju „Naprzód marsz“... No...

— Oj, niech pan popatrzy! — szybko zawołała Walerka. — Co tam jest pod wodą? Takie wielkie-wielkie!

„Karabus“ płynął nad pasiastymi bryłami, które leżały na boku jak zatopione okręty.

Profesor spojrział w dół i powiedział dobrodusznie:

— A to, przyjaciele, to dawny pokarm człowieka. Małże. Kiedyś, bardzo dawno temu, te muszelki były dla ludzi tym, czym dzisiaj dla nas chleb. Teraz patrzymy na ten chleb z obrzydzeniem.

— Nie sędzę — odezwał się chłopiec — żeby małże były smaczniejsze od chleba.

— Masz rację — zgodził się pan Jan — niemniej jednak szkoda, że takie masy jedzenia się marnują. Przecież tych małży można by było nazbierać miliony cetnarów!

— Ale po co, jeżeli się ich nie je?

— W Niemczech na przykład zbiera się je i gotuje w wielkich kotłach...

— Co? Niemcy to jedzą?

— Nie, ale karmią tym świnię... Od takiego pożywienia Świnia szybko się tuczy, a mięso jej staje się wyjątkowo delikatne i smaczne.

Rozmowa urywała się na pewien czas, ale gdy tylko dzieci

słyszały groźne chrząkanie, które oznaczało, że profesor zamierza śpiewać — szybko go o coś pytały.

Tak minęło kilka godzin.

„Karabus“ mknął pod pełnymi żaglami. Wreszcie słońce stało wysoko i wiatr się uciszył.

Teraz statek leniwie włókł się na martwej toni, ledwie się kołysząc. Żagle zwisały bez życia. Kapitan posmutniał.

Podróżnicy usiedli na burcie, trzymając nogi w chłodnej wodzie.

W mieniącej się fali igrały różne zwierzaki. Uwijały się wśród podwodnych lasów, wznoszących się z ciemnego dna.

Walerka wyciągnęła się na pokładzie. Wychyliła głowę za burtę i oglądała chwiejące się na dnie rośliny.

Wreszcie podwodne lasy się skończyły. Teraz pod „Karabusem“ ciągnęło się szare, pagórkowate dno. Na stokach podwodnych wzgórz pełzały, wijąc się, wielkie czerwone żmije. Było ich takie mnóstwo, że w niektórych miejscach dno wydawało się wprost purpurowe.

— Ojej, jak ich dużo! Co to jest? — złąkla się Walerka.

Profesor wzruszył ramionami.

— Chironomus... Inaczej mówiąc, po prostu ochotek. A to jego larwa. Świetny pokarm dla ryb... Ulubiony przysmak drobnych rybek.

— A dlaczego nazywa się ochotek? Na co on ma ochotę?

— Na nic. Tak się tylko nazywa. To owad z rodziny komarów. Zresztą komary też mają różne nazwy.

— Jak to — zdziwił się Olek. — Komary też bywają rozmaite? A ja myślałem, że wszystkie są jednakowe.

— O nie, są ich całe setki. Komary pospolite i malaryczne, widliszki i wodzenie — słowem, przeróżne. Jest nawet komar śnieżny.

— Białły?

— Śnieżnym nazywa się dlatego, że żyje na śniegu.

— A jakże! Czyż komary żyją w zimie?

— Życie nie przerywa się ani latem, ani zimą. Latem pełzają, skaczą i fruują jedne owady, zimą — inne. U nas na przykład na śniegu można spotkać pchełki śnieżne, śnieżne robaki, pajęczki śnieżne i tak dalej, i tak dalej.

— A wszystkie komary gryzą? — zapytała Walerka, spoglądając z lękiem na larwę ochotka.

— Larwa nie, dorosły ochotek także nie rusza człowieka ani innych zwierząt. Zresztą, co to jest ukłucie naszego komara? Nic! Głupstwo! Drobiazg!

Biolog pogładził brodę i tłumaczył dalej z uśmiechem:

— Na przykład na wyspie Barbados komary tak tną, jak wszyscy diabli!

— Co, bardzo boleśnie? — szepnęła Walerka.

— Jeszcze jak... Był tam taki wypadek. W mieście Vera Cruz jakaś kobieta zapadła w letarg. Krewni orzekli, że umarła, ponieważ twarz miała woskową i zimna była jak lód. Oczywiście położyli ją do trumny, a trumnę wynieśli na werandę.

— No i co?

— No i jak tylko nastąpiła noc, na werandę nadleciały chmury barbadoskich komarów. Gęsto oblepiły rzekomą nieboszczkę i tak zaczęły ją ciąć, że z bólu chwyciła wieko trumny i wybiegła z nim na ulicę.

— I już więcej potem nie umarła? — zapytał Olek.

— Nie, potem żyła już do samej śmierci.

Nagle Walerka zerwała się jak oparzona i wrzasnęła:

— Ojej, patrzcie, tu płynie jakaś barbadosa! Ojej! Ojej!

Pod wodą, z boku, nadpływało długie, szare zwierzę z olbrzymią głową. Wyglądało, jak gdyby całe było pozszywane z kawałków. Szeroki ogon, podobny do trzech kogucich piór, wyginał się z piorunującą szybkością.

Od czasu do czasu zwierzę się zatrzymywało, wyprężało jak struna i nagle nadymało się błyskawicznie! Gdy się nadęło do ostatecznych granic, wówczas wyrzucało do tyłu silny strumień wody. Tym właśnie strumieniem odpychało się i posuwało do przodu jak rakieta.

— Larwa ważki — stwierdził profesor.

— Przydałaby się nam zamiast motoru — rozmarzył się Olek.

Profesor się roześmiał:

— Chyba nie dalibyśmy sobie rady z takim motorem. Larwa ważki, moje dzieci, to bardzo niebezpieczny zwierzak. Napada nawet na drobne rybki i je pożera. A przecież każda rybka w porównaniu z nią — to wieloryb.

— A oto i mamusia-ważka — powiedziała Walerka. — Patrzcie no, dokąd ona sunie?

Stuliwszy skrzydła na plecach, wielkogłowa i wielkooka ważka uczepiła się pnia podwodnego drzewa i zaczęła schodzić na dno, głową na dół.

— Zwariowała? — zdziwił się Olek. — Chce się utopić?

Walerka popatrzyła na ważkę, chwilę pomyślała i powiedziała zdecydowanie:

— Na pewno przyszła odwiedzić swoje dziecko. Stęskniła się i przyszła. To bardzo proste!

— A jeszcze prostsze i słuszniejsze jest to — powiedział ubawiony biolog — że ważka schodzi pod wodę, żeby złożyć jajeczka.

— Uch, jaka ona okropna! — szepnęła Walerka.

— Go ty pleciesz, zobacz, jaka ładna! — zaoponował Jenotow.
— ...Nie na próżno Niemcy nadali jej poetyczne imię „Wasserjungfer“ — wodna dziewica, a Francuzi nazywają ją „Demoiselle“ — panna.*

Nagle po jeziorze przebiegły fale. Żagle załopotwały. Za burtą rozległ się plusk wody.

— Załoga, na miejsca! — huknął kapitan.

— Tak jest, kapitanie!

*** U nas w Polsce nosi nazwę świtezianki.**

Statek znowu zaczął pruć fale.

Olek wdrapał się na maszt. „Karabus“ płynął, lawirując pomiędzy płaskimi, zielonymi wysepkami. Były to mięsiste liście wodnych lilii i nenufarów.

Po pewnym czasie wyostał się na czyste wody.

Olek osłonił oczy dłonią. W oddali, za błękitem iskrzącego się w słońcu jeziora, zobaczył zamglone zarysy brzegu. Łąd prawie zlewał się z wodą. Nad ciemniejszym paskiem ziemi leżały obłoki podobne do gór z waty.

Olek przyjrzał się uważnie i dostrzegł na widnokręgu malutką, cieniutką jak szpilka kreseczkę. Na szczycie powiewało coś w ro-

dzaju czerwonego puszku.

— Tam jest latarnia! Trzymać kurs na prawo, panie profesorze! Tak, tak! Bardziej na prawo! Ściągnąć prawe fały, do stu diabłów! Jeszcze, jeszcze! Stop! Tak trzymać!

— Jest, tak trzymać! — huknął profesor..

Statek prostym kursem sunął do brzegu. Nagle wszystko dookoła rozdzwoniło się, rozśpiewało.

Śpiewała woda, śpiewało niebo.

Olek rozejrział się wystraszony i szybko zsunął się z masztu.

Profesor, zmrużywszy w zamyśleniu oczy i pochyliwszy głowę na bok, słuchał zdumiewającej muzyki.

Zdawało się, że tysiące skrzypiec i fletów gra jakąś niewymyślną, ale bardzo przyjemną piosenkę.

Profesor westchnął.

— Gdy po morzu żeglował legendarny Odyseusz, tak właśnie dookoła jego statku śpiewały syreny.

— A teraz też śpiewają syreny?

— Nie — odparł profesor. — Syreny — to są baśniowe morskie dziewice, które zwabiają podróżników swoim śpiewem. A te owady wodne, które nam tu śpiewają, nazywają się po łacinie „Sigara mintissima“ i należą do wioślaków. Prawda, jaka delikatna muzyka?

Olek i Walerka mieli wielką ochotę zobaczyć pluskwy-skrzypaczki, wyciągali więc szyje, jak tylko się dało, ale nic nie mogli dojrzeć. Wioślaki siedziały gdzieś w podwodnym lesie.

A tymczasem „Karabus“ pędził w kierunku płaskiego brzegu, który zbliżał się teraz z każdą chwilą.

Już z wody wynurzają się kamienie, żółcą się mielizny. Coraz

wyraźniejszy jest nadbrzeżny trawiasty las,

— Gdzie przybijamy? — zapytał Olek.

— Gdzie chcesz — odpowiedział profesor spoglądając na brzeg. — Trochę bliżej, trochę dalej — teraz, to już nie ma wielkiego znaczenia — przecież i tak będziemy musieli wlec się na piechotę.

— Znowu na piechotę? — westchnęła Walerka. — Okropnie mi to obrzydło.

— To nic, Walerciu, miej cierpliwość. Mam nadzieję, że kiedyś wreszcie ta nasza podróż się zakończy — pocieszył ją Jenotów. — Ja też chciałbym już jak najprędzej być w domu. Przecież czekają na mnie studenci, wykłady na uniwersytecie. Niebawem egzaminy!

Nagle profesor wybuchnął śmiechem:

— Jak by to było, gdyby moi studenci zobaczyli mnie teraz na tym stateczku z dębowego liścia, pod żaglami z muszych skrzydełek! Co by na to powiedzieli? Przecież każdy z nich mógłby mnie wsadzić do kieszonki od kamizelki czy za pasek! Cha cha cha!

...Nadeszło południe.

Szorując dnem o kamienie, „Karabus“ wolno podpłynął do brzegu i zatrzymał się, lekko kołysząc na fali.

Podróżnicy wyszli na brzeg. Za najbliższym lasem sterczała żerdź — ich portowa latarnia.

Zdawało się, że jest tuż-tuż, wystarczy przejść przez ten las i sięgnąć ręką.

Olek się obejrzał. Popatrzył ze smutkiem na wspaniałe stek, pomachał na pożegnanie ręką i ciężko westchnął.

— Żegnaj, „Karabusie“, nie zapominaj swego kapitana!

— A ja myślałam, że dojedziemy nim do samej latarni — powiedziała Walerka.

— To źle myślałaś — wzruszył ramionami profesor.

— No to po co załadowaliśmy tyle żywności?

— Jak to: po co? — oburzył się Olek. — A gdyby zerwała się burza? A gdyby nas wyrzuciło na jakiś nie zamieszkały wodny liść? Co byś wtedy jadła?

— Słusznie — poparł go profesor — trzeba być przewidującym, kiedy się wyrusza w dalszą drogę. Lepiej wyrzucać zbywające produkty niż umierać z głodu.

Za jakieś dwie czy trzy godziny profesor z dziećmi rozsiedli się na skraju lasu i zjedli solidne śniadanie.

Posiliwszy się Jenotow wstał, wytarł płatkami wąsy, brodę i ręce i powiedział:

— No, zaraz...

Nie dokończył. Odrzuciwszy płatek, rącho jak młody chłopak wbiegł na najbliższy pagórek.

— Tak — powiedział patrząc w górę — bardzo dobrze! Wspañiale! Wprost nadzwyczajnie!

Dzieci także spojrzały w niebo.

Nad lasem śmigały na szerokich, jak gdyby szklanych skrzydłach jakieś ciężkie, kosmate stworzenia.

Czyżby to im tak się przypatrywał biolog?

— Osy! — orzekł Olek.

— Nie osy, lecz trzmiele — poprawił profesor.

Ciemne, przetykane złotem trzmiele krążyły nad gęstymi zaroślami trawiastego lasu, szybowały i coraz to opuszczały się na

jakieś przedziwne drzewa, które miały zamiast koron wielkie, liliowo czerwone czapy. Owady siadały na tych czapach, chwilę się tam krzątały — potem śmigaly do góry, leciały w stronę latarni i znikaly — najpewniej opadały na ziemię.

Profesor chwycił dzieci za ręce, spojrzal na nie badawczo i powiedział:

— Słuchajcie, moi drodzy... Przyszedł mi do głowy bardzo śmiały pomysł. Dalej polecimy na trzmielach.

Dzieci aż cofnęły się przestraszone.

— Na trzmielach? Ja... ja nie chcę na trzmielach — bąkała Walerka — ja się ich boję...

Profesor objął ją za ramiona.

— Nic się nie bój, złotko. To zupełnie bezpieczne. Przecież larwy chrząszcza majki latają nawet na pszczołach i te ich nie ruszają.

— To może lepiej i my na pszczołach? — zaproponował Olek.

Profesor pokręcił głową.

— Nie, na pszczołach niedobrze. Zataszczą nas do ula, i koniec z nami! Trzmiel natomiast poniosą nas prosto do latarni morskiej. Na pewno mają tam swoje gniazda. Widzicie przecież, że wszystkie tam zdążają. A zatem bardziej nam odpowiada trzmiel.

— A ja się i tak boję — kręciła głową Walerka. — Ja...

— Zaczekaj chwilę — przerwał jej profesor — opowiem ci dokładnie, jak podróżują na pszczołach larwy majki, a spodziewam się, że wyzbędziesz się wszelkich obaw.

Przycupnął na wzgórzu, posadził dzieci obok siebie i zaczął:

— Bardzo proszę, moi drodzy, nie mieszać majki z chrząszczem majowym, czyli chrabąszczem. To wcale nie jest to samo.

Chrząszcz majka posiada jedną zdumiewającą właściwość... Prawie z reguły wszystkie owady przechodzą trzy przeobrażenia: z jajka wykluwa się larwa, potem się ona przepoczwarcza i wreszcie poczwarka przemienia się w dorosłego owada. A tymczasem majka przechodzi aż cztery przeobrażenia: jajko, larwa-triungulin, potem larwa zwykła, poczwarka i dorosła majka. Zapamiętajcie sobie: triungulin. Otóż ta właśnie postać larwy żywi się wyłącznie pszczelim miodem... A kto znajdzie ule? Kto wskaże jej drogę do pszczół? Kto ją tam zanieś?

— Jej mama — odpowiedziała Walerka.

— No, na mamę nie ma co liczyć — uśmiechnął się biolog. — Kiedy larwa wyjdzie z jajeczka, to jej mamy często nie ma już na świecie. Żeby trafić do pszczelego gniazda na pełne utrzymanie, triungulin musi wleźć na kwiatek, tam się przyczaić i czekać na pszczołę. Jak tylko pszczoła opuszcza się po pyłek, triungulin chwytą się jej łapkami za puszyste „futro“ i trzyma się tak długo, dopóki pszczoła nie zanieś go do ula. Rozumiesz, Walerciu? A teraz pomyśl sobie: jakiś głupi triungulin nie boi się lotów powietrznych, a ty tchórzysz?

— Może dlatego właśnie, że triungulin jest głupi — westchnęła dziewczynka.

— Przestań się trząść ze strachu — odezwał się Olek. — Jeżeli nie polecimy na trzmielach, to będziemy musieli iść piechotą, a to nam zajmie trzy tygodnie, a może cały miesiąc. W dodatku nie wiadomo, co może nam się w drodze przytrafić. Możemy natknąć się na tysiące nowych niebezpieczeństw. Pożre nas jakiś chrząszcz albo rozduśi gąsienica lub też byle motylek strąci w przepaść... Lepiej już na trzmielach. No w ogóle... pionierzy nie po-

winni tchórzyc.

— Dobrze, to jedźmy na trzmielach — zgodziła się Walerka drżącym głosem. — Na jaki kwiatek mamy włączyć?

— Na ten! Na wielką, czerwoną kulę, która chwieje się tam w górze. To czerwona koniczyna. Ulubiony przysmak trzmiela.

Profesor z dziećmi wdrapali się po wysokim pniu na liliowo-czerwoną czapę koniczyny i schowali się pomiędzy jej mroczkami, które kryły w sobie kropelki czystego, jasnego nektaru.

— Prędko przyleci ten trzmiel? — zapytała Walerka.

— Skąd mogę wiedzieć? — odpowiedział również szeptem brat.

— Cicho tam! — zasyczał na nich profesor.

Tak przesiedzieli przeszło godzinę.

Wreszcie nad ich głowami zaszumiały skrzydła. Szeroki cień przesłonił niebo, jak gdyby na słońce naszła chmura.

Walerka przytuliła się do brata. Serce jej waliło jak młotem, ręce i nogi trzęsły się. Chciała coś powiedzieć, ale wargi odmówiły posłuszeństwa.

— Przygotujcie się — najcichszym szeptem powiedział Jenotów.

Walerka ukradkiem ścisnęła brata za rękę.

Coraz donośniej huczały skrzydła. Rozczochrany, kudłaty trzmiel zataczając koło opuszczał się na kwiatek. Już wyciągnął łapy i zamierzał usiąść.

Co było dalej, dzieci nie bardzo rozumiały. Olbrzymie włochate cielsko okryło je jak ciężka skóra niedźwiedzia.

Olek i Walerka usłyszeli jeszcze przytłumiony głos profesora:

— Łapcie się mocniej!

Wczepili się rękami w „futró“ i w tej samej sekundzie jak gdyby wichur porwał ich w powietrze.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

DZIWNA ZIEMIA. PROFESOR WALCZY Z MOTYLEM. PRZYGODA OLKA I WALERKI W SKRZYNCZE Z DYKTY. CENNA EKOFORA. PROFESOR W OPAKOWANIU. W DRODZE DO DAWNEGO ŚWIATA

Od pędu powietrza aż dech zapało, ziemia się zakołysała i zniknęła.

— Trzymajcie się mocniej! — wołał profesor.

Dzieci ledwo dosłyszały jego głos. Równy, donośny huk trzmielowych skrzydeł i przeraźliwy gwizd wiatru zagłuszały wszystko.

Z początku trzmiel leciał wysoko nad ziemią. Ale potem było mu widocznie za ciężko, a może nawet coś go zabolalo. Przecież trzy pary rąk uczepliły się jego kudłatego futra, trzy pary nóg uderzały go po brzuchu i po piersi przy każdym ostrym wirażu.

Trzmiel zaczął rzucać się w różne strony, chcąc zapewne pozbyć się pasażerów na gapę.

Leciał, schodząc coraz niżej, w locie otrzepywał się, ale w żaden sposób nie udawało mu się uwolnić od niespodziewanego, ciężkiego ładunku.

Walerce kręciło się w głowie, serce zamierało. Profesor spoglądał na nią z obawą. Żeby tylko się biedactwo utrzymało, żeby nie rozwarło palców!

Nagle trzmiel jeszcze głośniejsze zatrzeszczał skrzydłami.

W uszach podróżników zagwizdał wiatr. Owad jak strzała runął w dół.

„Ech! Szkoda by było wylądować przed czasem! — przemknęło Olkowi przez głowę. — Żeby nas choć dotaszczył do połowy drogi!“

Ziemia zbliżała się z każdą sekundą.

Profesor i dzieci podkulili nogi, żeby nie zawadzić o coś twardego przy lądowaniu.

Wierzchołki trawiastej dżungli są coraz bliżej...

Teraz silne pchnięcia następują jedno po drugim. Jeszcze jedno — i podróżników wyrzuciło z futrzanych kabin i cisnęło prosto na ziemię.

Fikając kozły poturlali się po jakimś miękkim, granatowym polu, pokrytym równie miękkimi pagórkami i dolinami.

Zwolniejszy wreszcie tempo, profesor złapał się za brzeg jakiegoś wielkiego, gładkiego kamienia. Stał na nogi i, opierając się o głaz, obszedł go dookoła, stękając i lekko kulejąc.

— Dziwne!... — mamrotał macając płaski i gładki kamień podobny do żaren młyńskich — co to może być? O, tu jeszcze jeden taki sam okrągły kamień... A tu trzeci, czwarty...

Profesor z trudem wdrapał się na jeden z kamieni, żeby się rozejrzeć. Przed jego oczami rozpościerała się dziwna ziemia, podobna do szachownicy. Równe granatowe szosy przecinały ją z jednego końca w drugi. Pochylił się nad niezwykłym okrągłym kamieniem, sumiennie obejrzał jego czarną, błyszczącą powierzchnię i nagle śmiała myśl błysnęła mu w głowie.

— Guzik! — trzepnął się dłonią po czole. — Stoję na guziku! A szachownica i granatowe szosy to... to przecież... Dzieci! —

wrzasnął do Olka i Walerki, którzy siedzieli na kratkowanym pagórku, rozcierając potłuczone boki i kolana. — Dzieci! Jesteśmy prawie w domu! To moja marynarka!

Uradowane dzieci skoczyły z miejsca.

— A skrzynka? Gdzie skrzynka z powiększającym proszkiem? — niecierpliwie dopytywała się Walerka.

Profesor, stojąc na guziku, badawczo wpatrywał się w okolicę. Szukał żerdzi z czerwoną chustką. Ale nie było jej nigdzie.

— Dziwne... Bardzo dziwne... — wzruszył ramionami.

Rozejrzał się raz jeszcze i nagle zobaczył gigantyczny słup leżący na ziemi. Jego koniec biegł gdzieś daleko na zachód. Leśna dżungla rozstąpiła się i przesieka ginęła błękitniejąc w dali, zlewając się z dalekim widnokregiem.

— Upadła! Upadła, bestia! I to nie dawniej niż jakieś dzieśięć minut temu!

— Kto upadł? — chórem zapytały dzieci.

— Nasza latarnia! Ale nie ma nieszczęścia. Jesteśmy już na miejscu. Skrzynka musi być gdzieś tutaj. W tej stronie, gdzie leży żerdź. Za mną, dzieci!

Raźno pobiegł po kłapach marynarki, przeskakując przez dziurki i potykając się o nitki. Za nim w podskokach podążali Olek z Walerką.

Wszyscy zatrzymali się na brzegu marynarki. Przed nimi szumiała trawiasta dżungla.

— Tam! — zawołał profesor i wyciągnął rękę w stronę gęstych zarośli.

Poprzez bujną roślinność dzieci zobaczyły wysoki, żółty budynek.

— Hurra! — wrzasnęły radośnie i wzięwszy się za ręce, rzuciły się do skrzynki.

Sapiąc i fuczając, pobiegł za nimi profesor.

— No nareszcie, no nareszcie — zacierał ręce wzburzony — nareszcie skończyła się nasza mordęga! Jak dobrze, żeśmy się nie zlekli trzmiela! Wprost wspaniale! Na piechotę nieprędko zawędrowalibyśmy do skrzynki! Sami widzicie, że latarnia upadła na kilka minut przed naszym lądowaniem!... Tak! Śmiałym szczęście sprzyja!

Przeciągnął ręką po łysinie i powiedział z podnieceniem.

— Moi drodzy! Za minutę znowu będziemy dużymi, prawdziwymi ludźmi. Tutaj, pod murami tej skrzynki, kończy się nasza trudna i niebezpieczna podróż. Stoimy u progu wielkiego świata. Ale zanim opuścimy nasz mały świat, chciałbym wam powiedzieć parę słów... Widzieliście wiele przez te dni, ale prawdę mówiąc, zajrzeliście tylko do jednego z drobnych zakamarków małego świata. Przeczytaliście zaledwie parę linijek z grubej księgi, która się zwie „Przyroda“. W dodatku te linijki nie są chyba najciekawsze. W księdze przyrody są inne jeszcze stronicy, od których wprost nie można się oderwać.

Na razie zobaczyliście zaledwie malusieńki skraweczek sąsiadującego z nami świata. Ten świat jest mały, niezauważalny. Często nie zwracamy na niego uwagi, źle go znamy. A tymczasem jest on bardzo ważną częścią dużego świata, w którym żyjemy.

Jego życie silnie jest związane z naszym życiem... W każdym razieo wiele mocniej, niż niejeden to sobie wyobraża.

W tym małym świecie mamy swoich przyjaciół i swoich wrogów. Musimy poznać i jednych, i drugich.

Jeszcze kiedyś tutaj powrócimy. Przyjdziemy z wielką wyprawą, uzbrojeni od stóp do głów, i podbijemy ten mało jeszcze zbadany świat.

Do takiej wyprawy nie będzie nam potrzebny zmniejszający płyn. Uzbroimy się w mikroskopy, w wiedzę, w doświadczenie wielu uczonych. Naszą potęgą będzie cierpliwość.

Ale o tym porozmawiamy szczegółowo w domu, jak wrócimy do siebie. A teraz musimy się zająć najpilniejszym zadaniem. Musimy się powiększyć.

Uczony podszedł do skrzynki, zajrzał przez jedyne okrągłe okienko i oznajmił, wesoło zacierając ręce:

— Wszystko na swoim miejscu! Właście, przyjaciele, po kolei. Pudełeczko ze zwiększającym proszkiem jest w prawym rogu. No, dalej!

Olek, a za nim Walerka wleźli przez okno. Profesor podsadził ich i miał zamiar iść w ich ślady, gdy nagle na skrzynce usiadł motyl z błyszczącymi skrzydełkami o metalicznym odcieniu.

Był to bardzo mały motylek, zaledwie parę razy większy od profesora.

Uczony spojrzął na niego i... zamarł.

— Oliwkowa ekofora! — szepnął, nie mogąc z podniecenia złapać tchu.

Przywarł do ścianki z dykty i zaczął się jak myśliwy, przed którym przemknęło niezwykle rzadkie zwierzę.

Nie zwracając uwagi na profesora, motylek łaził dalej po ścianie.

Serce biologa waliło jak młotem.

— Stój! — wrzasnął nagle, podskoczył i złapał motyla za

skrzydełko.

Owad szarpnął się i razem zwalili się na ziemię.

Motyl zaczął się trzepotać, machnął jedynym wolnym skrzydłem, opierając się łapkami o pierś profesora, ale ten nie wypuszczał go z rąk.

Leżąc na ziemi pod motylem, wyężył wszystkie siły, starając się utrzymać drogocenną zdobycz.

Zapomniał o całym świecie!

Zresztą, nic dziwnego.

W jego rękach trzepotała się oliwkowa ekofora — rzadki, niezwykły w naszej strefie motyl-mol, najmniejszy przedstawiciel luskoskrzydłych.

W jaki sposób zjawił się na ścianie skrzynki ten motylek żyjący w ciepłych krajach — o tym profesor wcale teraz nie myślał. Pamiętał tylko jedno: w jego bogatych zbiorach, w rzędzie motyli, w rodzinie moli, tam, gdzie na cienkich szpileczkach siedzą z rozpostartymi skrzydełkami najrozmaitsze mole: sukiennik futrzany, barciak zbożowy, ziarniak i wiele innych — nie ma dotychczas oliwkowej ekofory.

A teraz będzie i ona.

— Zaczekaj — nie bądź taki — przemawiał do rozsądku upartemu motylkowi, który ciągał go po ziemi i starał się wszelkimi sposobami wydostać na wolność. — No dobrze już, dosyć, daj spokój!

Kiedy profesor walczył z ekoforą, Olek i Walerka przeszli w prawy róg skrzynki, gdzie stało pudełeczko z powiększającym proszkiem.

Oczy ich stopniowo oswoiły się z półmrokiem.

Rozglądając się, zobaczyli pusty pokój z gołymi ścianami.

Przez okrągłe okienko padał na podłogę ukośny promień słońca. Złoty pył unosił się w słonecznym świetle i promień wydawał się żywą ścieżką.

— Tutaj jest bardzo wesoło, prawda, Olku? — odezwała się Walerka, patrząc dookoła.

Olek, nie zwracając uwagi na siostrę, zbliżył się do kąta, gdzie stało wielkie jak kufer, białe pudełko, zakryte arkuszem pergaminu.

— Jest! — zawołał.

Wdrapał się na ścianę pudełka, zabębnił bosymi piętami po bokach i wyciągnął rękę do siostry.

— Włącz i ty!

Walerka wdrapała się i usiadła obok niego.

Olek naprężył się i zsunął z pudełka pergaminową pokrywkę.

— Jedz! Powiększaj się! — powiedział, pochylając się nad pudełkiem.

— A nie będziemy czekać na profesora?

— Nie! Wiesz co? Powiększymy się przed nim. Pomyśl tylko, jakie to będzie ciekawe! My będziemy już normalni, a on jeszcze malutki!

— Dobrze! Świetnie! — ucieszyła się Walerka.

Szybko wsunęła rękę pod pergamin i wyciągnęła pełną garść błyszczącego jak sól proszku.

Zbliżyła dłoń do warg, otworzyła usta i nagle, opuszczając rękę, zwróciła się do brata:

— A ile tego trzeba zjeść, żeby się powiększyć?

— Dużo!

— No a co będzie, jeżeli wyrośniemy na olbrzymów... Niezbyt przyjemnie być taką gidzią jak wieża strażacka.

— To nic, wcinaj — spokojnie odpowiedział Olek. — Jeżeli zanadto wyrośniesz, to napijesz się płynu zmniejszającego i będziesz w sam raz. To wszystko. Patrz, jak ja wsuwam! O tak!

Olek wsypał sobie do ust pełną garść proszku.

— Gotowe!

Walerka, krzywiąc się niemiłosiernie, także połknęła proszek i stwierdziła:

— Płyn zmniejszający jest daleko smaczniejszy...

— Proszek też jest niezły, kwaśniutki...

Zeskoczył z pudełka i pociągnął siostrę za nogę.

— Teraz uciekajmy stąd prędkiej.

— Dlaczego?

— Zaraz zrobi się nam tutaj za ciasno.

— Bo co?

— Bo co! Bo co! — zirytował się chłopiec. — No bo będziemy się zamieniać w dużych ludzi! Roz... Oj! — krzyknął nagle, bo przygryzł sobie język.

Stuknął głową o sufit. Rozległ się głośny trzask i skrzynka się rozpadła.

Jaskrawe światło dzienne oślepiło chłopca. Zmrużył oczy, przetarł je i znowu otworzył.

Przed nim stała Walerka.

Dziewczynka nie zmieniła się wcale. Tylko wszystko dookoła zmieniło się gruntownie: zielona dżungla stała się znów zwykłą trawą. Leżała na niej cienka tyka z czerwoną, wyblakłą szmatką na końcu. Komary znowu były komarami.

— Jak dobrze! — powiedziała Walerka. — Pomyśl tylko, teraz już nie musimy obawiać się komara... O, wezmę i trzepnę dło-

nią — i już po nim!

— Zaczekaj — powiedział zafrasowany brat — a gdzie się podziało pudełko z proszkiem?

Dzieci spojrzały sobie pod nogi.

Na trawie leżały resztki skrzynki z dykty. Wśród nich przewrócone pudełeczko, a obok niego — niewielki kawałek pergaminu. Wiatr roznosił po trawie lekki, biały pyłek.

— Przecież to jest powiększający proszek! — krzyknął przerażony Olek, rzucając się na ziemię, żeby go złapać.

Za późno!

— Co teraz będzie? — zapytała przerażona dziewczynka. — To profesor już na zawsze pozostanie malutki? A może myśmy go już rozdeptali?

— Nie kręć się — warknął na nią brat — bo jeszcze, nie daj Boże, rzeczywiście go rozgnieciesz!

Walerka stanęła w miejscu. Olek zaś, kucnąwszy, zaczął przeczesać rozczapierzonymi palcami, jak grzebieniem, chłodną trawę.

Bez rezultatu.

— Olku — odezwała się Walerka — przecież on tu na pewno jest i nas słyszy. Niech sam do nas przyjdzie.

— Masz rację!

Znalazł wśród szczątków skrzynki małą, gładką deszczułkę, strzepnął z niej pył, położył ją na równym miejscu i powiedział niezbyt głośno, ale wyraźnie:

— Panie profesorze! Czy pan nas słyszy? Niech pan wyjdzie na ten placyk. O, na ten! — stuknął palcem w deszczułkę. — Niech się pan nie boi, my się nie ruszymy.

Minęło kilka minut.

Dzieci siedziały w kucki, zupełnie nieruchome, i wpatrywały się w deszczułkę.

Nagle na żółtej dykcie zjawiła się jakaś muszka.

— On! — wyszeptała Walerka.

— Czeka! — powstrzymał ją Olek, również cichutko. — Nie sap jak parowóz, bo go zdmuchniesz.

Wstrzymując oddech, Olek jeszcze niżej pochylił głowę nad deszczką.

Zmrużył jedno oko i zaczął uważnie obserwować malusienką istotkę, która biegła tam i z powrotem po skraju deszczki.

— To on! Nasz profesor! — powiedział wreszcie, zakrywając usta dłonią.

— Popatrz, popatrz! — szepnęła Walerka. — Widzisz, jak macha rączkami! Jaki maciupęki! To myśmy też byli tacy?

— Nawet jeszcze mniejsi! Nie rozmawiaj! Siedź i milcz!

Walerka wstrzymała dech.

W ciszy, która zapadła, usłyszeli cieniutki, cieniusieńki pisk, słabszy od głosu komara.

— Coś mówi — szepnął Olek, nadstawiając ucha.

— Ale co?

— Nie mogę zrozumieć!

Tymczasem profesor zszedł z deszczki i zginął w trawie.

— Poszedł!

— Ale dokąd?

— Tam gdzie chciał. Siedź i czekaj!

Po paru minutach znów się zjawił. Tym razem nie sam.

— Patrz no, patrz — powiedziała Walerka — ktoś na niego

napadł.

Dzieci pochyliły się nad deszczulką, ale pomimo wpatrywania się nie mogły pojąć, co się dzieje: czy profesor taszczy za sobą ciemnego motylka, czy też motyl uczeplił się i nie puszcza go na deseczkę.

Motylek trzepotał się, wymachiwał skrzydełkami, zбивał profesora z nóg.

— Może byśmy pomogli — zaproponowała Walerka — bo inaczej to paskudztwo zeżre nam profesora.

Uczony tarzał się na skraju dykty i coś piszczał.

— Słyszysz, Olku? Krzyczy: Na ratunek! Na ratunek!

Walerka wyciągnęła rękę do motylka.

— Poczekaj — powstrzymał ją Olek — on znowu coś mówi!

Ale Walerka już chwyciła motylka i z rozmachu odrzuciła go precz, a potem podniosła deseczkę z profesorem do poziomu oczu.

— Zdaje się, że jest z czegoś niezadowolony — oznajmiła. — Na pewno motylek zdrowo go nadwerężył.

Profesor wyciągał ramiona do nieba, biegał po deseczce i coś piszczał. Chwytał się rękami za głowę, tupał malutkimi nóżkami.

— Niech pan się nie boi — uspokajała go Walerka — on pana nie ruszy. Ja go zabiłam.

Ale i to nie podziałało kojąco na biologa. Jeszcze bardziej zaczęła wymachiwać ramionami i zdaje się, że nawet parę razy splunął. Widać było wyraźnie, że jest rozgniewany nie na żarty.

— No dobrze już, dobrze — mitygowała go Walerka — zaraz go znajdę i rozduszę. Ja mu pokażę, jak krzywdzić malutkich!

Usłyszawszy te słowa profesor złapał się za głowę, zachwiał i nagle zaczął tak energicznie podskakiwać na deszczulce i tak

piszczyć, że Olek zrozumiał: uczoney chce powiedzieć coś bardzo ważnego.

— Zaraz rozduszę! — powtórzyła Walerka.

— Nie wrzeszcz tak — ofuknął ją szeptem brat. — Ogłuszysz go zupełnie. On jest przecież malusieńki. Daj no mi go tu!

Ostrożnie strząsnął profesora z deseczki sobie na dłoń i przysunął do ucha.

— Ekofora — usłyszał słabiutki głosik. — Jedyna ekofora... Rzadki egzemplarz! Rzadki egzemplarz!

— Mówi o jakiejś ekoforze — szepnął Olek.

— To na pewno tak się nazywa ten proszek — cicho odpowiedziała Walerka. — A proszku nie ma...

Olek spojrzął na swoją dłoń i powiedział wolno, dobitnie.

— Panie profesorze, co mamy robić? Wiatr porwał cały' proszek... To nie nasza wina!

Znów podniósł dłoń do ucha.

— To nic — zapiszczał ledwie uchwytny głosik — w moim laboratorium znajdzie się jeszcze parę gramów tego proszku. Zanieście mnie do domu... Tylko najpierw odnajdźcie ekoforę... ona tu jest, w trawie...

— A co to jest, ta ekofora?

— To jest motylek z rodziny moli — zapiszczał biolog. — Spotyka się ją tylko na południu... U nas te motylki są niesłychanie rzadkie, a Walerka mi go wyrzuciła... Niech teraz znajdzie...

— Walerko, szukaj ekofory — powiedział Olek. — Samaś wyrzuciła tę osobliwość, to teraz szukaj.

Walerka schyliła się, poszperała w trawie i podniosła za skrzydełko malutkiego, na pół martwego motylka.

— To ta? — zapytał Olek, pokazując profesorowi motylka.

— Ta, ta! — ucieszył się Jenotow. — Weźcie ją z sobą do domu, tylko bardzo proszę ostrożnie!

— A w którą stronę mamy iść do domu? — zapytał Olek.

— Idźcie prosto do stawu, nigdzie nie skręcajcie, a za stawem sami zobaczycie drogę do miasta. Jest tylko jedna!

Olek zerwał szeroki liść babki, zręcznie skręcił z niego rożek i ostrożnie posadził na samo dno wielkiego uczonego — profesora Jana Jenotowa.

— No, a teraz biegnijmy do domu — powiedział do Walerki — tylko uważaj, nie zgub cennego motylka.

— Czekaj... Ale jak pójdziemy przez miasto goli?

— Też mi coś! — pogardliwie parsknął chłopiec.

— Nie, nie! — upierała się Walerka. — Ja nie pójdę. To nieładnie.

— Co to znaczy nieładnie!

— Kości sterczą mi jak u hieny! Popatrz, jaka jestem chuda. Wszyscy będą się ze mnie śmiać.

— To nic, jakoś dobiegniemy.

— Nie — Walerka uparcie kręciła głową — trzeba się ubrać.

Podniosła z ziemi wymiętoszoną koszulę profesora i wciągnęła ją na siebie.

— Prawdziwy strach na wróble! Zobacz, do czego jesteś podobna.

Koszula profesora sięgała Walerce do kostek. Rękawy wisiały do kolan. Ale w każdym razie miała na sobie jakiś przyodziewek.

Walerka zawinęła rękawy i ujęła koszulę jak tren.

— A ty? — zapytała, nie zwracając uwagi na śmiech brata. —
Włóż też na siebie coś z rzeczy profesora.

Olek wciągnął spodnie. Sięgały mu do samego gardła.

— Bardzo przyzwoicie — pochwaliła Walerka.

Plącząc się w spodniach, Olek postąpił kilka kroków, potknął się i upadł. Dobrze, że zdążył jeszcze w porę podnieść rękę, w której trzymał profesora, bo inaczej na pewno zgubiłby go lub rozgniół.

— Podwiń nogawki — poradziła Walerka, pomagając bratu podnieść się i doprowadzić spodnie do porządku.

Olek usłuchał. Wreszcie byli gotowi do drogi.

Chłopiec wziął siostrę za rękę i, jakby się zmówili, zgodnie zaśpiewali ulubioną piosenkę profesora:

„Naprzód marsz!“

Za stawem leżała prosta jak strzełił asfaltowa szosa. Prowadziła do miasta.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

NIEOCZEKIWANY NAPAD. BIOLOGIA SIĘ PRZYDAŁA. NARESZCIE W DOMU. PRZEŻYCIA I RADOŚCI PROFESORA. BZDURNE POGŁOSKI O SŁONIACH I MUCHACH

Złapał już zmrok, kiedy Olek z Walerką znaleźli się w mieście. W oknach zapłonęły światła. Na ulicach zamarł wszelki ruch. Tylko gdzieś z oddali dobiegały głosy dzieciarni. Pewno bawiono się tam w czarnego luda.

Nad ciemną zielenią miejskiego parku jaśniała błękitna luna — odbłask płonących latarni i lampionów. Grzmiała orkiestra, słychać było skrzypienie huśtawek, głosy i śmiechy publiczności, wesołe dzwoneczki i nawoływanie przez megafony.

— Zabawa w parku — odezwał się Olek — na pewno dzisiaj jest święto.

— A kiedyśmy zginęli?

— O, już dawno.

— Tak, nie było nas ze dwa tygodnie — westchnęła Walerka. — Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że minęły już całe lata.

Park znajdował się niedaleko od ich domu.

— Polecimy? — zaproponowała dziewczynka.

— Dobra!

Przebiegli zaledwie kilka kroków, kiedy spod bramy dużego domu wyskoczył kudłaty piesek z naderwanym uchem.

Zanosząc się od szczekania, rzucił się na dzieci, usiłując złapać je za łydki.

Olek cisnął w niego kamieniem. Psina pisnęła, podkuliła ogon i dała nura pod bramę.

— Hej tam! — krzyknął jakiś głos zza bramy. — A kto to tak się znęca nad naszym Bobikiem?

Brama zaskrzypiała. Na ulicę wybiegła gromadka chłopaków. Olek i Walerka przystanęli.

Przytrzymując jedną ręką opadające spodnie, a drugą, w której był liść babki z profesorem, unosząc wysoko nad głową, Olek odburknął:

— To niech wasz Bobik nie rzuca się na ludzi.

Łobuziaki podeszły i zwartym kołem otoczyły Olka i Walerkę. Chłopak w kamizelce wsunął ręce do kieszeni aż po łokcie, zawa-diacko splunął i obejrzał rodzeństwo od stóp do głów.

— A co to za ludzie? — zapytał drwiąco. — I skąd się tacy wzięli na naszej ulicy?

— Jesteśmy podróżnicy — nieśmiało odezwała się Walerka. Chłopaczyska ryknęły śmiechem.

— Ona podróżuje z matką na targ! — krzyknął pierwszy.

— Coś ty! Przecież to córka tej foki, co to dryfowała na jednej krze z podróżnikami.

— Wcale nie! Ona podróżuje pod stół piechotą.

Olek zmarszczył brwi.

— No, przepuście nas, bo jak nie... — i wystawił nogę do przodu.

— Bo jak nie, to co?

— Zobaczysz!

Chłopaczyska zaczęły ciągnąć Walerkę za długą koszulę, Olka za szerokie profesorskie nogawki.

— Przestańcie, proszę was — chlipała Walerka. — Nam się spieszy do domu. Już dawno nie byliśmy w domu!

— Skąd idziecie? — zapytał chłopiec w kamizelce.

— A co to was obchodzi? — burknął Olek.

— Widocznie obchodzi. W naszym ogrodzie zginęły dwa strachy na wróble: jeden w koszuli, a drugi w portkach.

Łobuziaki znów wybuchnęły śmiechem.

— Hej, chłopaki! — zawołał jeden z nich. — Taszczymy ich do ogrodu, niech tam straszą wrony!

— No, przysuń się tylko! — odważnie powiedział Olek.

Podniósł rękę z profesorem wysoko nad głową, wytrzeszczył oczy i wrzasnął straszonym głosem:

— *Microgaster nemorum!*

Chłopaki spojrzali po sobie.

— *Triuuungulin!* — pisnęła Walerka.

— *Karrabus!* — zazgrzytał zębami Olek.

— Oj, to wariaci! — krzyknął jakiś przerażony chłopak i bractwo prysnęło we wszystkie strony.

W ciemnościach zamigotały białe koszule, z prawej i lewej strony rozległ się stuk zatraskiwanych furtek.

Ulica opustoszała w oka mgnieniu.

— Widzisz — powiedział zasapany Olek — jak nam się przydała biologia! A teraz lećmy prędej, żeby znów kogo nie spotkać... Widocznie naprawdę jesteśmy podobni do strachów na wróble.

Dzieci pobiegły tak szybko, że wiatr im świstał koło uszu. Domy, zaułki, ulice, zakręty, ogrody — wszystko to migало przed

nimi jak w kinie.

Nareszcie znajoma zielona brama! Dzieci wpadły na podwórze.

— Nie zgubiłeś profesora? — zapytała zdyszana Walerka.

Olek ostrożnie odchylił rożek liścia.

— Jest! Siedzi!

Na podwórzu było pusto.

Zadarli głowy i dłuższą chwilę patrzyli w oświetlone okna na pierwszym piętrze. Przez firanki było widać, jak ktoś — mama czy babcia — przechodzi od stołu do kredensu.

— Szykują do kolacji! — szepnęła Walerka.

— No, na kolację nie możemy się spóźnić! Chodź!

— Oj, Olku, mam pietra!... Mama nas obsztorcuje...

— Też mi coś! Czy to mama jest straszniejsza od osy-ko-pułki?

Dzieci się zerwały. Popychając się i przeganiając, wbiegły po schodach i zatrzymały się przy drzwiach mieszkania numer trzydzieści dziewięć. Olek szybko nacisnął biały guziczek. Za drzwiami rozległ się dzwonek.

Po półminutowej ciszy, która dzieciom wydała się wiecznością, usłyszały spieszne kroki. Zabrzęczał łańcuch i drzwi otworzyły się na oścież.

W progu stała mama.

— To wy? — krzyknęła i łyzy połały się jej z oczu. — Moje aniołeczki! Chodźcie, niech was uściskam!

Zaczęła ścisnąć dzieci ze wszystkich sił, tuliła je do piersi.

— Mamusiu, zaczekaj! Chwileczkę — wołała Walerka, wyrывая się z objęć. — Zgnieciesz pana profesora!

— Dziecino, co ci? — mama rozszlochała się na dobre.

— Mamusiu, nie płacz — powiedział Olek poważnym tonem. — Lepiej daj nam czysty, mały kieliszek.

— Kieliszek?

— No tak! Posadźmy tam pana profesora, bo inaczej boję się, żebym go nie zgubił.

Mama klasnęła w dłonie.

— Oboje!... Oboje zwariowali! Co się z wami stało?!

Wpadając na krzesła i przewracając je, mama podbiegła do telefonu, zerwała słuchawkę z widełek i krzyknęła płaczliwym głosem:

— Pogotowie! Natychmiast! Prędeż! Co? Czyj adres? Nasz adres.

— Czekaj, mamusiu — wmieszał się Olek, zabierając matce z ręki słuchawkę — jemu potrzebny jest tylko kieliszek, a ty wzywasz całą karetkę pogotowia! Po co? Przecież on zabłądzi w karetce i będzie się po niej tułał cały rok... Lepiej daj kieliszek.

Mama cofnęła się przerażona. Przypomniała sobie, że wariatom najlepiej się nie sprzeciwiać i ich nie drażnić. Dlatego też, nie mówiąc więcej ani słowa, wydostała z kredensu czysty kieliszeczek i, zalewając się łzami, podała go Olkowi.

Wstrzymując oddech patrzyła, co będzie dalej robił.

Chłopiec rozwinął wymiętoszony listek babki, położył kieliszek na stole i powiedział:

— Proszę przejść do kryształowego pałacu, panie profesorze!

Mamusia nagle zobaczyła, jak po zielonym listku podreptał jakiś owadzik i szybko, szybciutko wbiegł do kieliszka.

Olek ostrożnie wyprostował kieliszek i postawił go na stole.

— Czy panu tu wygodnie? — zapytał i przyłożył ucho do sa-

mego kieliszka.

W kieliszku coś pisnęło.

— Dobrze — powiedział Olek. — Nakryję pałac czystą chustką do nosa, a zamiast materaca rzucę panu kawałtka waty. Niech pan się wyciągnie i odpoczywa.

— Teraz już rozumiem — uśmiechnęła się mama przez łyży. — To jakaś nowa zabawa. Co to za żyjątko, któreście wsadzili do kieliszka?

— Żyjątko? — obraził się Olek. — Też pomysł! Czyż to można tak nazywać uczonego męża?

— Rozumiem — roześmiała się mama. — Wyście je nazwali uczonym.

— Nie my, ale cały świat nauki... I nie ono, tylko on.

— Pokażcie no mi. Dajcie popatrzeć, co tam macie?

Mama pochyliła się nad kieliszkiem. Spodziewała się, że zobaczy jakiegoś tresowanego owada.

— Czło... czło... człowieczek! — wrzasnęła nagle dzikim głosem.

— Jaki tam człowieczek — sprostował Olek. — To przecież nasz profesor, Jan Jenotow. Wynałazł płyn, który go przemienił w maleństwo. Myśmy też byli tacy, nawet jeszcze mniejsi. Ale potem zjedliśmy powiększającego proszku i jesteśmy z powrotem normalnego wzrostu. A dla profesora tego proszku zabrakło. Ale jest jeszcze w jego gabinecie. My go tam zaraz zaniesiemy i powiększymy.

Mamusia słuchała dzieci z wielkim zdziwieniem i nareszcie zrozumiała, że nie zwariowały.

— Kochani moi — powiedziała — ale mieszkanie profesora

opieczętowała milicja! Będziemy musieli poczekać do rana. Proszę o tym powiedzieć profesorowi.

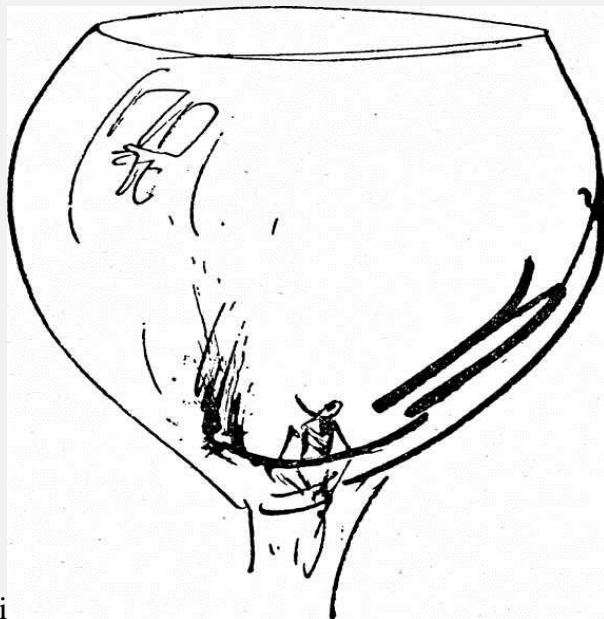
Olek wyraźnie i cicho przekazał tę wiadomość profesorowi.

— To nic, Olku — wesoło pisnął profesor — mnie jest tu wspaniale! Zaczekamy do rana!

Olek powtórzył matce.

W kieliszku znowu rozległ się pisk. Olek posłuchał i powiedział:

— Siadaj, mamusiu. Profesor prosi nas, żebyśmy ci wszystko



opowiedzieli

Mama posłusznie usiadła.

Olek odchrząknął i zaczął bez pośpiechu opowiadać o niezwykłych przygodach trojga odważnych podróżników na ziemi i pod ziemią, na wodzie i pod wodą, między niebem a ziemią, w powietrzu, w lasach, w górach, w pieczarach i przepaściach. I znowu cała trójka popełniała nadzwyczajne wyczyny, znowu dzielnie walczyli, płynęli na statkach, latali w powietrzu, schodzili do głębokich, ciemnych nor.

Słuchając opowiadania syna, mama kiwała głową, niekiedy popłakiwała, czasem się śmiała, ale najczęściej siedziała zasluchana, z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, nie śmiejąc odetchnąć ani się poruszyć.

— Ach, wy moje biedactwa! — powiedziała wreszcie, ocierając oczy chustką. — Ileście musieli wycierpieć, ile przeżyć! Wyobrażam sobie, jak babcia będzie wzdychać, kiedy wróci do domu i dowie się o waszych przygodach.

— A wiesz co, mamusiu, ja myślę, że babci nie trzeba opowiadać o tym wszystkim.

Mama zastanowiła się przez chwilę i odpowiedziała z uśmiechem:

— Masz rację. Babcia jest już bardzo słaba. Twoje opowiadanie mogłoby jej jeszcze zaszkodzić. Powiem jej może... żeście byli u wujka Piotra... Ale czym was uraczyć? Na co macie ochotę?

— Och, mamusiu — jęknęła córka — teraz jemy wszystko, ale to wszyściutko!

Mama zaczęła się krzątać. W jadalni zabrzączały talerze. W kuchni zaszumił gaz.

Zanim dzieci się umyły i ubrały, mama nakryła do stołu i przyniosła do jadalni patelnię ze skwierczącą jajecznicą na boczku, kurę na zimno, ser i góry miękkiego, pachnącego pieczywa.

Chwilę postąpiła przed kredensem, jakby się nad czymś zastanawiając, potem otworzyła oszklone drzwiczki i wyciągnęła czarną butelkę, ze złotym napisem na białej etykiecie: „Portwein“.

— Tak — oznajmiła wreszcie — przy takiej okazji trzeba będzie napić się trochę wina z ciepłą wodą.

Kiedy przygotowania zostały zakończone, wszyscy usiedli do kolacji.

— Proszę do stołu, panie profesorze — zaprosił Olek i uroczyście postawił między swoim a Walerczynym nakryciem kieliszek z profesorem.

Skubnął odrobinę sera i rzucił do kieliszka.

— Proszę jeść, panie profesorze! — powiedział.

W kieliszku rozległ się pisk.

— Prosi o chleb — oznajmiła Walerka i wrzuciła do kieliszka okruszynkę bułki.

— A wina? — zapytała mama. — Jak moglibyśmy poczęstować profesora winem?

— Wiem! — Olek zerwał się od stołu. — Damy mu portweinu w łusce od naboju.

Pobiegł do swego pokoju i przyniósł łuskę naboju od wiatrówki. Mama naląła do niej kropelkę wina i Olek ostrożnie wpuścił kapiszon z winem na dno kieliszka.

Niebawem nastrój przy stole stał się bardzo wesoły.

— Za pana zdrowie, panie profesorze! — wołał Olek, unosząc kieliszek z gorącą wodą zabarwioną portweinem.

— Za naszą podróż! — wołała Walerka.

Trącano się kieliszkami, wszyscy jedli i pili z apetytem.

Profesor także nie tracił czasu na próżno — zjadał ser i popijał winem.

Po kolacji wszyscy położyli się spać.

W czystych posłaniach równiutko oddychali Olek i Walerka. Zwinawszy się w kłębuszek na strzępku waty, spał słodko w kieliszku profesor Jenotow.

Po raz pierwszy od wielu dni sen ich był spokojny.

Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

Nazajutrz profesor siedział przy swoim biurku w gabinecie jak gdyby nigdy nic.

Dziesięciu korespondentów fotografowało go i notowało jego niezwykle przygody.

Wkrótce jedno z pism zamieściło wspaniały artykuł z dużą fotografią uczonego.

Ktoś nawet rozpuścił pogłoskę, że profesor Jenotow nauczył się zamieniać słonia w muchę, ale potem wszystko się ludziom poplątało i zaczęto opowiadać, że „robi z muchy słonia”.

Zresztą, kto wie, może istnieje jakiś profesor, który robi z muchy słonia, ale ja o nim nie wiem i nie będę mówił, albowiem nie lubię pisać o czymś, czego nie widziałem na własne oczy.

SPIS ROZDZIAŁÓW

<i>Rozdział pierwszy: Przykra rozmowa z babcią. Mama jest zdenerwowana. Dżek idzie za świeżym jeszcze śladem. Dziwne odkrycie w gabinecie profesora Jenotowa. Tajemnicze zniknięcie uczonego</i>	... 5
<i>Rozdział drugi: Cudowny płyn. Zagadkowe zachowanie się kąpielówek i sandałów. Niezwykłe przeobrażenie w najzwyczajszym pokoju. Przygoda na parapecie. Olek i Walerka udają się w przedziwną podróż</i>	18
<i>Rozdział trzeci: Spotkanie w powietrznych przestworzach. Samolot-obżartuch. Spadochroniarze mimo woli. Podwodne więzienie. W łapach potwora</i>	31
<i>Rozdział czwarty: Profesor Jenotow udaje się w dziwne światy. Tajemnica zwykłej pajęczyny. Pierwsze polowanie. Pancierz i dzida. Pułapka. W niebezpieczeństwie .</i>41
<i>Rozdział piąty: W niewoli u pająka. Bitwa w podwodnym więzieniu. Roślina-włóczęga. Fatalna sytuacja. Olek znajduje wyjście</i>51
<i>Rozdział szósty: Odważni pływacy. Dziwni pasażerowie. Olek i Walerka przedzierają się przez wodną dżunglę. W poszukiwaniu jedzenia. Dzieci znajdują niezwykle jagody. O krok od nieszczęścia</i>61

Rozdział siódmy: Walka w podziemiu. Zwierzę z uszami na nogach. Niezwykły las. Profesor zostaje pilotem. Nieoczekiwane spotkanie72

Rozdział ósmy: Ratowanie tonących. Droga do skrzynki.

Żywe lufciki. Podróżnicy spotykają stada mszyc. Smętne wspomnienia. Napad powietrznego żółwia 83

Rozdział dziewiąty: Ciężka przeprawa. Kawiarnia z bufetem w trawiastej dżungli. Szturm do leśnej twierdzy.

Walka z mrówkami. Pod grzybem. Powódź 93

Rozdział dziesiąty: Zamarły las. W poszukiwaniu noclegu. Walerka znajduje leśny hotel. Profesor atakuje chruścika. Pierwsza noc w innym świecie119

*Rozdział jedenasty: Niezwykłe powietrze. Profesor czę-
stuje dzieci jajecznicą. Uczony odkrywa fabrykę ubrań.
Pszczolinka. Zniknięcie profesora i Olka..... 133*

*Rozdział dwunasty: W łapach skrzydlatego potwora. Po-
dróżnicy spotykają się w dzbanku. Drewniany Mont
Blanc. Żywe konserwy. Olek i Walerka rozstają się z pro-
fesorem158*

*Rozdział trzynasty: Lądowanie w nieznannej przystani.
Znowu w niewoli. Jenotow idzie świeżym śladem. Zwie-
rzę, które oddycha ogonem. Nieoczekiwane odkrycie .
.....175*

*Rozdział czternasty: Spotkanie z osą szczerkliną. Roślina-
drapieżnik. Ciekawe rozmowy w zagajniku wiesiołko-
wym. Cudowne koszyczki190*

*Rozdział piętnasty: Olek zawiera znajomość z mrówko-
lwem. Nocleg w pieczarze. Trzmielowy spichlerz. Ta-
jemnicze ognie. Niezwykły koń. Najazd much . . .
.....200*

Rozdział szesnasty: Wojna z muchami. Niezwykłe żagle.

Oczy na nogach. Pluskwiak gra na skrzypcach. Wierz-

chem na trzmielu230

Rozdział siedemnasty: Dziwna ziemia. Profesor walczy z motylem. Przygoda Olka i Walerki w skrzynce z dykty.

Cenna ekofora. Profesor w opakowaniu. W drodze do dawnego świata247

Rozdział osiemnasty: Nieoczekiwany napad. Biologia się przydała. Nareszcie w domu. Przeżycia i radości profesora. Bzdurne pogłoski o słońcach i muchach 258